ŻYCIE

Warszawska Drukarnia Estetyczna, Nowo-Wielka 25.

1802

KONSTANCJA ŁOZIŃSKA

Życie

POWIEŚĆ

WARSZAWA
JAN FISZER
Nowy-Świat Nr. 9
—
1905

Дозволено Цензурою.

Варшава, 11 Мая 1904 года

192314

— Niech Pani dobrodziejka nie mówi jeszcze hop! bo ślub to dopiero akt pierwszy, a nawet prolog. Pamiętam ja takie piękne prologi, że aż człek się radował i nawet czasami zazdrościł, a potem, pani dobrodziejko, ni z tego, ni z owego dramat, awantura.

— Et! głupstwo to wszystko — niema się czego radować!

— Panie Ignacy, pan niepoprawnym jesteś, zamiast cieszyć się z nami, zamiast winszować nam, że Jadzia wreszcie ustalona, ma swój kąt, dobrego człowieka, — pan bawi się w puszczyka! Pfe! panie Ignacy!

I tu rumiana jeszcze pani, choć przygarbiona nieco i siwa zupełnie, uderzyła po ramieniu towarzysza, patrząc nań niby gniewnie, w rzeczy zaś samej wesoło. Pan Ignacy zdjął wolno okulary i przecierając je kolorową chustką, nie odpowiedział już potrząsając zwolna głową.

— Ciociu droga, wpadł im nagle do uszu głos dzwięczny, niski, nabrzmiały smutkiem i niepokojem—pan Tadeusz chce już jechać—przyszłam pożegnać cioteczkę i pana Ignacego. Mówiąca,

była to panna o drobnej kibici, małej twarzyczce, szczupłej, okolonej niesswornymi puklami włosów. Rysy nie były klasyczne, nos za wydatny, a usta za wązkie, ale oczy okupywały te braki, patrząc na świat łagodnie i rozumnie.

— Jedziecie już? a podwieczorek? musicie go jeszcze z nami spożyć—no, już to ja załatwię sama, chodźmy do twego męża—kończąc ostatni wyraz, pani uśmiechnęła się filuternie, obejmując szczupłą figurkę siostrzenicy.

Tymczasem na dziedzińcu zaturkotało. Stary, zniszczony, ale bardzo obszerny powóz zatrzymał się przed gankiem, a ze stopni schodził właśnie mężczyzna młody o rysach energicznych i surowem wejrzeniu, niosąc w obu rękach tłomoczki i pudełka.

— Panie Tadeuszu, jakże można, mieliście jechać po podwieczorku, a tu raptem dowiaduję się....

— Panią niech nie dziwi nasz pośpiech, cztery mile drogi, piasku i upału, lękamy się spóźnić, wreszcie zrobimy, jak moja pani zechce; od wczoraj jestem jej sługą najniższym. Patrzył na Jadzię nie uśmiechając się jednak, a ona lękliwie spoglądała to na ciotkę, to na małżonka, jakby nie wiedząc, co ma uczynić i mówić.

— W końcu, upiąwszy kapelusik, pochyliła się do ręki ciotki, szepcząc coś o wdzięczności i tęsknocie, a gdy ta przyciskała ją ser-

decznie do swej piersi, pan Tadeusz zapalał papierosa i prawie niecierpliwie spoglądał ku drzwiom wchodowym. Ukazały się też w nich trzy postaci: pan Ignacy, chudy i żwawy staruszek, pan domu, otyły i ciężko, astmatycznie oddychający, wreszcie młoda panienka, ułomna. Z pod mocno ufryzowanej grzywki patrzało parę dużych oczu melancholijnych, badawczych... Nastąpiło ogólne pożegnanie.

— Niech że cię Pan Bóg prowadzi moje dziecko, pamiętaj też, że nasz dom jest i nadal twoim, przerywając sobie krótkim kaszlem, mówił wuj do Jadzi.

— A o mnie nie zapominaj—pisz i bądź mi nadal siostrą, dokończyła ułomna panienka, składając ostatni pocałunek na czole kuzynki.

— Jadziunia niech nie tęskni za starym gderą, który ją uczył tabliczki mnożenia i gramatyki — proszę mi być szczęśliwą i wkrótce przynieść do nas pełne, rumiane policzki i wesoły humor... pamiętaj panienko!

Pan Ignacy zdjął znów okulary i skrupulatnie je przecierał, gdy na ostatnim schodku znikała wiotka postać dziewczynki, prowadzonej przez pana i władcę. Pan Tadeusz z ulgą usiadł obok i teraz już wesoło powiał kapeluszem. Pozostali patrzyli długo za znikającym powozem, zwanym w rodzinie arką Noego.

* * *

Tak w nowe życie wchodziła Jadwiga M. sierota, od najmłodszych lat wychowywana u krewnych, którzy bawili się nią, jak piłką, oddając sobie z rąk do rąk. Na tym systemie niewiele korzystała Jadzia — nie wiedziała do kogo się ma przywiązać, gdyż przyrósłszy do jednego domu, oderwana od niego, musiała na nowo rozpoczynać proces oswajania się i przystosowywania do obcego sobie otoczenia. Wyrobiło to w niej jedną tylko zaletę: ogromną umiejętność poznawania ludzkich słabostek i, przy dobrem sercu, chęć zadośćuczynienia takowym. Wrodzona inteligencja i wrażliwość zrobiły z niej istotę delikatną, łagodną, usuwającą się zawsze na plan drugi. Do domu wujostwa Michałostwa przybyła mając lat 12—i nareszcie tu pozostała dłużej—bo aż do dnia swego ślubu.

Teraz, gdy jedzie obok męża, nie może uwierzyć, że jest już mężatką, będzie miała swój dom, będzie wreszcie tym punktem, około którego skupią się i uczucia i pragnienia innych. Dotąd nie była niczem dla nikogo, była kuzynką przytuloną, żyjącą z łaski uczuć wujostwa. Biedną materjalnie nie była. Wprawdzie dla tak wyrobionego już adwokata jak pan Tadeusz, suma 10 tysięcy nie znaczyła wiele, ale w każdym razie nie wchodziła do domu męża z pustemi rękami i to ją w tej chwili napełnia też miłem, radosnem uczuciem. Patrzy ukradkiem na twarz towarzysza i zamyśla się nad tem,

czy potrafi go uszczęśliwić, tak bardzo tego pragnie.... Tyle rad słyszała od ciotki....

Państwo Michałostwo byli dobrem małżeństwem, wskazówki więc doświadczonej kobiety, która przez życie przeszła szczęśliwie — były cennemi — przychodzą jej też na myśl słowa ciotki:

— Jeśli chcesz utrzymać serce męża, bądź mu oddana myślą, słowem, czynem, bądź mu towarzyszką powolną i ślepo wierzącą, przedewszystkiem zaś dbaj o jego wygody materjalne, niech mu nigdzie nie będzie lepiej, niż w domu, niech żadna ręka nie przyrządzi mu smaczniej jego ulubionej potrawy.... Wierz mi, w romansach bywa inaczej, ale w życiu obiad— to grunt—przysucha pieczeń bywa często pierwszą winą młodej mężatki.

Tak mówiła ciotka, a ułomna kuzynka Ola, dodawała pocichutku, gdy starsi nie słuchali:

— Zmysłami zrobisz z mężem, co zechcesz, bądź mu subtelną kochanką, wyrafinowaną i pieszczotliwą, jak kotka. Ten frazes utkwił w mózgu Jadzi bardzo silnie, choć niezupełnie go rozumiała—wogóle z Olą sympatyzowały pozornie — mało jednak miały wspólnego. Starsza o lat parę traktowała Jadzię jak dziecko i na jej poglądy życiowe miała zawsze złośliwy uśmieszek, nazywając ją pensjonareczką, fruwającą w obłokach.

— Cóż moja pani taka zamyślona, o czem? czy może już tęskni za Michałówką? i pochylając się nad wylękłą tem nagłem zapytaniem, objął ją i przycisnął zlekka, dyskretnie.

— Nie—nie tęsknię, tylko lękam się trochę...

— Czego? czy może kogo?

— Lękam się, czy wypełnię moje obowiązki —

— Obowiązki? no proszę, jaka powaga, jaka myśl na tem czole — jakże pani wyobraża sobie te obowiązki? pytał uśmiechając się teraz i bardzo badawczo patrząc w oczy towarzyszki.

— Milczała, bo jakiś wstyd i lęk ścisnął ją za gardło. Spojrzenie mężczyzny napędzało jej krwi do głowy, czyniąc go jakimś obcym, daleko bardziej niż przedtem, tak obcym, tak strasznym, jak wówczas, gdy ją pierwszy raz na ganku pocałował, po zamienieniu pierścionków... Wtedy uciekła i pół dnia nie pokazywała się ludziom, wstyd palił ją, niby piętno hańby; perswazje ciotki zmusiły ją wreszcie do równowagi — przeprosiła nawet narzeczonego... A Ola, jak ona się wtedy z niej śmiała i całowała prawie z uniesieniem, nazywając „białą gołąbką.“ Teraz czuje to samo—nieprzyjemne wrażenie wciska się jej w serce, gdy pan Tadeusz, zachęcony milczeniem, przygarnia ją jeszcze bliżej ku sobie.

— No, więc o tych obowiązkach słóweczko—wierz mi najdroższa, że one nie są bardzo

ciężkimi, one nawet są słodkie, bardzo słodkie... dokończa gorącym szeptem i dodaje jeszcze tajemniczo:

— Jutro, u nas w domu pomówimy obszerniej i przekonam cię, że mam rację, a tymczasem proszę się nie bać i być swobodną;— teraz pogadamy o rzeczach praktycznych. Odetchnęła nareszcie i przyśpieszony oddech, uciskający pierś, zwolnił się nieco, rada jest, że te pieszczoty się skończyły—widać ona nie przywykła do nich—w dzieciństwie nikt jej nie pieścił—nikogo też nie pieściła. W domu wujostwa nie było zwyczaju okazywania uczuć w wybuchach lub całusach—stąd też i ten jej lęk i to dziwne, niemiłe uczucie; naturalnie, że to ta przyczyna nie inna;—wszakże męża kocha, bo dobrowolnie wyszła zań, nawet z radością

Jaki to był szczęśliwy ów dzień, gdy oświadczył się jej i ciotce, z jaką wdzięcznością patrzyła nań wówczas. Myśl o własnym domu, o kimś, komu będzie bardzo, bardzo potrzebną, napawała ją niewysłowioną rozkoszą. Przytem pan Tadeusz nie był lubiany, nieraz go też przedtem broniła, a gdy poprosił o jej rękę, cieszyła się, że pokaże ludziom, dowiedzie, jak bardzo go kochać można i że jest dobrym, poczciwym, kiedy ją, niczem nie wyróżniającą się, wybrał za towarzyszkę.

— Co do sumy posagowej twojej, moja droga, tę umieszczę ją na najlepszej hipotece

w Warszawie — zobaczysz jak nam tej lokaty zazdrościć będą—aby tylko państwo Michałostwo dotrzymali słowa i przysłali ją nam na czas— jak myślisz?

— Wujostwo napewno w końcu października ją przyszlą—połowę wuj odbierze od brata swego, u którego złożył—wie pan, u pana Jerzego z Rudki—a połowę wniesie sam, gdy pszenicę sprzeda. W tym roku pyszne urodzaje w Michałówce—zwłaszcza pszenica ślicznie się udała.

— Chciałbym, aby się tak stało, jak mówisz, bo tylko do listopada mam termin z tą lokatą, pragnę, abyś rada była z mej opieki i nie żałowała swego zaufania, wiesz bowiem, że osobiście nic mi nie zależy na tej sumie, utrzymanie dać ci mogę dostatnie, niczego ci brakować nie będzie—nazwisko moje starczy mi za kapitały—praca taka, jak moja, to większa suma, niż twój posag, wzięty w dwójnasób— zobaczysz, jak ci zazdrościć będą męża... ho, ho, mogłem się nie z takim posagiem ożenić... Rozentalówna latała za mną, wprost nieprzyzwoicie mię ciągnęła, a papa, aż promieniał, gdy wchodziłem do ich salonu—ale to nie dla mnie wszystko. Żaden Oboleski z żydówką nie był żonaty... zresztą ona nie mój typ... ja lubię ciche kobiety...

—„Bądź uległą, powolną jego żądaniom," to słowa ciotki, które on sam potwierdził mó-

wiąc, że lubi „ciche“—będę więc łagodną. Wiem, że mi starczy sił do wykazania mu, że się nie omylił w swym wyborze—i uśmiechnęła się serdecznie, jakby dziękując za ostatnie słowa.

Późnym wieczorem przyjechali do Warszawy; w mieszkaniu zastali tylko służącą. Nikt nie powitał ich chlebem i solą i zdawało się Jadzi, że jakoś inaczej powinna była czuć wchodząc pod swój własny dach — jakiś chłód powiał na nią z nowych mebli, skupionych w tandetnym magazynie, z grubej porcelany, ustawionej na spaczonym już stole...

Służąca spoglądała na nią ciekawie i nieco ironicznie, zwracając się z pytaniami do pana domu i zdając rachunek z pieniędzy, jakie jej zostawił.

— Dobrze, dobrze obrachujesz się z panią—a teraz podawaj jedzenie i ściel nam łóżka—jestem zmęczony i senny... Na małym półmisku przyniosła twarde befsztyki, oblane niewyraźnego koloru masłem—zdębiałe kartofle i nieświeże bułki w koszyku.

— Zastawa niewykwintna — danie nieszczególne, ale mam nadzieję, że teraz, gdy mam żonę, nie będę jadał tak twardego mięsa... żując głośno i popijając piwem, ciągnął Tadeusz. Nie masz pojęcia jakie ostatniemi czasy jadałem okropności—ta dziewka mnie truła .. a przecież człowiek cywilizowany tem się różni od papuasa i samojeda, że żywi się odmiennie, nie po-

przestając na kawałku surowego mięsa lub nieświeżej ryby... nasz żołądek jest zarazem naszym herbem, dyplomem na szlachectwo krwi i nerwów... Nie zauważył, że Jadzia nic prawie nie jadła—oczy jej biegły do sąsiedniego pokoju, gdzie hałaśliwie krzątała się Karolcia, nalewając wody do miednicy, a w myśli jej wzrastał olbrzymi jakiś lęk, przerażenie. A gdy pan Tadeusz, obtarłszy wreszcie usta serwetą, przybliżył się do niej i chciał ją pocałować w policzek--ona drgnęła tak silnie, że aż szklanka spadła na podłogę tłukąc się w drobne kawałki.

— Gdzie się tłucze i leje—tam się dobrze dzieje! sentymentalnie zawołał—tym razem obejmując już ramieniem szczupłą figurkę Jadzi i prowadząc ją do wpółotwartych drzwi, z których właśnie wychodziła Karolcia, drwiącym mierząc wzrokiem swych państwa.

— Phi! chude to, małe, niby kurczę, a dumne! nauczę ja ciebie moresu, moja pani! i zbierając ze stołu, wciąż podsłuchiwała, co się dzieje tam... za drzwiami.

A za drzwiami panowało głuche milczenie.

— Jadzia, pochylona nad kuferkiem, wydobywała zeń potrzebną bieliznę i drobiazgi, podawała je mężowi powoli i z drżeniem rąk, on zaś, pogwizdując, kładł na właściwe miejsce, spoglądając z wielkiem zadowoleniem na ciemną główkę, schyloną bardzo nizko.

— A teraz, najdroższa, ja oczy zamykam, ty raz, dwa, trzy, czyń nocną tualetę i kładź się—potem znów ja to samo uczynię. Uniósł w górę główkę żony i, mrugając oczami, pogładził ją po twarzy. Na nią uderzyły płomienie—chciałaby zniknąć, chciałaby, aby w tej chwili czuć i myśleć przestała—tak jej straszno i ciężko było—lecz za nic w świecie nie okazałaby tego wstydu, tego bólu, jaki całą jej istotą szarpnął w chwili, gdy drżąca znalazła się pod kołdrą.

* * *

Dnie i miesiące szybko w życiu mijają, wielkie nieszczęścia, wielkie radości i szara nić życia, podlegają jednakowym prawom: człowiek oswaja nię z niemi—to też i Jadzi, gdy wspomina pierwszą noc poślubną, przeszłość niedawna wydaje się bladym snem, z którego twarda ręka rzeczywistości zbudziła ją szybko. Dziś nie czuje przepaści, nie lęka się nawet w nią spojrzeć; próżnię duchową zapełniają święcie spełniane obowiązki gospodyni i żony. Dla męża żywi wdzięczność, bo przecie on to sprawił, że jest kimś i to potrzebnym,—a jak mile brzmi w jej uszach frazes mężowski, tak często słyszany:

— No, przecie mię teraz nie trują i mam spokojną głowę o to, co jutro jeść będę i co w domu znajdę....

Wprawdzie nie odrazu tak świetnie szło gospodarstwo — co innego teorja — co innego praktyka. W Michałówce panny nie mieszały się do niczego, więc wiele rzeczy znała Jadzia zaledwie ze słyszenia. Kłopoty ze służącą niemałe. Harda i nieuczciwa Karolcia postanowiła ułożyć sobie panią i przewodzić nad nią; sporo też gorzkich łez wylała przez nią Jadzia. Dowiedziała się kilku szczegółów z życia p. Tadeusza, szczegółów, na które w jej dziewiczej główce miejsca nie było. Życie stawało przed nią nagle bez osłonek, takie nagie w swym brudzie, który troskliwe ręce wychowawczyń skrywały dotąd przed nią. Karolcia chwaliła się cynicznie ex-względami swego pana, w czem zresztą upewnić ją mogła podsłuchana rozmowa tejże z sąsiadką. Nie dała jednak temu wiary, podobny fakt wydawał się jej niemożliwym i składała to na złość sługi, która jej dokuczyć pragnęła. Zasiane jednak w duszy ziarno nieufności poczynało kiełkować: młoda kobieta traciła humor, pogodę umysłu, a stojąc u samego progu życia, pragnęła niekiedy wycofać się z niego jak najprędzej.

Nadzieja macierzyństwa zastała ją przygnębioną—lecz pod tą nową siłą otrząsnęła się moralnie i fizycznie—teraz miała wyraźniejszy jeszcze cel w życiu, jedną więcej istotę do kochania. Na parę miesięcy przed przyjściem na świat dziecięcia—pan Tadeusz zażądał oddalenia

Karolci pod pozorem, że opuszcza się w służbie—w gruncie zaś rzeczy zeznawać poczynał, iż niewłaściwie postąpił zostawiając ją u siebie; przy młodej żonie straciła cały powab dla niego....

Usposobienie nierówne, kapryśne umiał dotąd opanowywać, ale z biegiem czasu coraz częściej występowały na porządek dzienny tak zwane sceny małżeńskie—o byle co, o drobiazg, o źle postawiony talerz, o nieudaną potrawę, o opóźnienie parominutowe. Na mieście mówiono, że praktyka pana Tadeusza jest więcej niż skromna. Jadzia nie słyszała tego wprawdzie, ale dziwiła się niemniej, że w kancelarji męża kurz grubo osiadł na papierach i książkach, a on sam z cygarem w ustach, najczęściej spędzał czas na marzeniach, z których jednak nie wolno go było budzić.

— Przerywasz mi ważną pracę, mawiał do żony—ty nie możesz zrozumieć nawet, ile ja wyrobię przez tę godzinę myślenia—ono więcej znaczy, niż miesięczny zarobek urzędnika.

Z początku wierzyła w to święcie i na palcach pocichutku przesuwała się po mieszkaniu, ścierając kurze i porządkując. Dumną była z męża i zapytywała siebie nieraz w duszy: czem zasłużyła u niego na wyróżnienie.

Miesięczną pensję wypłacał jej systematycznie przez pierwszy czas po ślubie—z biegiem jednak tygodni, robiło się coraz ciaśniej,

poczynało brakować tego i owego, a o przyjemnościach nawet i mowy nie było. Pójście bowiem do teatru u p. Tadeusza nie zaliczało się do przyjemności.

— Idę bo muszę, moja droga, mam się spotkać z bardzo ważnym klientem. Z chęcią-bym się dał komuś wyręczyć—no, ale cóż począć! Człowiek, który wziął na siebie obowiązki—orać musi. I prostował się wydymając dolną wargę, a składając lekki pocałunek na czole szyjącej żony, wysuwał się równie lekkim krokiem do przedpokoju. Jadzia szyła wyprawkę dla dziecka i zostając samą rozmyślała długo o tych obowiązkach, jakie jej mąż wziął na siebie. W duszy jej powstawał zamęt, nie zdawała sobie jeszcze jasno sprawy z tego, co czuła, ale wydawało jej się, że coś podobnego do krzywdy spotkało ją nagle. W takich chwilach przypominały jej się słowa ciotki i czyniła sobie wyrzuty, że jest niedobrą, kapryśną egoistką.

W końcu listopada nadszedł list z przekazem do banku na posag Jadzi. Pan Michał wypłacił go według obietnicy i gdy Tadeusz powrócił z miasta, przynosząc podniesioną sumę, był tak jaśniejącym, tak wesołym, że Jadzia pomyślała sobie, że radaby codzień oddawać posag mężowi do dyspozycji, aby módz go tylko widzieć w tak dobrym humorze.

— Rad jestem, rad bardzo—powtarzał chodząc po jadalnym pokoju, że mogę słowa do-

trzymać i umieścić te twoje pieniądze na hipotece, o której wspominałem. Wczoraj właśnie spotkałem w cukierni tego jegomościa i mówił mi, że dziś termin wniesienia... no, chwała Bogu. Tu zbliżył się do żony pochylonej nad robotą i przyglądał się jej badawczo—co mu się od pierwszych poślubnych tygodni wyjątkowo zdarzyło.

— Wiesz co, żonusiu, żeś zmizerniała kolosalnie, nie spostrzegłem tego dotąd; rysy ci się wyciągnęły i skóra nabrała koloru żółtego... źle... trzeba się moja droga lepiej odżywiać... przecież rozumiesz, że odpowiadasz teraz za dwoje... powinnaś więcej dbać o siebie... bardzo cię proszę, kup dziś zaraz wina, pij go stale, a także nie żałuj na odżywianie się... mleka, mięsa jak można najobficiej... doprawdy możnaby pomyśleć, patrząc na ciebie, że cię zagładzam i tyranizuję. Wszakże dotąd nie zabrakło ci nigdy pieniędzy; ile razy potrzebowałaś—dawałem ci zaraz—toż samo i teraz.... Może potrzebujesz? ile? mów śmiało—przecie masz posag i masz do niego prawo.

— Ależ Tadziu—co ty mówisz—mnie nic nie potrzeba, nic nie braknie, nie jestem głodna, a to zmizernienie, to ci się pewnie zdaje tylko... Wreszcie pani Janowa, nasza sąsiadka, mówiła mi wczoraj, że tak zawsze być musi... w mojej pozycji... nie troszcz się o mnie—zobaczysz, ja znowu się poprawię. Wstała i jej ociężała fi-

gura uwydatniła się mocniej, przy niej zaś cera blada i szczupła twarzyczka boleśnie oko raziły... Pan Tadeusz odwrócił oczy... nie lubił twarzy mizernych i kobiety o podobnej figurze wzbudzały w nim wstręt.

— Bajecznie to szpeci kobiety! szepnął sobie w duchu i nie zauważył nawet, że Jadzia oczekiwała od niego jakiejś pieszczoty lub cieplejszego słówka.

— Masz tu sto rubli, moja droga, powiedział natomiast, rzucając banknot na stół—i proszę cię bardzo, abyś sobie niczego, niczego nie żałowała. Podkreślił ostatnie słowa i wychodząc do sąsiedniego pokoju dodał jeszcze we drzwiach:

— Pójdę dziś z kolegą Ryxem do teatru— tobie nie proponuję, bo zdaje mi się, że w twojej pozycji bezpieczniej w domu... wstrząśnienie, wrażenie....

Jadzia została przy stole, nogi jej ciężyły, a w głowie czuła uderzenia tysiąca młotów... sto rubli „nie żałuj sobie niczego“ wreszcie ruch pana Tadeusza, gdy rzucił banknot na stół, zlewały się w jakąś piekielną sarabandę.

Gdy służąca przyszła nakrywać do obiadu, zastała panią zemdloną. Jadzia leżała na ziemi, przy stole, z zaciśniętym banknotem w ręku... Pan Tadeusz zirytował się tak dalece, że zupy wcale nie ruszył—dopiero przy drugiej potrawie przyszedł do siebie i siedząc naprze-

ciwko żony, wykazywał jej w gorących słowach, jak bardzo będzie winną nie odżywiając się należycie....

* * *

Po Bożem Narodzeniu oczekiwała Jadzia przybycia kuzynki Oli, która miała parę tygodni spędzić w Warszawie, poduczyć się malowania na porcelanie i użyć miejskich rozrywek. Oprócz domu Tadeuszostwa posiadała jeszcze kilka znajomych i z niemi to, nie rachując na niezdrową Jadzię, zamierzała bywać w teatrze i na koncertach. Przepadała za tańcami, a pomimo kalectwa była zawsze jak najlepszego o sobie mniemania i bawiła się wyśmienicie, wnosząc ogromną chęć po temu i wesoły pogląd na rzeczy.

Jadzi uśmiechało się teraz więcej, niż kiedykolwiek towarzystwo Oli. Była tak osamotnioną... stosunki towarzyskie nigdy nie były liczne, a obecnie wskutek niezdrowia i te się przerzedziły. Tadeusz ciągle był zajęty jakoby różnymi interesami. Przedpołudnie spędzał na mieście, po obiedzie odbywał niezbędną dwugodzinną drzemkę—a na wieczory uciekał do cukierni ub kolegów, aby, jak mawiał, naradzić się i wywiedzieć o niejednem. Te narady przeciągały się nieraz długo, a powracając do domu zastawał żonę już śpiącą, często jednak udającą sen

Kładł się bez wielkich zabiegów, aby jej nie budzić—przeciwnie, gdy powracał z „jakiejś bardziej sutej narady“ wskrzesały w nim echa dawno minionej czułości—potrzeba pieszczot... i wówczas to bywał bardzo kochającym małżonkiem.... Podobne powroty zapisywały się w pamięci Jadzi boleśnie. W jej dziewiczej dotąd duszy zrodził się wstręt. . ból moralny i wolałaby być nawet połajaną, zmaltretowaną—byle nie to.... nie to... Nie starała się jednak uwolnić od tego obowiązku, bo wślad za tem budziły się w niej wyrzuty sumienia, że jest złą, bez serca i kapryśną... Pani Janowa starała się jej jasno wyłożyć, że żadna z kobiet nie uważa „tego“ za szczęście, ale cóż robić! trudno! obowiązek! A więc skoro to obowiązek—powinno go się spełniać dobrowolnie i chętnie... I dziwne, codzień gdy zmęczona dreptaniem około gospodarstwa, odczuwająca dotkliwie swój stan — siadała do roboty, wówczas marzyła o ciepłych słowach, pieszczotach delikatnych, a czułych— o dłoni, w którąby swoje złożyć mogła, a snując z tym kimś marzenia o przyszłości, patrzeć śmiało i z błogiem uczuciem szczęścia w jego oczy. Nie umiała jednak wyobrazić sobie w tej roli męża. Pocałunki jego, pieszczoty były inne niż te, o jakich marzyła; z ust jego padały słowa tak różne od tych, któremi sama myślała.... Przypomniała sobie zwierzenia pani Janowej: przed przyjściem na świat jedynaka znienawi-

dziła niemal męża — męża, dla którego szalała z miłości; każdy jego uścisk, jego zbliżenie się napełniało ją wstrętem. „Tak być musi—to zupełnie naturalny snadź objaw, kiedy potem, gdy nasz Staś przyszedł na świat, mąż mój był mi na nowo kochankiem, a pieszczoty jego przyjmować już mogłam z uległością i bez przymusu.“

Pani Janowa była doświadczoną mężatką i zdanie jej musiało mieć wartość. Uspokajała się też Jadzia i oczekiwała niecierpliwie rozwiązania—chcąc jak najprędzej znaleźć w swem sercu dawne uczucie dla Tadeusza, takie, z jakiem szła do ołtarza: wiarę, ufność i wdzięczność za jego wybór.

* * *

Na tydzień przed wigilją przyjechała Ola rannym pociągiem, zupełnie niespodzianie. Pani Michałowa z panem Ignacym uradzili, że tak być musi:

„Jadziunia wyjeżdżać nie może — mówił staruszek, pierwsze święta — sama biedaczka niezdrowa. Niech pani pośle Olę—my tu we trójkę zostaniemy i będzie nam dobrze, a jej biedaczce buzia się rozjaśni, gdy Olę zobaczy. Ostatni list nie podoba mi się wcale....“

Pan Ignacy przywiązany był bardzo do całej rodziny. Koledzy ze szkół kochali się z pa-

nem Michałem i nie było nawet mowy, aby rozstać się mogli. Pan Ignacy ukończywszy wydział filologiczny, spotkał kolegę, odwiedził go latem i odtąd już nie wyjeżdżał z Michałówki. Uczył Olę, potem Jadzię, pisywał do dzienników, a mając niewielki kapitalik, ulokował go u p. Michała i zżył się z niemi, nie mając ani krewnych ani innych przyjaciół. W młodości kochał się podobno nieszczęśliwie i stąd ślubował starokawalerstwo. Niektórzy szeptali, zwłaszcza dawniej, że spotkawszy młodą wówczas panią Michałową, w niej to zakochał się i potem tę miłość zamienił w szczerą przyjaźń, podobną, jaką miał dla męża. Teraźniejsze poglądy na ludzi—na temperamenty ich i na naturę, która ma być silniejszą ponad wszystko, uniemożliwiałyby dla wielu podobny stosunek, ale, że to się działo przed 20 laty—więc kto wie? może?... wreszcie teraz pan Ignacy nie wyglądał na Romea, a pani Michałowa o „temperamencie limfatycznym" i wówczas nie pozowała na Julję. Bardzo wykształcony, był przyjemnym towarzyszem — tak, że i w okolicy mile widziany, zawsze wesół, uchodził za powiatowego wujaszka. Szczególnie panienki przepadały za nim, wszelkie konfidencje, plany zwierzały mu pod wielkim sekretem i on pierwszy mógłby zazwyczaj powiedzieć, kto z kim się ożeni, kto się kocha i t. d. Jadzia była jego faworytką jako sierota. Olę mniej

lubił za jej złośliwy języczek i wielkie pretensje do urody. Będąc jednak przyjacielem rodziców, miał dla niej życzliwość i stosowną uwagę, radę lub przestrogę; starał się pohamować śmieszności uczennicy.

— Moja pani—więc dobrze? pojedzie Ola? pytał przy śniadaniu smażąc sobie grzankę na kominku—zwykłe zajęcie ranne. Nikt tak doskonale nie rumienił krajanek chleba....

— Ja nic nie mam przeciwko temu, ale widzi pan, Michał nie lubi, aby kogo z rodziny brakowało przy wigilii—powtóre nas troje—nie do pary.

— Pfe! moja pani, cóż to, jesteśmy przecie ludzie cywilizowani, abyśmy przesądom nie schlebiali. Wreszcie można będzie Grzegorzowę posadzić—wszakże to i szlachcianka i przyzwoita kobieta—Ola zaś zabawi się w Warszawie, rozerwie, no i naszej Jadziuni raźniej będzie. Pani Michałowa pogroziła mu palcem.

— Oj, panie Ignacy, czy pan czasem nie zanadto myśli o Jadzi?—doniosę o tem panu Tadeuszowi—niech się ma na baczności.

— Tak, tak, w starym piecu—dobrze pani mówisz! było się jednak kiedyś młodym i kochało i walczyło, a przecie... et! Machnął ręką i pochylając się u kominka utonął wzrokiem w rumianej grzance.

Pani Michałowa uśmiechnęła się dobrodusznie, a z pod małego czepeczka wyglądała

twarz czerstwa, o paru bardzo dobrych, piwnych oczach. Pan Ignacy wygrał partję—Ola pojechała, a pan Michał zgodził się na Grzegorzowę.

— Otworzył drzwi Tadeusz, był w negliżu, niewyspany, gdyż powrócił późno w nocy i w nieszczególnym humorze, do czego przyczyniły się jeszcze poboczne okoliczności.

— Ach! kuzynka! proszę, bardzo proszę— a to niespodzianka doprawdy, sam nie wiem, jak przeprosić—jestem nieubrany—zaraz przyślę Jadzię. Wybiegł do sypialni i słychać było, jak zbudziwszy żonę napędzał ją do wyjścia. Ola rozglądała się tymczasem po mieszkaniu. Obdarzoną bardzo dobrym gustem raziła zbieranina mebli niewykwintnych i tandetnych; za to pogodziły ją odrazu z resztą kwiaty ślicznie utrzymane i wzorowy porządek, jaki wszędzie panował.

— To on—a to jej dzieło! powiedziała sobie w duchu—biedna Jadzia! dodała jeszcze po chwili--jaki on nieładny! jaki żółty, ach! i te meble, te meble! Pocichutku wsunęła się Jadzia do pokoju, objęła kuzynkę ramieniem i znać było, że jest wzruszoną prawdziwie.

— Nie patrz tak na mnie—jestem brzydka—zmieniona! ale to nic! to przejdzie, uśmiechając się smutnie, odpowiadała na niemy podziw Oli.

— Zmizerniałaś, zakonkludowała Ola—nic nam nie pisałaś o tem—mamaby się niepokoiła,

a pan Ignacy chyba najwięcej. I opowiedziała Jadzi, w jaki to sposób przyszło do tego, że przyjechała na święta. Pan Tadeusz wszedł wkrótce ubrany, podano śniadanie, a w czasie niego dowiedziała się Ola o świetnych interesach, planach na przyszłość jeszcze świetniejszych— wywnętrzenia się tego nie przerywała Jadzia słówkiem, w uszach jej brzmiały słowa męża:

— Wie pani, że jestem zapracowany, praktyka rozwija się doskonale, pieniądze Jadzi ulokowałem bardzo dobrze, no i ona chyba nie może na mnie się skarżyć.... Objął żonę wzrokiem, który był bardzo dwuznaczny, tak, że obie poczerwieniały mocno. Na bladych policzkach Jadzi oddawna taki rumieniec nie gościł— a Ola, nucąc jakąś piosenkę, wybiegła do saloniku chcąc spróbować pianina. Drobna, ułomna figurka, ustrojona w kolorową suknię, szpeciła twarzyczkę miłą i pozbawioną owego zwykłego piętna, jakie noszą garbaci i garbate. Była bardzo ożywioną i wielki spryt bił z czarnych oczu.

Gdy zostały same i rozgościła się już w pokoju Jadzi,—pociągnęła kuzynkę na szezląg, a opowiadając o Michałówce, starała się wywołać zwierzenia z jej strony.

— No, jakże tam ze szczęściem małżeńskiem? moja biała gołąbko, czy miałam rację dając ci rady? czy korzystałaś z nich? Jadzia

patrzała w okno i pomieszana wymijająco odparła:

— Doprawdy nie wiem, Tadeusz dobry, uczciwy i jestem szczęśliwa... naturalnie, że szczęśliwa... zamilkła, nie widząc już, jak po wargach Oli przemknął na sekundę złośliwy uśmiech.

— Chwała Bogu—baliśmy się o ciebie— taka niedoświadczona byłaś, taka młoda...

— To prawda, niedoświadczona, wiesz co, Olu, mnie się zdaje, że panny powinny wszystko wiedzieć i nie iść w życie z zawiązanemi oczyma... to niebezpieczne. Ty przynajmniej nie jesteś taką, prawda? dlaczegobyś mię inaczej nazywała wtedy „gołąbką"? Pobladła—w myśli odbiła się scena nocy poślubnej - epitet „gąski" jaki wówczas słyszała i owo straszne wrażenie, zapadania w przepaść....

— Ja? cóż znowu? mam przecie 25 lat— ciekawa od dzieciństwa, namiętna, wreszcie— wcześnie zrozumiałam, ale ty....

— Czemu nie byłaś ze mną szczerą, czemu traktowałaś mię zawsze jak dziecko?

— Jesteś o 5 lat młodszą ode mnie, eteryczna, idealistka—to takie ładne—pocóż psuć cię miałam? czyż nie lepiej, aby to było udziałem męża? mój, będzie bardzo biedny, bo pozbawiony tego przywileju! roześmiała się wesoło, a Jadzia powstała i podeszła smutnie do okna.

— Moja Olu, to może i lepiej—widzisz—

ja się nie skarżę—Tadeusz bardzo dobry, ale są strony małżeństwa takie dziwne, takie nam nieznane, z któremi zżyć się trudno—lepiej z góry wiedzieć—no, ale chwała Bogu, żeś ty ode mnie mądrzejsza....

— Wiesz co Jadziu, że ty mi się teraz nie podobasz—wyglądasz na przybitą i smutną—wesołą coprawda nigdy nie byłaś, ale przynajmniej pogodną. Teraz coś, niby pesymizm, ej! ej! czy ten pan Tadeusz czasem nie zbroił czego—może cię zdradza, może zaniedbuje?

Jadzia zbladła i broniąc się gwałtownym ruchem ręki przeczyła główką i słowami.

— Nie, Olu, nie—ja jestem szczęśliwa—on niczemu nie winien, a jam tylko teraz słaba i to dlatego. Tadeusz tak jak inni mężczyźni, nie mógł być świętym — ale teraz ja jemu wierzę!

Ola nic już nie odrzekła, pożałowała może zapytania, widząc podrażnienie Jadzi—wreszcie wiedziała już wszystko—była pewną, że w sercu kuzynki niema miłości, a tylko chęć oszukania samej siebie, bronienie par force małżonka przez przyjaźń, przez litość—wreszcie, najgłówniej, z poczucia obowiązku.

Pan Tadeusz spóźnił się na obiad, ale przyszedł za to w doskonałym humorze. Przekomarzał się z Olą swatając ją z różnymi znajomymi—pod koniec zaś obiadu, flirtować nawet zaczął całując drobną rączkę ożywionej Oli.

— Nie przypatrzyłem się dawniej kuzynce. Ogromnie lubię takie ogniste oczy i temperament. O! bo kuzyneczka musi go mieć. Podniecony trunkiem obejmował niemal namiętnym wzrokiem ułomną postać Oli.

— A czy pan dobrze mi się przyjrzał? nie zauważył pan zapewne mego garbu i przywileju garbatych—złośliwości? szkoda, niech się pan teraz strzeże! powstała i chłodno mierząc go od stóp do głowy dodała podchodząc do milczącej Jadzi, zajętej chowaniem zastawy.

— Czy pan zna bajeczkę o żabie i wole? nie? to niech pan ją uważnie przestudjuje!

— Ładny numer! dodała w myśli—biedna Jadzia—a to wpadła! Brzydal, fanfaron i do tego donżuan!

Pan Tadeusz nie stropił się wcale, roześmiał się głośno zadowolony, a zwracając do żony zawołał:

— Ucz się Jadziu od kuzynki umiejętności życia i towarzyskich talentów—jesteś czasami za monotonną, sentymentalno-eteryczną! coś z ameby lub obłoku, co kto woli! prawda kuzyneczko?

— Jadzia jest kwiatkiem, który nie w miejscu, jak ów przy kożuchu może zwiędnąć. Jadziu, chodźmy na spacer—wychodziemy na całe popołudnie—ruch jej nie zaszkodzi- a nudy zabić mogą. Pan zaś naturalnie drzemać będzie—odpoczynek po pracy! ironicznie rzuciła

Biblioteka Główna

uprowadzając z pokoju Jadzię, która naprożno łzy skryć chciała—udała jednak, że ich nie widzi, a opowiadając ploteczki sąsiedzkie napędzała do ubierania się i wyjścia.

Tegoż dnia wysłała długi list do matki, donosząc o wrażeniach swoich, a gdy pani Michałowa dała go do przeczytania panu Ignacemu—ten sposępniał i kiwając smutnie głową mówił:

— A co—czy nie miałem racji—że nie trzeba mówić hop! nasza Jadziunia, kto wie czy nie przypłaci omyłkę tego pośpiechu. Ej! te panny i te panie! wam aby tylko wydać za mąż! zawszeście wszystkie jednakowe.

Pani Michałowa milczała, nie chciała się się sprzeczać—a w głębi duszy sama zaczynała wątpić, czy dobrze zrobiła zachęcając do tego zamęścia. Pan Michał i pan Ignacy od początku byli przeciwni—nie lubiąc Tadeusza—ona jedna z Jadzią broniły go i obroniły.

* * *

Po drzemce poobiedniej humor pogorszył się znacznie. Minęło podniecenie, a kuzynka przedstawiła się, jako nieproszony intruz, rządzący w jego domu zbyt śmiało i bezwzględnie. Nieprzyzwyczajony do nieobecności żony począł się irytować: trzeba było spinki do kołnierzyka—nie mógł znaleźć. Jadzia zapewne gdzieś schowała i nie dbając o niego, o męża, pole-

ciała naturalnie z kuzynką, zostawiając dom i gospodarstwo na Opatrzności Boskiej. Nadomiar złego, nafty właśnie zabrakło i służąca przyszła prosić o pieniądze.

— Wynosić mi się do krocset—cóż to ja mam jeszcze o lampach myśleć!—od czegóż trzymam was wszystkich—po co pracuję i haruje jak wół!

Wylękniona sługa usunęła się natychmiast, ale wytrącony ze zwykłego trybu pan domu, długo uspokoić się nie mógł i zły humor wzrastał crescendo. To też, gdy panie powróciły, zaledwie skinąwszy im głową wyszedł, trzaskając drzwiami, a w pokoju swym zastała Jadzia powyciągane szuflady, porozrzucane drobiazgi,—nawet jeden zamek wyrwany, do którego klucza snać pod ręką nie było. Spustoszenie to świadczyło jasno o usposobieniu i zaniepokojona żona dnia tego długo usnąć nie mogła, tembardziej, że zaledwie dobrze po północy powrócił Tadeusz i z głośnem otwieraniem drzwi skierował się do gabinetu, gdzie miał sypiać w czasie pobytu Oli. Dnie następne były bardzo podobne do tegoż, i już nawet Jadzia nie starała się nadrabiać miną, widząc bardzo dobrze, że braki w jej pożyciu nie mogą długo ukryć się przed Olą—nie mówiły jednak nigdy o nich—nawet zdala omijając wogóle kwestję małżeńską. Coraz częściej wymykała się też sama Ola do miasta, do znajomych, nie chcąc przyczyniać

się niczem do niezadowolenia męża—wreszcie towarzystwo jego ciężyło jej i nie umiała panować nad złośliwością, jaką jej dyktowała antypatja, coraz bardziej wzrastająca.

Boże Narodzenie minęło cicho, ale nie bez burzy domowej. Wigilja miała być sutą, trunków wbród, kosztowne owoce, słowem zbytek, na jaki zdawało się Jadzi, że ich nie stać. Nie śmiała jednak oponować, a tylko ze swojej strony starała się oszczędnie urządzić; gdy więc okazało się, że zamiast 3 potraw były 2—nastąpił wybuch, wymówki—nawet zamiar opuszczenia stołu—istne piekło, na widok którego Ola, zwykle energiczna i śmiała, straciła rezon, w duszy zaś postanowiła jak najprędzej wyjechać i wezwać ku pomocy rodziców. Zostawić tak młodą, niezdrową kobietę na pastwę brutala zdawało jej się zbrodnią. Ale gdy nazajutrz, obudziwszy się wcześnie, zobaczyła, że Jadzi niema w łóżku, a rozmowa z sąsiedniego pokoju doszła do jej uszu, niektóre urywki i słowa wprowadziły ją w stan osłupienia—a nawet oburzenia—nie mogła wybaczyć Jadzi braku ambicji. Byłaby chętnie rzuciła jej to zaraz w oczy, nazwała niewolnicą, służalczą, nizką naturą. Gdy jednak po jakimś czasie weszła Jadzia, na twarzy jej malowała się taka bezgraniczna rozpacz, taki ból, że w jednej chwili zapomniała Ola o wszystkiem; otworzyły jej się oczy na rzeczywisty stosunek w małżeństwie—

przeniknęła całą moralną nędzę—na jaką są skazane słabe, niedoświadczone charaktery— bunt podnosiło jej serce, umysł — wszystkie nerwy.

* * *

— Doprawdy nie pojmuję, jak można było wydać ją za tego nieokrzesanego egoistę—no, wiesz co Olu, mam tobie i rodzicom twym za złe ten niefortunny marjaż....

Ola podniosła brwi w górę, co czyniła zazwyczaj myśląc o czemś w skupieniu, nie odpowiedziała wprost na wykrzyk przyjaciółki, i szły dalej Nowym Światem—opuściwszy właśnie dom p.p. Tadeuszostwa. Towarzyszka Oli była to wysmukła panna, ładnie zbudowana, o twarzy wyrazistej i energicznej. I w życiu była taką: nie figurowała nigdy w liczbie panien na wydaniu, od czasu ukończenia pensji była ciągle czynną, a złośliwi nazywali ją „społeczną panną“ zapewne dlatego, że nie zasklepiła się wyłącznie w swojem „ja“ i w ciasnem kółku egoistycznych zachcianek. Obecnie była przewodniczką jednej z ochronek, z zapałem wykładała katechizm i abecadło nie poprzestając jednak i na tem, znała każdą uczennicę bliżej, wiedziała kim jest ojciec, matka, w jakiem otoczeniu wzrasta, słowem i po za ochroną chciała być czemś dla tych bladych stworzonek.

Rodzice nie przeszkadzali jej w tem; mieli

jeszcze dwie córki bardzo ładne, na nie rachowano więc, jako na mające przynieść splendor domowi świetnem zamążpójściem. Marynia wyrodziła się zupełnie: ani ojciec, ani matka nie mogli dopatrzeć się w niej cząstki swego „ja“. Początkowo markotno im było, następnie pogodzili się z losem oddzielając raz na zawsze pojęcie rodziny od tej ekscentrycznej, tak różnej istoty. Co urobiło w niej ten charakter? prawdopodobnie wpływ jednej z nauczycielek, którą uwielbiała, a która umierając zostawiła 15-letniej wówczas Maryni, nieocenioną w sercu spuściznę: miłość bliźniego, a w główce myśl. Z Olą były krewnemi, wprawdzie dalekiemi, lecz spotykały się dość często i, rzecz dziwna, sympatyzowały z sobą.

— Brr.... jak pomyślę, że taka istota musi żyć z tym człowiekiem, żyć do smierci.... jak ja szczęśliwą się czuję wiedząc, że mnie nie czeka los podobny. Mam moje dzieciaki, moich biedaków w suterenach i codzień mogę coś zrobić—codziennie przynieść ulgę—a ona co?

— Zapominasz, że ona będzie miała też dziecko i to swoje własne—to jeszcze droższe...

— Droższe? czy dlatego, że będzie pamiątką po tej poetycznej miłości pana Tadeusza? czy dlatego, że jej własne?

— Dlatego, że własne— więc droższe...

— Nie, to egoizm—nie rozumiem go. Dzieci, które ja kocham są wreszcie bardziej moje,

niż to, które ona mieć będzie—ja im duszę daję, ja im serce rozwijam.

— To wszystko i ona uczyni....

— Pytanie—a ojciec? Zapewne współdziałać nie będzie, a i ona w tej upokarzającej niewoli zatraci wszystkie jasne pojęcia—stanie się zerem....

— Jesteś stronną entuzjastką... i ty napotykasz przeszkody: ciemnotę rodziców, zły przykład, warunki...

— Dość, dość... może i masz rację, ale jabym nie umiała kochać dziecka, któreby przypominało mi....

— Ty nie mogłabyś? nie, Maryniu—to do ciebie niepodobne... patrzaj, jak się za nami oglądają... tak gorącą dysputę wiodłyśmy na ulicy—coby na to powiedziały twoje eleganckie siostry i mama? wszak to shocking—w najwyższym stopniu.

— Tak—shocking. Ja cała jestem uosobieniem nieprzyzwoitości. Biedna mama! ile ja ją zgryzoty kosztowałam, ale teraz już to minęło, ze wszystkiem się ludzie zżywają. Jak będziesz miała czas, zajdź kiedy po mnie do ochrony—pokażę ci moje dzieła i może znowu odwiedziłabym twoją kuzynkę—pomimo wszystko, żal mi jej i chcę pozyskać jej życzliwość....

Pożegnały się u bramy domu Maryni. Ola szła na wieczór do znajomych... oczekiwanie wydawało jej się długiem... Parę dni temu

poznała tam jednego młodego mężczyznę, który przez cały wieczór asystował jej zapamiętale... prawił komplimenty, a patrzał! O! toby dopiero mama się uradowała, gdyby widziała ten sukces. Pani Michałowa marzyła o zamążpójściu córki. Dotąd, oprócz dwóch sąsiadów: jednego wdowca z dwojgiem dzieci, o majątku podrujnowanym i drugiego znanego hulaki, nie miała Ola nikogo. Za wdowca byłaby może i wyszła, gdyby nie to, że raził ją trywialnością i płaskimi dowcipami. Drugi, hulaka, podobał jej się nawet, był bowiem bardzo przystojny i umiał się znaleźć, ale tu znów nie było wątpliwości, że na posag czyha....

Późno bardzo, bo około 3-ej w nocy, odprowadziło Olę młode towarzystwo, zebrały się 4 pary. Ola szła pod rękę z panem Adolfem. Wysoki, w eleganckiem futrze, przystojny, wyróżniał się dodatnio pomiędzy resztą młodzieży. Ola to odczuwała i rączka jej chwilami drżała na ramieniu towarzysza. W jego oczach, gdy oświetleni latarnią patrzyli na siebie, malowało się rozmarzenie, tęsknota, w oczach Oli migały błyski i ogromne uradowanie. Postanowionem zostało, że jutro złoży uszanowanie pp. Tadeuszostwu, aby módz często odwiedzać ich dom i mieć możność lepszego poznania panny Aleksandry, dając się nawzajem poznać, tak z dobrych, jak i złych stron. Ostatnie słowa wypowiedziane były tak smutnie, że w duszy Oli

powstało pragnienie upewnienia go, że te złe jego strony muszą tylko istnieć w jego wrażliwej i nadczułej wyobraźni. Sympatyczna powierzchowność, elegancja i nieco dowcipu, otoczyły Adolfa pewną aureolą, poza którą Ola, marząca o małżeństwie, nie chciała już nic widzieć. Rozsądnie roztrząsająca kwestję szczęścia małżeńskiego dla innych—dla siebie traciła trzeźwość sądu. To też Jadzia nie mogła poznać złośliwej kuzynki w towarzystwie p. Adolfa. Była czułą, prawie sentymentalną, a oczy mówiły wyraźnie, że rady, dawane ongi Jadzi, zamyśla autorka w czyn wkrótce zamienić. Pan Tadeusz zaprzyjaźnił się natychmiast z konkurentem Oli. Obaj widocznie zagustowali w swem towarzystwie. Uprzejmość Adolfa tłomaczyła sobie Ola dobrocią jego serca—grzeczności zaś Tadeusza chwilowym kaprysem lub interesem.

Zwykle martwy salonik Jadzi napełnił się dziś ruchem i wesołością. Zebrało się kilka osób, między któremi odbijała jaskrawo wspaniała postać p. Adolfa i oryginalna—Maryni. Jadzia krzątała się około herbaty, była bardzo bladą i mizerną, a w zielonej sukni cera jej jeszcze bardziej traciła. To też Tadeusz z niechęcią odwracał od niej oczy, gniewając się na nią za tak mało ponętną powierzchowność. Znikał co chwila z salonu troszcząc się o kolację i zastawę stołu, co dawało jeszcze pretekst

do złośliwych uwag, czynionych podrażnionym i ostrym tonem.

—Nigdy o niczem nie pamiętasz—nie wiem, doprawdy, o czem myślisz? chodzisz senna, niemrawa, istna zmokła kura! Albo też ta suknia! Ładny masz gust—niema co—ubrać się w taką zieleninę! zwłaszcza teraz, gdyś zbrzydła haniebnie! Jadzia nie odpowiadała; jak zahypnotyzowana stawiała talerze i koszyczki—myliła się, ręce jej drżały, a w głowie biły tętna...

— Milczysz, słowa się dobić z ciebie nie można, naturalnie uznajesz za stosowne obrazić się, nadąć... tak... ty tylko też to potrafisz! Możeby wreszcie odpowiedziała coś na ostatnie słowa, pomimo kurczu gardła, gdyby nie wejście Maryni. Spojrzała na oboje i domyśliła się, że tak zwana scena małżeńska ma miejsce.

— To pan tak gorliwie żonie pomaga?— nie spodziewałam się—to takie zabawne! mężczyzna z kluczykami!

— Nie wiem, co w tem zabawnego, zwłaszcza, gdy żona niezaradna, wreszcie mniej zabawne, niż kobieta z dążeniami wyrównania mężczyźnie!

— Wyrównania! naturalnie, to byłoby nawet smutne; kobiety powinny ich przerastać, jak i jest po większej części.

— Z papierosem w ustach i krótkiemi włosami!

— Niech pan pozwoli, ja wyręczę; to mó-

wiąc odebrała Tadeuszowi talerzyk, który w ręku trzymał i stanowczym ruchem usunęła go od kredensu. Jadzia wyszła na chwilę do kuchni. Tadeusz patrzał na ładną figurkę Maryni, na jej ciemne oczy, przysłonięte do połowy rzęsami, a że był już po małej zakąsce i paru kieliszkach, budziły się w nim porywy donżuana.

Marynia udawała, że nie dostrzega, ani jego zmysłowych spojrzeń, ani blasku, jaki nagle w zaczerwienionych oczach zapłonął i ze spokojem spełniała rolę gospodyni.

— Ot! pani! to zupełnie co innego—biedna moja Jadzia spasowała strasznie i fizycznie i moralnie....

— Pan znajduje, że dopiero teraz żona pańska robi omyłki? ja sądzę, że najważniejszą dawniej popełniła.... a stawiając ostatni koszyczek z ciastem, objęła Tadeusza śmiałem i ostrem wejrzeniem, poczem przeszła prosta i zimna idąc wgłąb saloniku.

Tadeusz pośpieszał za nią nie dostrzegłszy Jadzi, stojącej we drzwiach, wiodących do kuchni. Była bardzo blada, brwi zsunęły się w jeden łuk.... słyszała ostatnie zdanie i słowa Maryni wywołały na chwilę gorzki uśmiech na bladych jej wargach.

Ola promieniała. Pan Adolf wsparłszy się o mały stoliczek mówił długo modulując dźwięczny swój głos, ona piła jego słowa i zda-

wała się wzrokiem pytać obecnych: „prawda jaki on piękny, jaki dobry!“

Tegoż wieczoru, po kolacji, oświadczył się i... naturalnie został z entuzjazmem przyjęty.

Nazajutrz poszła depesza do rodziców. Pan Tadeusz dodał od siebie, że ręczy za zacność i solidność charakteru. Materjalnie stać miał dobrze, był urzędnikiem banku z pensją rb. 1800. Przy posagu Oli—mogli być o byt spokojni.

Państwo Michałostwo otrzymali depeszę w nocy, ruch się zrobił w cichym domu. Oboje ubrali się i przy świetle na prędce zapalonej ampy, długo, prawie do rana, roztrząsali wiadomość, która więcej zaniepokoiła ich, niż ucieszyła. Pan Michał nie kładł się już wcale. Małemi sankami wyruszył w pole i tam na świeżem powietrzu, na obszernej przestreni, pokrytej śniegiem, zastanawiał się nad losem córki. Pani Michałowa krzątała się machinalnie około gospodarstwa, ale co chwila zastanawiała się głęboko, trzymając w ręku pęk kluczy i nie zdając sobie sprawy z tego, co wokoło się działo... Skorzystał z tego kucharz, podwójną wziął porcję masła i cukru, a tylko z ukosa rzucał niespokojne wejrzenia ku dziedziczce, czy nie spostrzega nadużycia. Ale pani Michałowa była myślami daleko od masła. Najmniej zdziwionym był pan Ignacy; spodziewał się tego, że Ola przyjmie pierwszą lepszą propozycję małżeńską

i zapytywany pomrukiwał coś niewyraźnie z niezbyt uprzejmą miną.

— Doprawdy, nie pojmuję pana, mówiła z żalem pani Michałowa, pan taki nam życzliwy, w tym wypadku, zda się, nie bierzesz udziału w naszej....

— Radości—chciałaś dobrodziejko powiedzieć, przerwał jej szorstko.

— No, a pan zaczniesz po swojemu krakać naturalnie.

— Ani krakać, ale i nie skakać—zobaczymy! Jedź teraz pani do tej sroki i przypatrz się adonisowi, którego sobie wykopała—to teraz—a potem zobaczymy!

Nie zdążyła jednak wybrać się do Warszawy, gdy przyszła druga wiadomość, że Ola wraca do domu, a w parę dni potem ma przybyć pan Adolf.

W wigilję wyjazdu Oli zebrało się znów liczniejsze kółko u Tadeuszostwa. Przyszła Marynia z koleżanką swoją z ochronki, pan Adolf z siostrą, starą panną, bardzo złośliwą, ale inteligentną, wreszcie pp. Janostwo, sąsiedzi Tadeuszostwa. Ona miłutka i bardzo naturalna kobieta lat około trzydziestu, on typowy mąż z pod pantofla, uosobiona łagodność i delikatność. Był inżynierem i pracował w jednem z biur technicznych. Jadzia czuła się dnia tego nieco lepiej, ożywiła się trochę, czem dużą zasługą było towarzystwo Maryni, która wzięła ją pod

swoją wyłączną opiekę: pomagała w gospodarstwie i w wolnych chwilach gawędziły z zapałem. Tadeusz, widząc nieodstępną towarzyszkę żony, krępował się i nie zachodził do kuchni, od czasu do czasu tylko rzucając niespokojne spojrzenia w stronę jadalni. Wszystko tam jednak było w porządku, tak, że do niezadowolenia nie miał powodu.

— Gdyby pani wiedziała, jaka ja jestem zła na Olę, mówiła Marynia do Jadzi stojąc we drzwiach, wiodących do saloniku z sypialni. Jadzia zmęczona przysiadła na taburecie, zasłonięta dużym filodendronem.

— Za co, panno Maryniu?

— Za jej gwałtowną miłość ku tej gładkolicej lalce.... pani myśli, że oni będą szczęśliwi! Jemu chodzi o posag—szyję dam, a jej—et! lepiej nawet nie mówić. Te kobiety do pasji doprowadzają! albo i pani—trzeba to było pani tak się śpieszyć!

Jadzia poczerwieniała i spuściła szybko głowę.

— Może pani się na mnie gniewa za to, dodała zaraz, pochylając się z wdziękiem — ale ja jestem szczera i panią polubiłam — z pani to takie słodkie dziecko—prawdziwa gołębica!

Znowu gołębica! czyż zawsze ten przydomek prześladować ją będzie!

— Niech pani mówi, co myśli, panno Ma-

rjo—ja sama wiem, że życie znam mało i dlatego....

— Dlatego zrobiła pani to głupstwo! Tylko niechże pani nie zapomina, że i kobieta powinna mieć swoją godność i niech pani się nie daje.... Wie pani co, ciągnęła po chwili—jak pani już będzie zdrowa i życie jej wejdzie w pewien tryb, pani musi razem ze mną pracować—praca to pyszny wynalazek; to dreptanie koło garnków i skarpetek mężowskich—wystarczać nie powinno...

— A dziecko? zcicha rzuciła Jadzia.

— Dziecko? no, to rzecz inna, tem niech się pani zajmuje i to gorąco. Jeśli będzie chłopiec, niech pani w niego wpaja nie te zasady, które ciągle słyszymy, że mężczyźnie wszystko wolno, że mężczyzna to zupełnie co innego; co nie wypada kobiecie—mężczyźnie się słusznie należy etc. Nie! bo potem wyrośnie z niego taki pan, który przed niczem się nie cofa, bo jest mężczyzną i jemu wolno! A gdy będzie córka, niech pani z niej zrobi człowieka, nie lalkę, lub białą gołąbkę, którą byle jastrząb o silnych szponach i dziobie porwie dla chwili rozkoszy... lub interesu. Mnie się wprost w głowie pali, wre, gdy myślę, jak zupełnie inaczej powinno być na świecie, ja przy pani stać będę....

— I niech mi pani dopomaga wychować....

Spojrzały sobie w oczy głęboko, ręce wyciągnęły do ciepłego uścisku i zamilkły obie.

Jakiś uroczysty nastrój osiadł w ich duszach; odbiegły tak daleko od reszty towarzystwa, że dopiero wyraźny i niecierpliwy szept Tadeusza zbudził je z tej zadumy.

— Kiedy będzie kolacja? nic o tem nie myślisz!

Jadzia drgnęła, spojrzała na twarz męża i wydał jej się tak małym, tak płaskim, tak lichym z tą irytacją w rysach, z temi złośliwemi oczami, któremi chciał ją w tej chwili, jakby prześwidrować.

Spokojna i pewna siebie odpowiedziała chłodno:

— Zaraz będzie—wszystko gotowe.

Coś w jej głosie musiało być odmiennego, gdyż pan Tadeusz, jakby zdziwiony, nie znalazł repliki i, popatrzywszy na żonę i Marynię, odszedł wolnym krokiem.

Pan Adolf był bardziej niż kiedykolwiek melancholijny. Dużemi szafirowemi oczami obejmował Olę i popadał w zadumę, z której dopiero uśmiech lub słowo narzeczonej budziły go nagle.

— Nie wiem, co z tymi dniami pocznę, gdy pani widzieć nie będę, mówił przyciszonym głosem: trzy długie dni rozłąki....

— A przecież znamy się tak niedawno— a wtedy, gdy o mojem istnieniu pan nie wiedział—jakże wtedy było? Trochę złościwości zabrzmiało w tych słowach, choć żywy rumieniec i rozpromienienie były w twarzy Oli.

— Kto nie zna szczęścia—nie zna też cierpienia z powodu jego utraty....

Umilkł, a tylko wzrokiem dośpiewał resztę miłosnego hymnu.

Dłoń Oli spotkała się z gorącą dłonią pana Adolfa, i już tego wieczoru nie mówili więcej o wyjeździe....

*

* *

— Uf! a tom zmachany! prawdziwa katorga! mówił, o wiele mniej melodyjnym głosem niedoszły Romeo do siostry, gdy wracali do domu.

— Po co sobie zadajesz tyle trudu? ta mała i bez tego po uszy w tobie zakochana! Będziesz miał żonę z temperamentem Adolfie! zaśmiała się stara panna i szyderczo spojrzała na brata.

— Brr... otoż to, lękam się tego, Jak wiesz, lubię kobietki z temperamentem, ale w tej wolałbym mniej.... Każdy medal ma jednak dwie strony.... żeby choć tylko ta Michałówka nie miała odwrotnej....

— A zaglądałeś do hipoteki?

— Ba! rozumie się! W Towarzystwie zbadałem doskonale; długów niema.... tylko czy starzy oddadzą? wreszcie Tadeusz twierdzi, że kapitał jest—na ten najbardziej rachuję....

— No przecie, a już mi obrzydły te twoje dotąd niefortunne konkury; ile to już kandydatek na moje bratowe kazałeś mi oglądać. No, przyznam ci się jednak, że na garbatą nie byłam przygotowaną. ..

— Ha, à la guerre comme à la guerre! Swoją drogą ta wysoka panna z ochronki podoba mi się więcej.... tę ujarzmić, z tej ust pić słodycz! cóż kiedy jest goła, a zresztą narwana i feministka! ale warta grzechu, warta!

— Możesz w przyszłości zgrzeszyć! kuzynka!

Zaśmiali się cynicznie, a dochodząc do bramy pan Adolf pożegnał szybko siostrę. Na przeciwnej stronie ulicy dojrzał kogoś.... Stara panna obejrzała się i w małych jej oczkach zabłysło coś nakształt zazdrości. Westchnęła nad losem, który ją zrobił kobietą i do tego szpetną, bo gdyby była pewniejszą swych wdzięków....

*

* *

Z cienia sypialnego pokoju wychyliła się zwolna blada twarz Jadzi, leżącej na łózku. Kołdra podciągnięta pod brodę, włosy rozsypane w nieswornych skrętach, odbijały jaskrawo przy tej przezroczystej, woskowej bladości. W rogu pokoju stał wózek dziecinny, a w nim

płakało niemowlę, przed paru dniami przyszłe na świat. „Jak to dawno.“ W mózgu Jadzi myśli, jak spłoszone ptaki, wirowały uderzając o ścianki i raniąc je boleśnie.... „Ten wieczór,“ kiedy wiedziała, że „to“ już się zacznie, potem ta męka, trochę lęku przed śmiercią, trochę, bo przecie śmierć sama przez się nie przerażała jej zbytnio. Co po życiu? co ono dać jeszcze mogło? nowe obowiązki i zawody! Ale ten strach przed samym procesem śmierci—ta niepewność co tam, za progiem się spotka.... To były straszne chwile! Podano jej dziecko po kilkugodzinnych torturach—nie uczuła w tej sekundzie owej radości, które ma serce macierzyńskie napełniać—nie! Pocałowała i spojrzała w czerwoną twarzyczkę syna i zadrżała. Był dziwnie podobny do ojca! A może jej się tak tylko wydało! Może to światło niepewne nocnej lampki, w złośliwy sposób zabarwiło podobieństwem rysy dziecka! Musi się jeszcze raz przekonać. Dotąd nie miała odwagi. Gdy podawano jej dla nakarmienia, spuszczała i przymykała oczy, gładząc delikatnie główkę i czoło. Tą pieszczotą chciała przeprosić niewinną istotę... Ale teraz zobaczy.... Podniosła głowę, powiodła wzrokiem,—w pokoju było pusto — zbyteczne meble usunięto, stara niańka poruszała wolno wózek, powtarzając monotonnie przez nos: „luli, luli maleńki.“

— Nianiu! pokażcie mi dziecko?

— Kiedy usypia—jakby dla zaprzeczenia ostry głos zmącił chwilową ciszę. Stara kobieta wyjęła poduszkę z płaczącem dzieckiem i rozespane położyła obok Jadzi. Wsparłszy się na łokciu, młoda matka objęła niespokojnym wzrokiem skrzywioną w tej chwili buzię płaczącego. Patrzała, a z oczu jej poczęły płynąć łzy gorące, choć ciche. Spadały na czepeczek, spływały po wychudłej twarzy Jadzi, żłobiąc w niej krwawą drogę cierpienia. Tak! były to te same rysy, ten sam zacięty wyraz w ustach, jeszcze drobniutkich, a jednak to było również „jej dziecko!“ W sercu Jadzi spływało powoli ukojenie, nie bunt już, nie rozpacz, ale tylko smutek osiadał na dnie i, gdy stara kobieta niecierpliwie rzuciła:

— To już chyba dysyć będzie tego oglądania—Jadzia uśmiechnęła się blado i skinąwszy głową szepnęła: „dość.“

Po chwili znów cisza zaległa mały pokoik, dziecię usnęło, ale sen nie chciał spłynąć do powiek Jadzi. Tadeusza nie było w domu, musiał wyjechać zaraz nazajutrz po przyjściu na świat dziecka. Był chmurny, niekontent, gdy go prosiła, aby został.

— Nie mogę, nie będę cię przecież niańczył, ani też bębna, masz sługę, doktora.... a interesów nie mogę zaniechać.

I odjechał, a ona już go więcej nie prosiła. Bo i po co? Dreszcz przebiegł po plecach, otuliła się szczelniej kołdrą, nie pomagało...

nad ranem zaś poczęła majaczyć.... przyszedł lekarz i znalazł gorączkę....

Gdy pan Tadeusz powrócił, Jadzia była między życiem a śmiercią. Walczyła też z tą ostatnią kilka tygodni i gdy nareszcie niebezpieczeństwo minęło, na świecie była już wiosna w całej pełni. Bzy kwitły, nawet do okna Jadzi pęki kwiecia zaglądały ciekawie, jakby dziwiąc się, że w tej porze, kiedy wszystko rozkwita—młoda kobieta zaledwie na nogach utrzymać się może. Słabemi rękami przysuwała krzesło do okna, obok stał wózek—a ona długie godziny siadywała bez ruchu, patrząc na te pęki liljowego kwiecia, na gołębie, co wesoło gruchały na dachu, lub na twarz dziecka, nie widząc już teraz tego, co wpierw jej serce bólem ściskało. Obecnie też syn wydawał jej się tylko „jej“ własnością i przerwane niegdyś marzenia dziewczęce snuła teraz dla „niego.“ Ojciec mało interesował się Jasiem, nie miał czasu, coraz częściej wieczorami wychodził z domu i coraz częściej dopiero po północy powracał. Nazajutrz bywał niewyspany, kwaśny, skarżył się na ból głowy, na nieład w domu i często powtarzał bez ceremonji: trzeba być idjotą, żeby się żenić i brać kłopot na łeb.

Jadzię nie bolały już te słowa, apatja wsiąkała w jej duszę, choroba oddzieliła ją od pierwszej młodości....

Z pieniędzmi bywało coraz częściej kuso.

Dla oszczędności też odprawiono drugą sługę, choć nieraz wieczorami wyczerpana padała Jadzia na łóżko, wprost jak kawał drzewa. Nie rozumiała z czego żyją, gdyż klijentela nie rozwijała się wcale, i z ulgą myślała niekiedy o tem, że przecie jej posag jest, więc nie może być, bądź co bądź, ciężarem mężowi.

Jaś chował się zdrowo i nie czuła się teraz tak samotną, gdy bez Tadeusza zasiadała do wieczornej herbaty, przysunąwszy wózek z dzieckiem i nie tracąc je z oczu.

*
* *

— Sama pani? w takim razie zostaję. Zdjęła kapelusz i patrzała na Jadzię i malca.

— Mały wygląda dobrze, ale pani to nieszczególnie!

— A jakże u pani, panno Marjo, w ochronce?

— Dobrze! po staremu. Wie pani, że Ola przyjeżdża?

— Ola? jakto sama? a pan Adolf?

Marynia badawczo spojrzała na Jadzię i, namyślając się trochę, prawiła dalej:

— On został za granicą—podobno się rozchodzą, co było do przewidzenia. Gałgan! choć Ola nie przyznaje się do tego. Pisała, że interesy jego wymagają, aby tam został—ale ja wiem z boku, że tak nie jest. Chciał, aby mu wszy-

stko zapisała, gdyż jako ułomna i w innym stanie, może umrzeć. Podobno chciał nawet ją zaasekurować! Dobrze jej tak!

— O! niech pani tak nie mówi! To okropne!

— Okropne! a pani życie, czy lepsze?

Jadzia nic nie odrzekła, mieszając dalej łyżeczką herbatę, a blady rumieniec mówił za nią o wzruszeniu.

— Wszystkie z własnej winy cierpicie.... tak, tak! wszystkie kobiety są słabe, gdy chodzi o jedno—o miłość. Z własnej winy: pani, bo byłaś gąską—Ola, bo dała folgę zmysłom. A co teraz?

— Biedni wujostwo!

— O! oni nie wiedzą o niczem, Ola nie przyzna się nikomu, zanadto ambitna.

— A tak—pisała też do mnie donosząc, że mąż jej został plenipotentem któregoś z magnatów i będzie musiał mieszkać w Galicji—ale nic złego nie pisała o nim.... może plotki.

— Nie. Źródło, z którego ja wiem, niestety jest pewne, zresztą zobaczymy ją wkrótce, za dni parę. Niech mnie pani jutro w ochronce odwiedzi—zapoznam ją z naszym historykiem—to dzielny człowiek.

— Z kim?

— Jeden z nauczycieli, wyjątkowy, bo porządny mężczyzna—chce pani!? A potem będzie mógł czasem zajrzeć ze mną do was.

— Odwiedzę panią chętnie, ale nie dla historyka.

— Ola zaprosiła mnie na lato do Michałówki, ja zaś podałam za warunek, abym również mogła przywieźć z sobą pana Zygmunta. Biedaczysko potrzebuje świeżego powietrza, a nie ma na to....

— I Ola niezawodnie zachęciła panią?

— Naturalnie—wszak i pani tam będzie? Malec musi odetchnąć wsią i zielenią—a mąż?

Zmęczonym głosem odparła Jadzia:

— Nie wiem, nie mówiliśmy o tem.... ostatnimi czasy coraz mniej rozmawiamy. Ja nawet do pani mam prośbę, panno Marjo. Tak mało mam znajomych—pani jedna życzliwa.... tu urwała, głosu jej zabrakło, a oczy zaszły mgłą.

— O co pani idzie? bez wstępów—zawsze jestem na jej usługi.

— Ja nic nie wiem, jak stoją nasze interesy.... czy mąż co zarabia, jak mu idzie.... a pytać go nie śmiem....

— Nie! to już przechodzi granice uległości nawet gęsiej.... Jakto pani nie śmie? a czyż można na to pozwolić! Powinna pani go zapytać, choćby ze względu na syna—wszak to i o jego przyszłość chodzi.

— Myślałam, że pani z boku mogłaby się dowiedzieć.

— Mogę i zrobię to, ale mam za złe pani....

— Niedołęstwo, chce pani powiedzieć. Tak, czuję się niedołężną kompletnie. Coś we mnie umarło z tych lepszych cech mego charakteru; nie jestem dziś sobą nie będąc nią w całem znaczeniu tego słowa nigdy. Co pani chce! widać tak chciało przeznaczenie?

— Pani wierzy w przeznaczenie? Wie pani, czem ono jest: naszą własną wolą, jeśli ją mamy, gdy zaś jej brak komu, tak jak pani— jest ono wynikiem tegoż braku.... Sami jesteśmy dla siebie przeznaczeniem.... Ja panią muszę wyleczyć—ja i historyk....

— To człowiek młody?

— Przedewszystkiem człowiek—co do wieku mniejsza—nie myślałam o tem nigdy... może młody, może nie....

Jadzia patrzała na Marynię, której oczy płonęły w tej chwili świetlanym blaskiem. i, zda się, zagłębione gdzieś w sobie, czerpały tem natchnienie i zapał. Nie była w tej chwili podobną do sceptycznej Maryni. Jadzia też była pewną, że stała się mimowolnym świadkiem wzruszenia, płynącego z miłości. Ten historyk musiał być gwiazdą przewodnią w życiu Maryni więc znaczyło to, że i ta uległa ogólnemu prawu i.... kochała. Nie powiedziała tego jednak głośno, a Marynia nie zwracała uwagi na spojrzenia towarzyszki i zupełnie swobodnie już dalej ciągnęła:

— Czy pani wie, co to jest ukochać ideę? oddać się jej całą duszą, nie zboczyć nigdy z drogi, choćby same kolce na niej się jeżyły. Ba! co ja tam pani prawię! Pani ma już swoją żywą ideę!

„Żywa idea“ zapłakała głośno, krzycząc i marszcząc policzki; nie pozwoliła też Jadzi na replikę i gdy najniespodziewaniej ukazał się w progu pan Tadeusz—obie kobiety przez chwilę milczały, przerzucone nagle w świat inny. Marynia wysunęła rękę po kapelusz, a Jadzia z dzieckiem zniknęła w sypialni.

— Pani ucieka? przede mną? więc tak bardzo nie cierpi mię pani? pochylając się pytał, obejmując rozpłomienionym wzrokiem figurę gościa.

— Ja—pana? a to skąd? czemże pan jest dla mnie? Nie cierpieć można tylko kogoś, co jest dla nas kimś.... pana ja nie znam prawie.... Pani Jadwigo do widzenia! niech pani sobie nie przerywa.... do widzenia!

Już była we drzwiach i nie patrzyła na Tadeusza, który ją poprzedzał ze zmysłowem skrzywieniem ust i przymkniętemi powiekami. Otworzył drzwi z zatrzasku i szepnął na odchodnem:

— Niech mię pani zatem postara się poznać.... będę wolał nienawiść, aniżeli....

— Pogardę.... na którą pan w tej chwili zasługuje. Zatrzasnęła szybko drzwi i odetchnę-

ła na świeżem powietrzu. Zdało jej się bowiem, że jakaś zepsuta woń przytłoczyła jej piersi.

A Tadeusz tymczasem robił scenę żonie:

— Ani mi się waż przyjmować tę, tę.... tu mu słów zabrakło. Jeżeli zastanę ją kiedy w domu—zrobię piekło. Nie chcę i basta! tłomaczyć się nie potrzebuję.

I nie potrzebował, gdyż Jadzia ani myślała o niespełnieniu woli męża, a tylko żal jej się zrobiło przyjaźni Maryni, jedynej sympatycznej duszy.

I gdy położywszy się do łóżka usłyszała przytłumiony głos męża i słowa tak dobrze jej znane:

— No, nie dąsaj się—bo wiem, co robię— a nie znoszę oporu.... no, jakże?....

Dreszcz przebiegał ją całą i wydała się sobie tak nędzną, małą, niezdolną nawet siebie obronić. Łzy nie wybiegły na policzki, ale cofnęły się w głąb, na samo dno duszy, żłobiąc w niej piętna bólu i pogardy.

*

* *

Smutne było powitanie Jadzi z Olą, przybyłą przed kilku dniami z zagranicy. Dawna wesołość i kokieterja zniknęły. Mizerna, karykaturalnie niekształtna, zatraciła dawniejszą pewność siebie. Nie wspominała o mężu, tłomacząc

krótko nieobecność jego interesami. Pod chłodną maską odgadywało się jednak dramat, najgorszy, bo cichy.

W końcu czerwca wyjechały do Michałówki, gdzie zastały już Marynię. Pan Ignacy odmłodniał na widok gości, a choć niekiedy twarz jego zasępiała się patrząc na Jadzię i Olę, mały Jaś rozpędzał gromadzące się chmury uśmiechem.

Rodzice, uszczęśliwieni powrotem Oli, nie dojrzeli początkowo zmiany, jaka w niej zaszła, a troska o jej zdrowie zajmowała ich zbyt silnie. Wreszcie listy od Adolfa przychodziły dwa razy tygodniowo, nie skarżyła się na nic i wątpliwości co do szczęścia córki schodziły na plan dalszy.

— Pani Jadwigo—pan Zygmunt Wiński, prezentowała Marynia po przyjeździe stojącego w cieniu średnich lat mężczyznę.

— Pan Zygmunt zna panią z moich opowiadań.... czyż nie miałam racji mówiąc panu, zwracając się do Wińskiego dodała, że jest to dziecko, któremu kazano być kobietą? Co?

I patrzyli oboje na Jadzię, stojącą z bladym rumieńcem, zamilkłą i zmieszaną. Byłaby się potknęła bez przyczyny, spotkawszy nagle wzrok Zygmunta, gdyby nie Ola, która ją objęła.

— Co tam państwo obgadujecie Jadzię? o! pan Wiński już czyta, a raczej deszyfruje twoją duszę.... Nie dawaj Jadziu!....

— Nie każdy tak potrafi uczynić ją nieczytelną, jak pani.... odciął się melancholijnie. Zresztą ja nie potrzebuję deszyfrować, ja czytam à livre onoert.... Tu spojrzał znów na Jadzię przychodzącą zwolna do siebie: patrzyła na Olę i uśmiechnęła się blado drżąc i bojąc się, aby nie spostrzeżono dreszczy, wstrząsających nią nerwowo.

— Czy wiesz, że pan Zygmunt Wiński miał żonę i wyrzekł się jej dla innego, wyrzekł dobrowolnie—mówiła, prowadząc Jadzię do jej pokoju—w swoim czasie dużo o tem mówiono i zarzucano mu nawet różne rzeczy.... ja tam bliżej nie wiem szczegółów.... Marynia ci to opowie.... ona widzi w nim ideał.... w każdym razie jest to oryginał.

Doszły do rogowego pokoiku, dawniej panieńskiego Jadzi, a gdy wreszcie Ola zostawiła ją samą z dzieckiem—stanęła przy otwartem oknie i pełną piersią wciągnęła powietrza, poczuła nagle, że dotąd brakowało go jej ogromnie.

*

* *

Prawdziwa powódź promieni słonecznych spływała na główkę małego Jasia, a Jadzia, stojąc o parę kroków dalej, patrzała machinalnie na bawiącego się w wózku synka—cała zatopiona w tem, co mówił Zygmunt. A dziwnie

mówił, układał zdania w sposób lakoniczny, nie bawił się w krasomówcze okresy, a jednak porywał słowami, a najbardziej wzrokiem.... Jadzia nie śmiała dotąd nigdy spojrzeć dłużej w te ciemne źrenice o głębi sprowadzającej zawrót głowy, zresztą twarz nie była piękną, ale tego się nie dostrzegało, jak również i wiek trudno było określić: siwe włosy przy młodej, choć mizernej cerze i oczy.... miała rację Marynia mówiąc, że nie wie nic o jego wieku.

Zygmunt popchnął wózek w głąb alei ku ławce, na której oboje też usiedli.

— Czy pani zastanawiała się kiedy nad tem, czem jest życie, a właściwie czem powinno być?

Zarumieniwszy się nieco, nieśmiałym głosem Jadzia odparła:

— Według zasad etyki, powinno być spełnieniem obowiązków.... tak sądzę....

— A co pani nazywa obowiązkiem?

— Co? no, mój Boże! wszelkie zobowiązania, wreszcie nasze przeznaczenie....

— Tylko?

— Jakto—tylko? czyż to mało?—Spojrzała na twarz Zygmunta już z poza łez, bo zdało jej się, że spełniać przyjęte zobowiązania to wcale niemało....

— Niedość.... nieraz musimy wypełniać to, co nie było wcale w programie, zresztą o program niełatwo.... recepty nań niema....

— Zdaje się, że to jednak jasne, każdy z nas wie, co jest jego obowiązkiem....

— Ba! nie sądzę.... Umilkł nagle, przenosząc wzrok swój na gałąź drzewa, na której właśnie siadła w tej chwili wilga, zaglądając ciekawie ku mówiącym. Trwało to jednak sekundę, ptak umknął, a Zygmunt milczał.

Umiał tak godzinami siedzieć i Jadzia przywykła już do tego. Przez parę tygodni, które razem spędzali, nauczyła się nie dziwić postępowaniu Zygmunta, ale nie śmiała dotąd nigdy poruszyć jego osobistych dziejów, pomimo, że wieleby oddała za prawdę. Marynia raz jeden wspominała o historji jego rozstania się z żoną, ale obszerniej mówić nie chciała.... I dziwne.... Marynia jakby umyślnie zostawiała ich najczęściej razem, odchodząc nagle.... chociaż jednakowo serdeczna. Może nie miała czasu.... chodziła po wsi, do każdej chaty zaglądała i niekiedy dopiero wieczorem wracała znikając na dzień cały.

Ola była coraz bledsza i smutniejsza, już teraz pp. Michałostwo niepokoić się zaczęli na serjo jej stanem i wspominali kilkakrotnie, że p. Adolf powinien przyjechać, gdyż rozłąka z mężem wpływa zapewne źle na jej zdrowie.

Pan Ignacy uśmiechał się wtedy gorzko, on bowiem wiedział jak rzeczy stoją, choć mu nikt nie mówił. Tak samo wiedział, że i Jadzi do szczęścia dużo brakuje.... Sam na

sam jej z Zygmuntem przerywał bardzo często, a zażywając tabakę zapytywał zwykle:

— Hm, hm.... państwo o czem? może świat przerabiacie? to najłatwiej, ale niechże kto naprawdę człowieka przerobi—co? jak pan myśli?

— Siebie można—ale drugich trudniej....

— Aha! właśnie—w tem sęk panie dobro dzieju! Ot z tego—możesz Jadziuniu jeszcze co zbudować—dodał wskazując Jasia, ale i to nie zupełnie według swego gustu....

— Pan, uważam, nie bardzo wierzy w pedagogję zapytywał Zygmunt.

— Do pewnego stopnia tylko. Nie jestem przyrodnikiem, ale wiem, że z praw natury wyłamać się trudno.... a wszak dziedziczność....

Nie dokończył, bo ujrzał na twarzy Jadzi ból i w oczach przestrach. Przypomniała sobie pierwsze wrażenie, gdy podano jej dziecko... a pan Zygmunt poszedł ze spojrzeniem p. Ignacego i doczytał w rysach młodej kobiety myśl niedopowiedzianą.

— No, nie przeszkadzam państwu--budujcie—ja tam na to za stary, umiem tylko stękać...

Odchodził, a oni milczeli wsłuchując się w szmery liści, brzęczenie drobnych muszek, całą skomplikowaną orkiestrę powietrznej drużyny. Ale raz, niespodzianie, po takiem milczeniu, Zygmunt zaczął mówić wolno, jakby rąbiąc każde słowo.

— Opowiem pani dzieje jednego serca— mniejsza do kogo ono należało, dość, że biło silnie, głusząc swem tętnem dźwięki o brzmieniu pospolitem, szarem, filisterskiem.... Otóż właściciel tego serca, pokochał kobietę ubierając ją w barwy doskonałości, dlatego że kochał doskonałości że ta kobieta była bardzo piękną.... To był błąd. Pokazało się potem, że przyszedł ktoś inny, który lepiej się poznał na tej kobiecie, wiedział czego jej potrzeba—obiecał dać jej to szczęście, którego ona przy boku pierwszego mężczyzny znaleźć nie mogła.... to też wyciągnęła po nie ręce.... A mąż jej.... co miał robić? jak się pani zdaje?— Prawie szorstko, brutalnie rzucił to zapytanie Jadzi, całej wpatrzonej w jego natchnione wielkim bólem oczy....

— Pozwolić jej wziąć to — czego pragnęła....

— Tak? więc tak się też stało.... a owo serce zostało samo.... i nie narzeka.... a gdy się obejrzy niekiedy za siebie—to widzi wielką smugę świetlaną, po której spływa ku niemu ukojenie. A jednak to w jego programie życiowym nie było umieszczone. Więc widzi pani, że życie nie jest jeno spełnieniem obowiązków, jak to kiedyś mówiliśmy.... Tylko, że to dla ogółu bywa często śmiesznem i służy za temat do pocisków. Jakie to zabawne: mąż odstępujący żonę drugiemu — ba! przypuścić nawet

można, że wziął odczepnego.... no, a co najmniej wyląkł się rywala.... Bagatela!

Zaśmiał się, a mały Jaś nagle rozpłakał się głośno, krzywiąc buzię niemiłosiernie.

— Jeden fragment z życia—a cóż dopiero całe życie!

Od tego dnia Jadzia była śmielszą z Zygmuntem. Wiedziała o kim jej opowiadał i ze strachem myślała niekiedy, że wakacje się skończą i, że wszystko się skończy. To „wszystko" oznaczało przedewszystkiem rozmowy z nim, a potem ten spokój, jaki miała zdala od męża.... I gdy pewnego dnia dostała list od Tadeusza z zawiadomieniem, że wkrótce przyjedzie po nią, zdawało jej się, że nagle słońce zgasło i jakaś straszna noc zakryła świat cały. W takim stanie zastała ją Ola, wyglądająca jak cień....

— Jadziu! czy zechcesz mnie wysłuchać? Głos jej brzmiał tragicznie—to też Jadzia rzuciła list i spojrzawszy na Olę przelękła się jej wyrazu.

— Co ci Olu? co się stało?

— Nic—nie patrzyłaś widać dawno na mnie, kiedy dopiero dziś przestraszyłam cię moim widokiem. Gorzki uśmiech zagościł na chwilę na wymizerowanej twarzy, a Jadzia robiła sobie wyrzuty, że rzeczywiście za mało interesowała się kuzynką, która przecie była nieszczęśliwą, a dla niej zawsze dobrą....

— Posłuchaj mię, ciągnęła Ola siadając. Czuję, że ze mną źle, nie przeżyję tego, co mię czeka, mniejsza, ale nie chcę za nic w świecie, aby ktoś wiedział, a zwłaszcza mama i ojciec, że było coś, co to spowodowało. Pamiętaj Jadziu i przyrzeknij mi, zakląwszy się na szczęście Jasia, że bronić „go“ zawsze będziesz i powiesz im, że „on“ był dla mnie jak najlepszy, że byłam kochaną, ubóstwianą, przysięgnij mi, że to powiesz i że zapewnisz, iż słyszałaś to ode mnie samej.... a ja za to uproszę dla ciebie jeszcze szczęście tutaj.... przyjdzie mi to łatwo odpokutowawszy wszystkie moje winy. Siedziała, jak martwa, a z oczu, niegdyś pięknych, płynęły łzy strumieniem, spadając na klęczącą u nóg jej Jadzię....

— Więc to prawda Olu, prawda, że nie znalazłaś tego, czego szukałaś wychodząc za mąż?

Ola wyprostowała swoją małą figurkę i, jakby odpędzając jakieś widmo od siebie, mówiła szybko:

— Znalazłam.... ale nie to, nie to, co mi się zdawało.... widzisz, ty tego nigdy nie zrozumiesz, ty, biała gołąbko! Tyś zawsze była inną niż ja—nie tęskniłaś do objęć mężczyzny, nie wiedziałaś, że tęsknota ta może palić, może każdą naszą myśl, każdą chwilę w życiu zepsuć i splamić, nie rozumiałaś, że w sercu, nawet takiej kaleki jak ja, leżą szalone pragnienia,

które muszą, słyszysz, muszą być zaspokojene, bo inaczej mogą mózg i serce rozsadzić! W ciszy nocnej, wtedy, gdy wszystko, zda się świat cały, wypoczywa—budzi się żądza, która cię z posłania wypędza i każe czoło o chłód szyby studzić! Ty tego nie pojmujesz, a jednak to zło jest i ja, ja, wstrętna kaleka, parodja kobiety, taką byłam! Dotknięcie ręki męskiej zapalało piekło we krwi, walczyłam nadaremnie i dość było, aby „on“ spojrzał na mnie łaskawiej, żeby się to stało, co się stało... teraz o! teraz! Nie patrz tak na mnie, lękasz się, żem oszalała? nie! tylko muszę mówić, muszę to wszystko wyrzucić z siebie, co mnie nurtuje. Komu to powiem? matce, czyż ona zrozumie? zabiłabym ją.... Maryni—to nawskroś egzaltowana dusza niemająca pojęcia o życiu.... Czy ty wiesz, że „on“ rzucił mi słowo, zaraz, pierwszego wieczoru, takie słowo, od którego dusza moja skurczyła się na zawsze.... Szukając upojenia usłyszałam słowo wzgardy! On pragnął pieniędzy, a ja taka nędzna, pomimo bólu, zapominając o godności, weszłam z sobą w kompromis: obiecałam mu wszystko za jeden pocałunek. O! piekło!

Zakryła oczy dłonią, a z pod palców płynęły łzy gorące, ciężkie.... Jadzia, oszołomiona, jak pijana, słuchała tej spowiedzi milcząc, bo słów dobrać nie mogła. Jej się zdawało, że nikt więcej cierpieć od niej nie może, a przecie

tak blizko, tak ciągle była obok niej istota miljon razy więcej cierpiąca.

— Posag, wypłacony nam w części przez ojca oddałam mu, niewiele go już zostało, potem zażądał wszystkiego zapisu, lecz ja już wtedy wystygłam i spojrzałam poza siebie, odmówiłam.... i rozstaliśmy się na zawsze. Ja już byłam wtedy nie samą. Nadzieja zostania matką, jako przypomnienie mej hańby, doprowadza mnie do rozpaczy. Ja nie cierpię dziecięcia, które w takich warunkach ma przyjść na świat, to nie jest dziecko miłości—to jest dziecię hańby!

— Olu, Olu, co ty mówisz?—wszak to jest twoje przedewszystkiem, twoje dziecko. Teraz ja ci powiem to, czego nikomubym nie powiedziała: ja Tadeusza nie kocham, nie kochałam go właściwie nigdy. Wychodząc za niego chciałam go kochać, bo musiałam mieć jakiś cel w życiu, a nie wiedziałam wtedy, nie czułam, że są jeszcze piękniejsze cele, niż miłość małżeńska. Lecz, jak ci mówię, nie kochałam go nigdy, a zwłaszcza namiętnością. To też gdy Jaś się urodził—z początku był mi obcym, ale teraz, teraz jest mi światem całym i wiem, że świętym moim obowiązkiem jest wynagrodzić mu to, że żyje. Więc i ty Olu, pomyśl o tej istocie, co przyjdzie na świat, z litością.... wszak ona niczemu niewinna.

Długo jeszcze mówiła w ten sposób Jadzia

do kuzynki, pierwszy raz w życiu odkrywając duszę przed kimś, a czyniła to już nie z chęci ulżenia sobie, ale aby przekonać Olę, że szczęście nie jest łatwem do osiągnięcia. Co prawda przekonanie to dopiero teraz skrystalizowała łatwo w swoim mózgu—nie tak dawno jeszcze uważała się za wyjątkowo pokrzywdzoną. Obecnie widziała dwoje ludzi w podobnem położeniu: Zygmunta i Olę.... Od tego dnia cały prawie wolny czas jej też poświęcała, co zwróciło uwagę Maryni.

— Pogniewaliście się państwo? Nie widzę was z sobą tak, jak przedtem—coś w tem jest, mówiła Marynia znalazłszy raz samą Jadzię na ganku.

— Cóż znowu—skąd? biedna Ola potrzebuje towarzystwa i dlatego więcej się jej poświęcam....

— A.... a.... to co innego. Mówił mi historyk, że unikasz go pani wyraźnie.... a szkoda byłaby.... on ceni pani towarzystwo. Ja nie mam zaś czasu, choć radabym mu placu dotrzymać, ale tak siedzieć bezczynnie nie jestem w stanie.... chybaby mnie djabli wzięli.... ruchu ruchu, pracy!

Stała tak w pełni rozkwitłej urody, siły i tego jakiegoś zapału, który wprost promieniował.

— Otóż i on. Panie Zygmuncie, pani Jadzia nie unika pana, ale zrobiła się towarzyszką

Oli—co wreszcie bardzo dobrze uczyniła i pan to przyzna? co?

Zygmunt nie odpowiedział od razu, kończył właśnie coś pisać w notesie, dopiero, gdy go zamknął i schował do kieszeni odparł wolno:

— Śliczną pieśń ludową udało mi się złowić.... materjał mój wzbogaciłem o jedną cenną perłę. Pani utrzymuje, że pani Jadwiga dobrze zrobiła.... bezwarunkowo.... Panie nie spostrzegają chyba, że z panią Olą jest źle.... niech jej pani nie opuszcza.... dodał prawie rozkazująco zwróciwszy się do Jadzi. Domyślałem się przyczyny usunięcia się pani od nas, ale chciałem być pewnym tego. Patrzał teraz poważnie, a kąciki powiek drgały mu zlekka.

— Życie dopiero wtedy jest znośne, gdy się uda zapomnieć o sobie.... a pani Ola nie umie tego jeszcze, choć może nie była nigdy dzieckiem, tak, jak inne, zakończył szeptem. Jadzia stała jeszcze w tem samem miejscu nie widząc, że Marynia odeszła, a tylko nagłe myśl kołąca przemknęła jej błyskawicą: wkrótce przyjedzie Tadeusz i „wszystko“ się skończy. Ale w ślad za tem, głos wewnętrzny powtórzył z naciskiem: życie wtedy znośne, gdy się zapomina o sobie.... a więc....

— Czy „to“ nie było w programie pani życiowym? stanąwszy bardzo blizko pytał Zygmunt.

Jadzia potrząsnęła głową, nie dziwiła się, że jakby rozmawiając z nią wciąż i odpowiadając na jej myśli— takie jej zadał pytanie.

Zatraciła świadomość kiedy tylko myślała, a kiedy rozmawiała.

— Nie, widzi pani, a jednak i z tego trzeba wybrnąć. Jestem pewien, że pani już zgodzi sie na to, że tak być musiało i że pani wie, iż życie żąda od pani ofiary, jak od innych! Niech pani teraz idzie do kuzynki....

Uczuła delikatne dotknięcie dłoni na swojej ręce i sama nie wiedząc kiedy, jak się to stało, schyliła się i drżącemi wargami musnęła rękę Zygmunta. Nie wyrwał jej, nic nie mówił, lecz patrzał na znikającą szybko szczupłą figurkę Jadzi—gdy w załamach jej ciemnych włosów prześlizgiwały się jasne smugi światła, jakby znacząc drogę, którą uszła....

Głośne kaszlnięcie zbudziło go z zadumy. U wejścia na werandę stał pan Ignacy, nie uśmiechnięty jak zwykle, ale niemal uroczysty.

— A! pan Ignacy! wystraszył mię pan....

— Nerwy! ba! i mężczyźni teraz nerwowi bywają; dawniej spazmy i wapory miewały tylko niewiasty.... ha! trudno! Cóż to pan tu tak samotnie.... zdawało mi się, że słyszałem głos Jadzi....

— Pani Jadwiga odeszła przed chwilą właśnie....

— Odeszła! a no to może i lepiej.... chciałem pana zapytać....

— Słucham. Na wypukłem czole Zygmunta pojawiła się pionowa zmarszczka, rozdzielająca je na połowę. Przesunął ręką po bujnych siwych włosach i tak chwilę mierzyli się wzrokiem. Pan Ignacy odsapnąwszy dodał:

— Właściwie nie miałem pytać pana, ale mu powiedzieć, że i dawniej ludzie mylili się niekiedy i nie do swojego ogrodu zaglądali, ale zawsze w porę znajdowali właściwą drogę. Co pan o tem myśli?

— Jeżeli zabłądziwszy do cudzego ogrodu widzi się walące drzewo i chcąc je ratować dajemy mu podpórkę.... czy czynimy źle?

— Androny panie kochany! a ja zawsze powiem: wara od cudzego ogrodu, wynosić się póki czas. Stuknął kilkakrotnie laską o ziemię i, nie patrząc już na Zygmunta, odszedł pomrukując:

— Podpórka! a! a!....

*

* *

— Jadziu! ty nie wiesz jak mi cięży komedja z rodzicami udawać szczęśliwą, odbierać listy.... pisane własną ręką dla ich spokoju, opowiadać o tym, którego imię samo napędza falę krwi do czoła. O! żeby to się już raz

skończyło! Czy słyszałaś, jak mama wczoraj z rozpromienieniem opowiadała sąsiadce, że zięć jej dwa razy na tydzień pisuje i to na czterech arkuszach. Biedaczka pomnożyła już liczbę arkuszy! A sąsiadka z złośliwym uśmiechem, z udaną naiwnością zapytała:

„Ale pewnie niedługo już przyjedzie zięć pani—taka rozłąka dla młodego żonkosia!“ i zmysłowe skrzywienie ust jej dośpiewało resztę.

Gorzki był uśmiech, który tym słowom towarzyszył, a jeszcze bardziej gorzkiemi refleksje, które się w mózgu Jadzi zrodziły. Jakże różną była natura Oli z jej własną! Jakże inne pobudki zamążpójścia. Cały świat obcy, nieznany, otwierał się teraz przed nią. Więc istniało coś, co i kobiety na chwilę czyniło zwierzętami.... i wyobraziła siebie w objęciach Tadeusza, a że już kilka tygodni oddzielało ją od tych wrażeń, ze zdwojoną siłą nerwy podnosiły bunt i wołały: ratunku! Jakto? więc znowu „to“ będzie i tak aż do starości! Boże! kiedyż ta starość nadejdzie, a z nią spokój! Wzdrygnęła się i jak jasny promień, wpadający nagle do ciemnicy, tak wspomnienie Zygmunta rozświeciło tę noc.... Wślad za tem zjawiła się myśl, obraz, coś nieuchwytnego: to nie Tadeusza objęcia, ale „jego“!....

Purpura zalała czoło Jadzi, zadrżała i zdawało jej się, że w tej chwili stała się zbrodnia. Spojrzała na Olę, siedzącą z opuszczonemi po-

wiekami i odetchnęła.... Ale ona nie widziała jej twarzy wtedy, gdy ta zbrodnia się spełniła.... inaczej.... byłaby zhańbioną.... i tak już jest, jest.... choćby nikt nie widział; ta plama zmytą być nie może.... Więc i to, to uczucie, które w niej Zygmunt wzbudzał, mogłoby być „tem samem“.... jakto? więc i ona?

— O czem myślisz tak Jadziu? nie odpowiadasz mi nic, a ja tak pragnę jakiegoś słowa! Powiedz, że to się prędko skończy, że ustanie moja męka i to życie nad siły....

Słowa nie chciały wybiedz na usta Jadzi, kurcz ją dławił i zdało jej się, że słyszy własne swe myśli, wypowiedziane przez Olę. I dla niej życie, zwłaszcza teraz, było nad siły.... wszak była kobietą upadłą, zhańbioną. Kilka dni temu pocałowała rękę człowieka, w którego objęciach była przed chwilą we własnych myślach. Całowała, uniesiona namiętnością, a sądziła wówczas, że czci w nim tylko rozum i serce....

— I ja cierpię Olu, czy ty tego nie widzisz, wyjąkała wreszcie.... i dla mnie niema wyjścia prócz śmierci....

— O! tyś szczęśliwsza. Nie zaznałaś pogardy tam, gdzie oczekiwałaś czego innego. Mąż twój może ci być obojętnym, ale nie plunął ci w twarz nigdy; jesteś wreszcie „białą gołąbką“.... Nie dokończyła, a Jadzia ukryła twarz na kolanach, rozszlochała się ze wstydu

i bolu... Ola nie rozumiała pobudek i mówiła znowu po chwili:

— Ty możesz jeszcze wypłakać swój żal i zawód, jaki cię spotkał, nie przestając być uczciwą kobietą. Ja—życiem całem nie spłaciłabym sama przed sobą swej słabości. Adolf lada dzień coś urządzi takiego, co odkryje przed rodzicami nasz stosunek, on mię nie oszczędzi, wiem o tem—a co wtedy? Jestem pewna, że albo zażąda posagu i uznać mnie raczy wówczas, albo złapawszy inną i mając środki, rozwodu wymagać będzie. A co ja wtedy powiem mamie i ojcu? Albo też, gdy wreszcie rozwiązanie się moje zbliży, co oni powiedzą nie widząc go przy mnie? czy i wówczas listy wystarczą?

— W jaki sposób te listy?

— Zostawiłam je jedynej, życzliwej tam istocie, poznaliśmy ją na Rivierze, zbliżyliśmy się ze sobą, zresztą utaić nie mogłam—zbyt jaskrawem było nasze pożycie.... ona mi je wysyła.... a ja i teraz pisząc do niej, załączam jeden taki list, listy zaś „niby" do Adolfa, adresuję do jej mieszkania....

— Mieszka w Wiedniu?

— Tak jest.

— Mnie się zdaje, że lepiej Wujostwo przygotować, to się utaić nie da, a nagłe otworzenie oczu.... chcesz, ja ci pomogę....

— Nie, nie! nie, za nic w świecie—a ze-

rwawszy się z siedzenia, z wypiekami na chudych policzkach, mówiła, jak w gorączce:

— Nigdy! Ty nie pojmujesz, że i ja cierpiałabym wtedy tysiąc razy więcej; przecie ty rozumiesz, że ja przyznać się nie mogę, że mnie zdeptano i sponiewierano! mnie, któram dobrowolnie tego chciała! cały światby wiedział!

I nie wiadomo, co przeważało w tych wykrzyknikach: czy litość nad rodzicami, czy zraniona miłość własna. Jadzia to odczuła i nie wiedziała już, co począć, ona nie pojmowała tej ambicji, a chwilami zdawało jej się, że wolałaby być na miejscu Oli, która była wolną, nikt do niej praw nie rościł.... a ona! Tadeusz przyjedzie i.... gdyby mogła być dla niego wstrętną fizycznie!

— Wiesz, kończyła Ola, jedynem wyjściem jest moja śmierć, wszystko się skończy! On przybędzie na pogrzeb, bo mu zapiszę resztę mego posagu, a może wtedy i w nim zbudzi się coś, co każe mu starych ludzi oszczędzić i dożyją resztę swego czasu w przeświadczeniu, że tylko ślepa śmierć nas rozdzieliła.

Jakimś blaskiem zapłonęły w tej chwili oczy Oli—ożywienie zagościło na twarzy—a Jadzia słuchała, wystraszona, przelękła, bo czuła, że w słowach tych leży silne postanowienie. Co ona miała teraz robić? dopuścić do tego, kogo się radzić? jak perswadować! I zapomniała już o sobie, zapomniała o tem, co uczyniło

ją w jednej chwili małą, nizką, podobną innym... Nie oglądając się na nic, biegła do Zygmunta szukając u niego rady i wskazówki. On tymczasem, przez te parę dni, robił ze sobą rachunek sumienia: słowa Ignacego nie obraziły go, ale wzbudziły nieufność do samego siebie.... a może on się mylił? może stary, doświadczony człowiek miał rację? A gdyby dobił do reszty tę duszę, co nie miała czasu się rozwinąć, ale która jednak mogła zostać czystą? Zamiast pchnąć ją na drogę poświęceń i zaparcia, mógł popchnąć w błoto—a przytem, czy pewnym jest, że tylko czyste pierwiastki wchodzą w skład tego wychowawczego programu? Dlaczego zadrżał, gdy ustami dotknęła jego dłoni? dlaczego chciał rzucić się za nią i przycisnąć tę małą główkę do piersi? Jakaś siła powstrzymała go wtedy od tego, taż sama siła przywiodła Ignacego, aby mu to powiedział.

Czem jest życie właściwie—pytał się niedawno Jadzi, a teraz znowu problemat ten staje przed nim w całej rozciągłości. Kłębek dziwnie splątany, czarne i białe nici, a są i szare—które wybierać? Jakże łatwo jest zbłądzić i za czarne wziąć białe i odwrotnie! I dla niego „to“ nie leżało w programie życiowym; coś, jakby ból, wtłaczało się zwolna do mózgu.... Kiedyś, nie tak dawno, bo przed paru laty, zdawało mu się, że rozwiązał zagadkę. Zapomniał o sobie i sądził, że już wszystko skończone, że dlatego

musiał się urodzić i po to cierpieć, aby „to“ uczynić, a teraz życie znowu wołać zaczyna o swoje prawa; mało mu jeszcze jednej ofiary, mało krwawego bólu.... jeszcze i zawsze jeszcze! Zadrżał. Przed nim stała Jadzia, blada, z opuszczonemi rękami wzdłuż ciała. Spojrzał i w jednej chwili zrozumiał, że między własną jego duszą, a pragnieniami zachodzi nieporozumienie. Ona tymczasem prędko mówić poczęła:

— Przychodzę do pana po radę; nie wiem do kogo się z tem udać, ale muszę i to prędko. Z Olą jest źle, ona o samobójstwie myśli, ją ratować trzeba, ale jak?

Chłodna rosa wieczoru padała na trawę i krzewy. W oddali słychać było klekot bociana i monotonną pieśń, wracających z pola robotników. Jakaś upajająca atmosfera rozkwitłej natury wsiąkała, zda się, w powietrze, a z niem w płuca i serca....

Zygmunt powstał z ławki, na której nie zauważył nawet, że kilka godzin przesiedział. Parę dni dzieliło go od tej chwili, kiedy tam, na werandzie poczuł dotknięcie drżących warg, tych samych, które, teraz wybladłe, zaciskały się nerwowo i boleśnie. Patrzył na te wargi, na te oczy, błądzące w mroku, niespokojne i wylękłe i nie mógł się zgodzić na obojętne słowo rady. Jakiś szał brał go w swoje wszechwładne pazury, cała niezużyta potęga sił młodych pętała mu myśli, rozszerzając czaszkę i serce....

Chwila, a Jadzia poczuła uścisk dwojga ramion i gorące usta przylgnęły do jej twarzy.... Jak długo to trwało nie wiedziała, a gdy nareszcie przyszła do przytomności, była samą, stała na tem samem miejscu, skąd słychać było klekot bociana i odgłosy wiejskiej pieśni... Tylko pieśń ta inaczej teraz brzmiała... I gdy nareszcie myśleć znowu poczęła, wiedziała już, że stało się coś, co zarazem czyniło ją nędzną i nieludzko szczęśliwą!

Obejrzała się, a czując, że nie śni, lecz rzeczywistość ma przed oczami, poczęła iść, z początku jak automat, niepewna kroków, jak gdyby porzucono ją nagle w świat obcy, nieznany. Kiedy doszła do ganku, musiała wesprzeć się o słup, bo w głowie jej rozszalała się naraz burza. Jakto, to ona, ona, Jadzia to zrobiła, ona, która szła, aby ratować kuzynkę, ona i on! Ten, którego czciła niemal, jak bóstwo! Więc oni!... Nie dokończyła, gdyż nagle surowy i poważny głos Ignacego rozbrzmiał tuż koło niej.

— Chłodno, rosa pada, Jadziunia się przeziębi.... lepiej wejść do pokoju.... Ola zamknęła się u siebie, trzebaby do niej zajrzeć.... lękam się o nią, a jeszcze więcej o matkę.... niech Jadziunia wraca do domu.... o zło nie trudno....

Jadzia roześmiała się nagle śmiechem jakimś sztucznym, hałaśliwym, a wchodząc na

schody powtarzała za Ignacym: „O zło nie trudno“....

— Tak, Jadziunia ma syna.... czy o tem pamięta?

Znowu się roześmiała i otwierając drzwi powtórzyła raz jeszcze: „O zło nie trudno!“

*

* *

W pokoju Oli paliła się świeca, a słabe jej światło zaledwie padało na stolik, przy którym teraz siedziała. Z pod pióra płynęły słowa szybko i w nieładzie, czoło pokryło się zmarszczkami, jak u starca, i spojrzawszy tak z boku można było mniemać, że ma się przed sobą kobietę steraną wiekiem i życiem. Ola pisała, a w głowie jej jedna myśl za drugą powstawały, tyle miała jeszcze do napisania, tyle do przewidzenia.... Wstała, zbliżyła się do okna i patrzyła na pochylające się w takt wiatru drzewa, na te gałęzie szeleszczące zcicha i drżące liście... Liście!... I ona była jednym z nich. Zerwała się burza i liść spaść musi, nic nie pomoże, żadna wola, żadne pragnienie. I wydało jej się, że jest rzeczywiście listkiem drżącym w cieniach wieczoru, samotnym, pomimo otoczenia podobnych sobie liści.... Kurczyła się, przytulając twarz do szyby zamkniętego okna i naraz zdawało jej się, że przestaje już istnieć,

że oto, oderwana od gałęzi, spada zwolna na ziemię, na kwiaty, pokryte wieczorną rosą, współuśpione i szczęśliwe.... A gdy nareszcie ocknęła się z tych marzeń, oczy jej padły na zapisany arkusz papieru i straszna myśl, która jej teraz nieodstępnie towarzyszyła—lęk śmierci — szarpać jął wszystkie nerwy, wciskając się w mózg wszechwładnie. Zimny pot wystąpił na czoło, ręcę szukały oparcia, a zbielałe wargi powtarzały machinalnie.

— Trzeba, trzeba!

Naprożno Jadzia pukała do drzwi, Ola tego nie słyszała, nie przeczuwała też, że obok, w pokoju matki, rozgrywa się scena, mająca za temat ją i boleść macierzyńską.

— Nie otworzyła ci? pytała pani Michałowa, spotkawszy odchodzącą z niczem Jadzię— i mnie również, przed chwilą pukałam.... co ona może robić?

Jadzia spojrzała w twarz ciotki i serce jej boleśnie się ścisnęło. Teraz pani Michałowa nie uśmiechała się, jak zwykle dobrodusznie. Oczy zapadły gdzieś w głąb, a powieki drgały nerwowo.

— Jadziu, ty wiesz wszystko! Ola ma do ciebie zaufanie, więc nie taj przede mną. Ja wiem, że ona nie jest szczęśliwą, serce matki milczeć nie mogło, odgadło. Ja wiem oddawna, ale taję przed nią i mężem; on nie powinien się domyślać. Wiesz, że z jego usposobieniem do

apopleksji oszczędzać go trzeba, ale ja, ja jestem mężną....

Płacz przerwał jej mowę, zaniosła się łkaniem, tuląc się jak dziecko do Jadzi, która bezładnie powtarzała:

— Ależ ciociu, proszę się uspokoić, Oli nic nie grozi, doprawdy.

— Nie grozi? z za łez pytała pani Michałowa—ja wiem, ale co tam zaszło właściwie, dlaczego „on“ nie przyjeżdża?

Już miała odpowiedzieć prawdę, gdy przypomniała sobie przysięgę złożoną Oli. Miała go bronić, więc też szybko mówić zaczęła:

— Nic tam nie zaszło, interesy wymagały tej rozłąki. On jest ambitny i nie chce korzystać z posagu Oli, ale sam zarabiać pragnie. Co zaś do niej, to ona tylko tęskni i lęka się rozwiązania.... mówiła to nieraz....

Kłamała, dziwiąc się sobie, skąd jej ta wymowa się wzięła i ta przytomność umysłu, a pani Michałowa, patrząc bystro w oczy Jadzi, pytała natarczywie:

— Prawdę mówisz? prawdę zupełną? jak Jasia kochasz? pamiętaj, że wracasz mi życie, ale gdyby to miało być nieprawdą?...

Znowu łzy płynęły z oczu matki, ale już łzy ulgi, więc o to tylko chodziło, więc jej Ola tylko tęskniła i bała się tego, co rzeczywiście każdą młodą kobietę przeraża, a jeszcze taką biedaczkę jak Ola. Jak ona mogła nie wiedzieć

i nie starać się uspokoić, upewnić. Ale teraz wynagrodzi to, i Ola musi raźniej patrzeć na fakt naturalny zresztą i w gruncie nie tak bardzo niebezpieczny. Myśli swoje wypowiadała głośno Jadzi, zapadającej skutkiem reakcji w moralne odrętwienie.

Jak straszną odpowiedzialność brała teraz na siebie kłamiąc przed matką: a jeśli się coś stanie? Była tem przerażona i zostawiając uspokojoną już ciotkę, postanowiła powiedzieć wszystko Maryni; mniejsza, że popełni niedyskrecję, jednak ratować trzeba. Marynia choć nie wszystko pojmie—ale da radę... Tu znowu stanęła jej jasno przed oczami scena w ogrodzie i nie wiedziała już, czy Ola skazaną jest na śmierć, czy też ona sama. Przecie i ona żyć po „tem“ nie powinna—nie powinna i nie potrafi. Jakże spojrzy w oczy „jemu“ i Tadeuszowi, którego potępiła i którym, jak teraz zdaje sobie sprawę, pogardziła nawet.... A czemże on jest gorszy od niej? i czy gorszy? wszak nie wie, czy on potrafiłby to uczynić, co ona! I to w imię jakichś idealnych uczuć i dążeń! Ale pomimo wszystko, nie mogła w sobie wzbudzić odrazy do Zygmunta—nie! I jak błyskawica mignęła jej myśl, że jednak doznała uczucia, które dotąd rodzi pragnienie nieznane jej przedtem, że dziwnie słodkie pomimo jadu, jaki kryję w sobie.... Była nadludzko szczęśliwą, lecz właśnie dlatego żyć nie powinna, gdyż

szczęście to jest fałszem, większym fałszem, aniżeli jej chybione życie!

*

* *

Maryńa wróciła właśnie z wycieczki, była znużona fizycznie, ale moralnie pokrzepiona widokiem postępu, jaki czyniła jej praca. Już jej się nie lękano, ale w zaufaniu szeptano słowa podzięki; nie marzyła o większym tryumfie. Przechodziła myślą swoje lata dziecięce i wspomnienia, wyniesione z domu, z którego dobrowolnie wyszła samotna na dolę i niedolę. Jakaż czczość, jaki głód moralny, ta ciągła gonitwa za uciechami i użyciem, ten nędzny blichtr, opłacony niejedną gorzką ofiarą, niejednem nieporozumieniem między mężem i żoną, a potem to polowanie sióstr na mężów i „partje.“ ta rozpacz rodziców, gdy nowy zawód je zakończał. Wybrała inną drogę i inny program zakreśliła sobie w życiu—dotychczas nie żałowała tego nigdy... czy nigdy? Zamyśliła się stojąc na ganku, zapatrzona w dal, gdzie na niebie zwolna zapalały się gwiazdy po nad wierzchołkami kołyszących się drzew. Czy nigdy? powtórzyła w duchu—nie, była jedna chwila, jeden dzień, gdy pragnęła czego innego, ale to już bardzo dawno. Jak odległą wydała jej się epoka, gdy podlotkiem zamarzyła o mi-

łości dla ładnego kuzyna. Miał czarne, ogniste oczy i umiał tak patrzeć, jak nikt. Romans prędko się skończył, kuzynek wyjechał, doszły wieści, że grał i kochał się za granicą, a ona tymczasem weszła na drogę pracy i poznała Zygmunta, z którym łączyła ją szczera przyjaźń i wspólna idea.

— Pani sama? cicho i trwożnie pytała Jadzia, stanąwszy niewidzialnie, jak cień, mam panią o coś zapytać, poradzić się....

— A, to pani! pani Jadwigo.... wystraszyłaś mię, tak daleko byłam myślami, a właściwie zapuściłam się w gaj wspomnień. Prawda, że na to nie wyglądam, abym marzyć umiała, a jakoś dziś omal, że nie jestem sentymentalną; czy to wieś tak działa, czy ta upajająca woń kwiatów i zieleni, zwilżonej kroplami rosy? sama nie wiem, może to wina tych bladych świateł na niebie—a może to wiekuista nasza tęsknota za czemś nienazwanem, nieokreślonem, a co jednak czujemy nieraz do bólu, do łez....

Tak mówiła Marynia, a Jadzia w milczeniu patrzyła w ciemną aleję ogrodu, potem w okno Oli, gdzie blask świecy rzucał cień na wpół przymkniętą okiennicę.

— A ja chcę o Oli z panią pomówić; pani miała rację, ona jest nieszczęśliwą i pragnie umrzeć, lękam się, aby sobie co złego nie zrobiła.

— Mówiła z panią otwarcie?

— Tak jest—mąż ją porzucił, a jej miłość własna cierpi więcej niż serce. Ona go już nie kocha, ale przyznać się do opuszczenia nie chce za nic, nawet rodzicom; w śmierci widzi zbawienie.

— Co pani jej mówiła?

— Kładłam nacisk na dziecko, ale to nie pomaga, ona go kochać nie będzie....

— Co robić, co robić? powtarzała teraz Marynia chodząc żywo po werandzie—a gdyby powiedzieć prawdę rodzicom, możeby umieli na nią wpłynąć.

— Nie można, nie, dałam jej słowo, że go bronić będę i nie powiem nigdy prawdy—toby ją zgubiło.

— A więc co robić? powtórzyła raz jeszcze a po chwili żywo dodała: Coby radził pan Zygmunt, jego trzeba zapytać....

Spojrzała bystro w oczy Jadzi, na której twarz padł właśnie blask wschodzącego księżyca, zdziwiła ją trwoga, jaką w niej dojrzała, wyraz prawie błędny, gdy jeszcze raz powtórzyła:

— Trzeba z nim pomówić, pani albo ja.

— Ja nie.... ledwie szeptem wyjąkała Jadzia, a Marynia znowu bystro spojrzała jej w oczy.

— Czy pani miała jaką przykrość? pani dziwnie wygląda, może jakie nieporozumienie zaszło między paniami?

— Skąd znowu! nie, tylko los Oli mnie niepokoi.

— To prawda, pani taka wrażliwa, więc w każdym razie pilnować ją obie będziemy, a potem co dalej, może nam doradzi historyk.

A gdy się rozeszły, jeszcze raz w duchu zrobiła sobie uwagę, że w twarzy Jadzi było coś innego, oprócz strachu o Olę, coby to być mogło, a może miała list od męża! może przyjeżdża! ciekawa rzecz, jakie będzie powitanie tego pana. Jak dotknięcie płazu, samo wspomnienie napełniło ją wstrętem.

*

* *

Gdy nazajutrz rano spotkała w ogrodzie Zygmunta, pierwszą rzeczą, jaka jej się w oczy rzuciła było jego podróżne ubranie i walizka, stojąca na ganku.

— A to co? co to znaczy?

— Jadę, otrzymałem list wczoraj.... wzywają mnie w ważnym interesie, prosiłem pp. Michałostwa i byli tyle uprzejmi dając konie.

— Co to jest? jaki interes? jaki list? poczty przecie wczoraj nie było.

— O! niech mię pani nie męczy.... skoro mówię że list był, widocznie mam rację.... i, jakby chcąc złagodzić ton i słowa, dodał zaraz:

— Pani wszak wkrótce także za mną podąży.... proszę nie rozpaczać, spotkamy się na bruku i przy pracy, czas już o niej pomyśleć.

— Nie, to bajeczne, nie mogę pogodzić się z faktem, który choć niby naturalny, wydaje mi się dziwnym.... jak pan chce, mogę się zresztą nie dziwić, proszę się tylko nie gniewać.

Wyciągnęła ze śmiechem rękę patrząc serdecznie w oczy Zygmunta, które wydawały się dziś większe i bardziej jasne, przepaściste.

— A Jadzia wie o pańskim wyjeździe? może ją uprzedzić? Już chciała iść, gdy on nagle powstrzymał ją z drżeniem w głosie i błyskawicą w źrenicach.

— Proszę tego nie robić—pani Jadwiga pewnie śpi....

— A to pan zgadł! otóż i ona! Pani Jadwigo, czy pani wie, co się tu dzieje? niech pani patrzy.... wskazała ręką walizkę i Zygmunta, a idąc szybko w głąb domu wołała:

— Zaraz panu przyniosę list do naszej przełożonej—muszę jej zakomunikować to i owo, zaraz wracam.

Zostali sami naprzeciw siebie: ona w rannym szlafroczku, bardzo blada, z podsiniałemi oczami o ociężałych powiekach, on z auerolą białych włosów w rannych promieniach słońca.

— Pan odjeżdża?

— Tak jest. Nie chciałem po „tem“ co zaszło mówić z panią, bo powinienem odpokutować.... los inaczej zrządził—czy pani potrafi mi przebaczyć?

Oczy ich spotkały się zostając z sobą na chwilę, a usta Jadzi ledwie dosłyszalnym szeptem odparły:

— Ja jestem winną nie pan.... czy pan pamięta jak tu, na ganku, ja pierwsza....

Nie dokończyła, bo Zygmunt zbliżył się i jakby z nagłem postanowieniem mówić począł:

— Pamiętam—ale „to“ było co innego, a „tamto“ w ogrodzie co innego.... dlatego ja muszę odpokutować, a pani niech mi przebaczy. Jeżeli kiedy życie zbliży nas znowu, postaramy się zapomnieć o tem, co nas teraz rozdzieliło. Albo może, może w innych warunkach.... nie, nie, o tem mówić nie wolno ani mnie, ani pani.... żegnam panią.

Objąwszy wzrokiem szczupłą jej postać, ręcę białe, niezwykle kształtne, każdy najdrobniejszy szczegół notował sobie w pamięci, tuż obok innej postaci, którą niegdyś kochał. Tamta była skończenie piękną, ale ta przykuwała do siebie słodyczą i dziewiczością duszy, promieniejącej na zewnątrz.

A gdy po ogólnem pożegnaniu, na zakręcie ulicy znikła bryczka, unosząc odjeżdzającego—zdało się Jadzi, że teraz już nic ją ze światem nie łączy, że nie grzech, który popełniła,

ale osierocenie i tęsknota powiodą ją do wiekuistego spokoju. Stała wyprostowana na ganku, wsparta o słup, bez ruchu, tak, jak patrzyła na siadającego do bryczki, widziała jak zdejmował jeszcze kapelusz wtedy, gdy już konie ruszyły, a nie mogła się zdobyć ani na uśmiech, ani na łzy. Marynia patrząc na to zrozumiała.

Wszak to ona dążyła do zapoznania ich. Zdawało jej się, że przyjaźń między mężczyzną a kobietą jest możliwą, sądziła po sobie.... a teraz nowa gmatwanina i bieda! Et! przejdzie, to pewnie wieś, natura, były temu winne, Jadzia—to dziecko, słodkie i niewinne, a on, najlepszy dał dowód kim jest—odjeżdżając.

*

* *

Tegoż samego dnia, pod wieczór, Ola zachorowała. Zrobiło jej się nagle niedobrze, w czasie gdy po obiedzie wszyscy się rozeszli, jedni do pracy, drudzy do siebie, a w ich liczbie i Jadzia.

Wobec wyjazdu Zygmunta zapomniała o Oli. Ból czyni człowieka egoistą, a chyba nikt więcej od niej nie cierpiał.

To też gdy służąca wpadła z wieścią o zasłabnięciu Oli, wtedy dopiero uprzytomniła sobie wczorajszy o nią niepokój, i w jednej chwili duszą i ciałem znalazła się przy niej. Posłano

po doktora. Przybyły kręcił głową gderząc na nierozwagę, nieostrożność, brak opieki.

— Zaszkodziła sobie; jakże można było nie przestrzedz w takim stanie i przy takiej budowie dźwigać ciężary.... czyż służby niema!

Pani Michałowa łamała sobie rękę wyrzucając i sobie i otoczeniu—dostało się nawet i Jadzi, która jak automat przesuwała się między łóżkiem Oli, a resztą mieszkania. W jednej takiej peregrynacji spotkała wuja, który wychodził właśnie z kancelarji po rozmowie z lekarzem.

Był przybity, oczy patrzyły machinalnie przed siebie, jakby szukając rady i oparcia u kogokolwiek.

— Jadziu, chodź ze mną. W milczeniu weszli do pokoju pana Michała, a Jadzia wiedziała, że teraz przyszła kolej na ojca.

— Słuchaj, przed tobą taić nie będę, bo wiem, żeś lepiej nawet ode mnie poinformowana. Ten łotr ją porzucił i ona chciała tego nieszczęścia, które się stało. Gdy tylko przyjechała domyśliłem się wszystkiego. Tacy mężczyźni nie kochają kalek.... uparła się i wyszła za niego, nie oczekiwałem szczęścia, ale łudziłem się, że za moje pieniądze dam jej choć cień jego. Stało się inaczej. Ty wiesz wszystko, powiedz, co się stało, nie taj nic, jam nie matka, którąbyś zabić mogła—ja jestem męż-

czyzną i pragnę wiedzieć, ją musimy oszczędzać....

I znowu Jadzia tym samym drewnianym głosem, w tych samych słowach powtarżała bajeczkę o ambicji p. Adolfa, o tem, że musiał zostać dla pracy etc. Pan Michał słuchał i patrzył w oczy siostrzenicy, a snać nic z nich wyczytać nie mógł, bo machnął tylko ręką i szepnął:

— Myślałem że wiesz, ale widać cię okłamała—Bóg z tobą, zostaw przy sobie, co ci mówiłem, i tak nic nie poradzimy. Zdaje się, że śmierć rozwiąże ten węzeł.

Łzy bólu zaświeciły w oczach, gdy to mówił, machnął jeszcze raz ręką i poszedł do chorej mając już twarz pogodną, prawie wesołą—wszakże musiał matkę oszczędzać.

Dwa dni, długie dni męki trwała agonja Oli; nie było najmniejszej nadziei, aby można było ją uratować. Wkrótce po zasłabnięciu straciła przytomność i nie odzyskała jej do końca. Zaraz w początkach choroby szepnęła Jadzi, że jej ostatnia wola znajduje się na biureczku, pod przyciskiem.

— Oddasz ją ojcu i jeszcze raz przysięgnij mi na imię Jasia, że „go“ bronić będziesz....

Oto dlaczego, pomimo wszystko, Jadzia upewniała wuja o gorliwości p. Adolfa.

Smutne dni nastały dla Michałówki. Gdy wynoszoną trumnę z pokoju, Jadzia postępowała za nią zesztywniała i jakby nieprzytomna. Od chwili śmierci Oli, można powiedzieć, nie żyła. Obwiniała siebie w jej samobójstwie. Wszak zajęta czem innem straciła ją z oczu ostatniego dnia, a owładnięta szałem dopuściła do tego i w wigilję smierci, tam, w ogrodzie pozwoliła zamilknąć uczciwości. Jakiś straszny chaos owładnął jej duszą. Gdyby mogła tak, jak Ola spocząć na zawsze i jechać z nią razem w majestacie śmierci w to zacisze wiejskie, ledz pod chłodną ziemią, wśród zieleni wiejskiego cmentarza. Jak dobrzeby jej tam było, jak cicho i lekko. Lecz mały Jaś, jak wyrzut namawiał do życia, do męki. I wróciwszy z pogrzebu zastała męża, niewiedzącego nic o katastrofie; telegram nie zastał go już w Warszawie. Teraz już jej było wszystko obojętnem: mógł przyjeżdżać, mógł się pastwić nad nią, nie miała prawa sarkać i nie chciała, brakło jej sił, a zresztą po co? To „po co“ występowało jedynie jasno w zmęczonym mózgu. Ciotka była chora, położyła się zaraz po powrocie z cmentarza; najmężniej zachowywał się pan Michał. Gdy ksiądz w łagodnych słowach wyrażał swoją kondolencję, przerwał mu żywo:

— Nie pocieszaj księże—wszystko jedno, miała się męczyć życiem, niech lepiej odpocznie.

Ale matka nie umiała się zdobyć na taką filozofję. Dopytywała się wciąż o zięcia, któremu dano znać, jak gdyby przyjazd jego mógł wskrzesić nieboszczkę. Trzeciego dnia po pogrzebie przyjechał rzeczywiście p. Adolf.

Patrząc na tę ładną twarz perukarskiej lalki chciało się zapytać: gdzie podziałeś duszę? Bezdusznym był jej wyraz, bezdusznemi słowa, któremi mówił. Długą godzinę trwała rozmowa między teściem a zięciem. Gdy wyszli, pan Adolf pożegnał szybko towarzystwo i tegoż dnia odjechał na kolej, uwożąc ze sobą tajemnicę tej rozmowy. Nawet Tadeusz patrzał na niego ukośnie i nie śmiał okazywać, tak jak dawniej, przyjaźni. Śmierć Oli zrobiła na nim stanowczo wrażenie—zauważył to p. Ignacy, zauważyła Marynia, z którą przywitał się grzecznie, a nawet uprzejmie. Z Jadzią był delikatny, nie narzucał jej swego towarzystwa i ubolewał przytem, że tak źle wygląda.

Ostatnią wolę Oli wypełnił ojciec sumiennie. Pan Adolf otrzymał należną mu sumę, a list, który doń zostawiła zmarła, był pełen słodyczy i uczucia. Tu nawet troska jej o spokój rodziców i zadosyćuczynienie miłości własnej była widoczną i choć pan Michał wiedział, co ma o tem myśleć, ale matkę zadowoliły pozory. Przez pamięć na zmarłą radaby była zatrzymać zięcia, ten jednak miał tyle taktu, że

usunął się zaraz. Co czuł i myślał jadąc z listem Oli, któż odgadnie. W najtwardszem sercu rodzi się czasem iskra żywego i szczerego uczucia, może przeto i młody, owdowiały małżonek zadrżał czytając bohaterskie kłamstwa....

Sukcesorką pp. Michałostwa była teraz Jadzia. Ona o tem nie myślała, ale był ktoś, kogo to bardzo interesowało. Pan Tadeusz skombinował szybko i nie zaniechał nawet poruszyć tej kwestji w rozmowie z p. Ignacym.

— Komuż teraz dostanie się Michałówka? Kapitał wziął Adolf częścią za życia żony, częścią teraz, ale majątek zostanie dla spadkobierców.

Pan Ignacy popatrzał na niego z ironicznym uśmiechem i, zażywając tabakę, mruknął od niechcenia:

— Pan adwokat powinien się na tem znać, ja tam nie prawnik.... a jakże tam interesy pana? spraw dużo, dochody?

Tadeusz nie zmieszał się wcale, jął szybko opowiadać o pracy, o przeciążeniu nawet w czasie wakacji, o tem, że tak świetnie udało mu się umieścić kapitalik Jadzi, słowem opowieść była różowa, a nadzieje na przyszłość jeszcze piękniejsze. Stary słuchał i raz po raz zażywał tabakę, a na zakończenie powiedział:

— Powinszować.... bardzo dobrze.... jest syn, należy myśleć o przyszłości.

Marynia była zła na Jadzię, nie mogła jej przebaczyć słabości, jakiej znowu dała dowód. Bo czyż nie słabością było owo uczucie, któremu pozwoliła się wkraść, a że pozwoliła—to fakt—mówiły o tem jej oczy, patrzące za odjeżdżającym i jej ból, ktorego i potem ukryć nie mogła. Może inni tłómaczyli go sobie śmiercią Oli, ale ona wiedziała lepiej. Albo i on, nigdyby się nie spodziewała po nim tego, tak wierzyła w jego niezłomne zasady i obojętność na zwykłe, szaroludzkie pragnienia. Był typem altruisty, a tu raptem, dla jednej nieszpetnej kobiety, zapomnieć o tem wszystkiem. Ogromne zniechęcenie opanowało Marynię, zachwiała się naraz cała jej własną siłą i myślami zbudowana wiara i zapytywała siebie, czy tak wszystko rozsypie się w gruzy, wszystko, co miała zbudować, czy warto było robić cośkolwiek? Szła z przeświadczeniem, że są ludzie idei, że nie będzie samą, że gdyby nawet przyszło oddać życie za nią, nie żalby było, wierząc, że zostawia się innych na posterunku. Lecz teraz uczuła się samotną najzupełniej, i żeby zagłuszuć w sobie ten wir różnorodnych niepokojów wzięła się do pracy ze zdwojoną siłą. A pracy nie brakło, umiała ją sobie stworzyć niosąc światło tam, gdzie go nie było. Wracając z jednej wędrówki spotkała na drodze Tadeusza. Nie mogła go wyminąć i, chcąc nie chcąc, kawałek drogi szli razem. Marynia niosła pęk

polnych kwiatów i chłodziła niemi rozgrzaną szybkim chodem twarzyczkę. Tadeusz spoglądał na nią ukradkiem i zagryzał wargi nie wiedząc, jak zacząć rozmowę.

— Pani widzę ze spaceru dalszego—nie boi się pani tak sama....

— Boję się tylko ludzi, a tu na szczęście ich niema, natura nam nic złego zrobić nie może, ani kwiaty, które kocham.

— Pani ludzi nie lubi jak uważam, rad jestem, że przynajmniej jestem wyjątkiem. Zaśmiał się siląc na wesołość i udając przyjemnego towarzysza.

— Bynajmniej, powiedziałam, że ludzi niekiedy się boję, ale nie twierdziłam, że nie lubię. Przedewszystkiem żałuję ich, bo są najczęściej słabi i mało warci.

— Czy i pan Wiński również? z ironicznym uśmiechem przerwał Tadeusz.

— Pan Wiński należy do nielicznych wyjątków, takich, którzy zasługują na miano ludzi, a ten rodzaj, niech mi pan wierzy, nie jest pospolitym.

— Wiedziałem, że mi pani tak odpowie, ciekawym jednak, jaką drogą doszedł ten pan do tego wzniosłego tytułu? czy odkrył Amerykę, lub może wynalazł środek na nieśmiertelność?

— Ani, jedno, ani drugie, ale tylko zro-

zumiał, że nie dość żyć i poruszać się, aby nazywać się człowiekiem, a nawet i myślenie jeszcze nic nie znaczy, skoro się myśli tylko o sobie.

— Aha! więc ten pan myśli o innych.... bardzo ładny fach, tylko nie wiem jak się nazywa.

— Nie wie pan? o! naturalnie takich rzeczy się nie wie, tylko czuje.... jeżeli zaś pan sądzi, że ironizując na temat p. Wińskiego robi mi pan przykrość, to się pan bardzo myli. Nie każda ironja boli i nie od każdego, ale otóż jesteśmy u celu—skończyła się pańska rola grzecznego i rycerskiego towarzysza, do widzenia!

Pożegnała go lekkim skinieniem głowy, a on patrzał z ironją, wściekły na siebie za swoje przymówki, wściekły na Marynię za jej chłód i obojętność. Dziwnie działała mu na nerwy, już nie tylko fizyczną stroną, ale musiał przyznać, że imponowała mu duchem, odgadywał go wyższym i pewnym siebie. Przytem lubił w kobiecie zdrowie, a ona uosabiała je swoją postacią. Jakże wątłą, nierozwiniętą, pomimo macierzyństwa, była Jadzia. Myśli te jednak nasunęły mu inne, gorętsze, a wchodząc do pokoju żony zauważył w duchu, że dość już tej roli delikatnego małżonka, że przecie poświęcając swoją wolność, ma prawo przynajmniej

do tego, co mu się przecie należy, co go tam jakieś śmierci, czyjeś nieszczęścia mogą obchodzić!...

*

* *

Gdy nazajutrz, ubierając się, Jadzia spojrzała w lustro, wylękła się sama siebie. Przez tę jedną noc przybyło jej lat kilka, a gdy poczęła z całą zimną krwią, z całem okrucieństwem nad sobą samą rozpamiętywać, co jej przyszłość jeszcze przynieść może, drętwiała i mogłaby głośno zawołać, żeby ją raczej dobito. A przecie żyć musiała, nie wolno jej było iść za Olą, chociaż chwilami, patrząc na dziecko, rodziła się w niej jakaś skryta niechęć, żal do niego, wreszcie rozpacz, ta najgorsza ze wszystkich, powolna rozpacz skazanego na śmierć przez długie męczarnie. A gdy pani Michałowa przyszła do zdrowia i Tadeusz zażądał wracać do domu, z całą już rezygnacyą wyczerpanej cierpieniem zajęła się pakowaniem, obojętna na wszystko. Tylko ostatniego wieczoru poszła na to samo miejsce w ogrodzie, gdzie była przez jedną chwilę szczęśliwą, siadła na ławce, na której on siedział i utonęła myślą w niedalekiej przeszłości. I zdało jej się, że jest wolną, że ma znów prawo do swojej duszy, do swojej istoty fizycznej i moralnej, że jakaś jasność

otula ją swoim przezroczystym pierścieniem, a blaski jej wsiąkają w duszę, niosąc ciepło i słodycz nieuchwytną, taką słodycz, jaką uczuła, gdy jego usta spoczęły na jej twarzy. Znowu był wieczór cichy i pogodny, noc zwolna otulała swym płaszczem ogród i sąsiednie pola, wszystko było tak samo, tylko nie było Oli i nie było „jego.“ Gdyby tak teraz nagle stanął przed nią, prosiłaby go, aby położył swoją rękę na jej rozpalonem czole i żeby mówił o tem, co jest szczęście, o ofiarach, jakich życie wymaga, o cichych łzach, którym nie wolno wypłynąć, lecz które, dławione, padają na samo dno duszy.... i zostają tam na zawsze, jak te krwawe stygmaty bólu i nędzy. I byłaby prosiła go jeszcze, żeby pozwolił jej własnej duszy zamilczeć, żeby dotknięciem swej ręki zdjął z niej ten ciężar, który już ma jej do śmierci towarzyszyć, a myśląc tak o nim, ogromny żal wypełnił jej serce, zapłakała głośno, jak dziecko i wtedy usłyszała ciche słowa, wypowiedziane wolno, ze współczuciem:

— Niech Jadziunia nie płacze—życie nasze tutaj—to tylko jeden moment—czy tak czy inaczej, minie ono szybko.... na to, co dziś wydaje ci się nad siły, patrzeć kiedyś będziesz jak na konieczność, wypływającą z ciebie samej, nikogo tu nie obwiniaj i od nikogo nie oczekuj ulgi, jeśli ją znajdziesz—to tylko w sobie.

Ona słuchała w skupieniu, nie wylękła się

nagłego zjawienia się świadka, wreszcie słowa te padały na podnieconą jej wyobraźnię, jak chłodne krople wody na rozpalony przedmiot— to jest, nie zostawało po nich nic, nie była w stanie myśleć zimno i logicznie. A pan Ignacy mówił jeszcze o obowiązkach każdego, a zwłaszcza rodziców, o tem, że mało kto może się nazwać szczęśliwym, że właściwie szczęście to tylko wyraz, malujący naszą wieczną tęsknotę za czemś niedoścignionem i nieuchwytnem, słowem, mówił to wszystko, co się zwykło mówić sobie i innym wtedy, gdy rozwaga bierze górę i umysł normalnie funkcyonuje. Gdy zaś poprowadził ją do domu, życząc dobrej nocy, dodał jeszcze:

— A o przyszłość Jasia nie lękaj się, Michałówka będzie kiedyś jego, jesteście teraz najbliższi, ja zaś ze swej strony wpłynę na wuja, aby nie oddawał jej panu Tadeuszowi, niech to będzie chłopaka wyłączną własnością.

Ta praktyczna uwaga obiła jej się tylko o uszy, jak niemiły zgrzyt, przypomniała sobie Olę, jej śmierć i to, co ją pchnęło do grobu, ze wstrętem też niemal odpowiedziała:

— Niech pan Ignacy o tem mi nie mówi, cień Oli nie pozwala mi tego słuchać, ja już szczęśliwą być nie mogę, nie mam prawa, dlaczego miałabym być szczęśliwą, kiedy naokoło tylko łzy.

* * *

Znowu nadeszła jesień, szara, brzydka jesień, pełna mroków i niewyraźnych cieni. Równie mroczno było w duszy Jadzi, gdy, wyjeżdżając po raz wtóry z Michałówki, żegnała wszystkie nadzieje młodości i złudzenia. Teraz aby tylko przeżyć. Była sama, między Marynią a nią stanął cień i przysłonił ową przyjaźń, na której się niegdyś wspierała, cieniem tym rozumiała Jadzia, że był Zygmunt, tylko inne pobudki dawała uczuciom Maryni. Sądziła, że mimowoli wtargnęła w jej prawa, nie wiedząc, że nie zazdrość tu grała rolę, ale żal po rozwianych złudzeniach....

Chłodna natura Maryni przebaczyć tego nie mogła ani Jadzi, ani Wińskiemu. Wyegzaltowany altruizm czynił ją wymagającą i obcą życiu, to też nie widywały się prawie po powrocie ze wsi, wyjątkowo tylko na ulicy lub w ochronce, do której Jadzia czasem zaglądała, niosąc swe skromne dary. Wybierała te dnie, kiedy wiedziała, że Zygmunta nie zastanie, a jednak za każdym razem z drżeniem przestępowała próg, lękając się spotkania, a w najtajniejszej głębi serca, nie chciała przyznać się przed sobą, że pragnęła choć spojrzeć raz jeden w jego oczy, które widziała ciągle przed sobą. Życie swoje wypełniła pracą całkowicie: dziecko, dom, wreszcie czytanie. Czytała teraz rzeczy poważne, czując wiele braków i luk w swem wykształceniu. Tadeusz chwilami był nieznośny, napadały

go wprost paroksyzmy złośliwości i pastwił się wtedy nad żoną drwiąc i wyszydzając wszystko, co robiła. Przywykła jednak już do tego, a że zauważyła, iż ostatnimi czasy częściej ktoś zachodził do niego—nieznane figury pokazywały się w różnych godzinach—więc uspokoiła się nieco odnośnie do klienteli. Jedyne towarzystwo, jakie przedtem miała w sąsiadce, pani Janowej, straciła również, gdyż mąż jej, urzędnik kolejowy, został na prowincyę przeniesiony. Nie bywali nigdzie, gdyż jak utrzymywał Tadeusz, Jadzia z nikim żyć nie umiała, Bóg wie czego wymagając, przytem wiecznie jej coś brakowało, nie głowa, to bok, nie bok, to oczy.... słowem ciągły szpital w domu. Wynagradzał więc to sobie wycieczkami do cukierni i teatru, przepadał bowiem za operetką i wiecznie był w zachwytach dla którejś z bogiń. Nie krępował się obecnością żony i szczegółowo rozbierał wdzięki ideału, porównywując je niekiedy głośno z mniej wybitnemi wdziękami żony. Jaś chował się szczęśliwie i usposobieniem zdawał się być podobny do matki. Zawsze cichy, tak, że go w domu słychać nie było, zato fizycznie był portretem ojca. Jeśli niekiedy przyszła kolej na popis z uczuciem dla syna, wówczas pan Tadeusz pysznił się tem podobieństwem, dodając zaraz: „Żeby tylko nie był taką rozlazłą lalą, jak mama, a to istna baba i to jaka!“ A nie

mając innego audytoryum zwracał się do kucharki z dumą:

„Co? chłopak zuch, do mnie podobny? co?“

Kucharka potakiwała, a wiedząc dobrze, jak stoją papiery pani domu, dodawała jeszcze:

— Caluśki pan, ani kropelki niepodobny do naszej pani, aż dziwo!

To też uradowany, dysponował wtedy już sam obiad, dowcipkując ze służącą, a Jadzia obecna zapytywała siebie w duszy, czem właściwie zasłużyła na taką nienawiść u męża, przecież nie była mu wrogiem, szła za niego z dobrą wiarą i jak najlepszemi chęciami, a że się potem stało inaczej.... czy tylko ona jest winną? Wreszcie pokutuje dotąd za tę winę, pokutuje w każdej chwili, ot i w takiej. A przecież marzyła kiedyś o szczęściu, jakie to dawne! Dawniej wysoce religijna, teraz rzadko bywała w kościele i nie umiała w sobie wzbudzić owej żarliwości pobożnej; w istocie jej moralnej coś się złamało. Na miejsce wiary zbudziła się nieufność, wątpliwość i żal do tego, którego zwała tak niedawno Bogiem, żal już nie za siebie, ale za Olę, za wszystkich, którzy cierpieć musieli. To też im więcej oddalała się od tej ślepej wiary w istnienie Najwyższej Istoty, tem bardziej rozumiała, czem powinna być miłość bliźniego, jakie święte obowiązki wkłada na nas samo istnienie względem drugich. Rozumiała

teraz Marynię daleko lepiej i kształcąc swój umysł, kształciła serce na podobieństwo jej serca. Marzyła o tem, jak wychowa Jasia, jakie zasady wszczepi w tę duszę, daną jej na własność, marzyła, że odżyje w nim po raz wtóry lepsza, mędrsza i świadoma swej woli. A gdy już w zimie dowiedziała się o nagłem i prawdopodobnie bezpowrotnem zniknięciu Maryni—uczuła się sama tak małą, tak nic nie znaczącą wraz ze swojem mniemanem nieszczęściem, marnemi ofiarami, całym kramem filisterskiego życia. Pierwszą jej myślą był niepokój o Zygmunta, czy los oszczędził go jeszcze, czy też wraz z Marynią uniósł w tej zgubnej fali? I wymknąwszy się z domu pobiegła do ochronki, aby dowiedzieć się, jak rzeczy stoją. Nie umiano jej objaśnić. Od kilku dni nie przychodził na lekcye, czy niezdrów? nie wiadomo. Przerażona tem silniej, nie bacząc ani na słotę, ani na spóźnioną godzinę, wziąwszy jego adres, szła jak ogłuszona. Odnalazła numer domu, w którym mieszkał i z bijącem sercem zapytała stróża, czy jest w mieszkaniu.

— Zygmunt Wiński, profesor? a no jest— gdzieżby się podział? Walek, machaj i zawiedź panią na 3-cie piętro pod № 18.

— Dziękuję, ja nie pójdę, chciałam tylko się dowiedzieć.... i....

— Myślałem że panna do niego—toć chory leży i bez nikogo.

— Chory? ledwie dosłyszalnym głosem pytała.

— A juści.... moja kobieta chodzi posługiwać i powiada, że jej się serce ściska nad biedakiem.

— Chory? dawno chory? jeszcze raz powtórzyła nie mogąc spojrzeć w oczy stróżowi, gdy jednocześnie powtarzała w myśli świadomość, że pójść powinna i może....

Stróż tymczasem, wsparłszy się na miotle, którą kończył zamiatać—patrzał na bladą twarz Jadzi i dorozumiewał się, że jakąś walkę toczy ze sobą.

— A no idzie panna? to Walek zaprowadzi. Matko! zwracając się do krzątającej się w ciemnej izdebce stróżowej, zawołał, a dajcie no klucz z pod 18-go, gość jest do profesora.

Podając klucz spojrzała stróżka na Jadzię, która, już zdecydowana, starała się otrząsnąć że zmieszania, w jakie ją ten śmiały jej krok pogrążał.

— Panienka trafi łatwo, zamek otwiera się na prawą stronę—objaśniała jeszcze stróżka, postępując kilka kroków za znikającą Jadzią w cieniu ciemnych schodów oficyny. Gdy drzwi skrzypnęły i mały Walek, zostawiając ją samą, całym pędem zbiegł na dół, Jadzia przyszła nagle do przytomności, dopiero teraz zro-

zumiała, co uczyniła i gdzie jest. Ale już było za późno. Na wprost małego przedpokoiku, będącego zarazem kuchenką, otwarte drzwi prowadziły do pokoju chorego. Łóżko stało naprzeciwko, a na niem Zygmunt, przebudzony szmerem, podniósł głowę z poduszki, starając się w mroku dojrzeć wchodzącą. Jadzia stała na miejscu, nie mogąc odetchnąć, zdrętwiała i przerażona, nie pamiętała też kiedy i jak znalazła się u wezgłowia chorego. Dopiero jego cichy głos ,przywiódł ją do świadomości.

— Czy to stróżowa?

Stojąca postać nikła w cieniu, zarysowując się tylko zlekka.

— Nie, to ja....

Chwilę trwało milczenie, w czasie którego słychać było przyśpieszony oddech chorego. Subtelniejsze zaś ucho dosłyszałoby jeszcze drżenie całego ciała Jadzi, niemogącej, opanować szalejących nerwów.

— Pani? pani u mnie? Starał się mówiąc przebić wzrokiem ciemność i wyciągnąwszy nagle rękę chwycił nią drżącą dłoń Jadzi.

— Pani u mnie? dlaczego?

— Powiedziano mi, że pan chory.... Maryni niema.... lękałam się, że i pana to samo spotkało.... dowiadywałam się w ochronce, tu zaś stróż powiedział mi, że pan jest chory.... bezładnie mówiła, nie mogąc ani logicznie myśleć, ani się wytłomaczyć.

— Nie widzę pani—ale to nic, niech pani usiądzie, pani drży... Ujął w obie ręcę dłoń Jadzi i znowu umilkli, a oczy jej, oswojone z ciemnością, poczynały rozpoznawać zmienione rysy twarzy chorego.

— Dziękuję pani. Jestem rzeczywiście chory, zwykły atak, płynący z wady serca... ale pani drży jeszcze.... dlaczego pani się lęka? pani przecie nic złego nie zrobiła odwiedzając chorego.

Ona pochyliła głowę i nagle z oczu jej puściły się łzy strumieniem, jako skutek długiego napięcia nerwow. Padały na rękę Zygmunta, a on patrzał na twarz jej natchnioną jakimś lękiem i żałością dziecka, skarżącego się cicho....

— Niech pani wypłacze to, co jej cięży... Chciałbym powiedzieć jej to, co od naszego rozstania czułem i myślałem. Jak to już dawno! Czy pani mi wybaczyła? tak—prawda—wybaczyłaś, skoro tu jesteś, u mnie, biedaka, niemającego cię czem przyjąć. Pragnąłbym, abyś wiedziała jednak kim jesteś w tej chwili u mnie: świętą, czystą, moją wiarą wskrzeszoną napowrót.

Jadzia słuchała tych słów w upojeniu, dusza jej zdawała się biedz gdzieś, poza szranki rzeczywistego świata, wszystko realne zniknęło: mąż, obowiązek, sieroctwo, wszystko! Ona tylko

była i on, mówiący słowami, o jakich kiedyś, bardzo dawno, marzyła. Marzyła, że tak będzie do niej mówił mąż.

— Pani mnie słyszy? prawda? Pani wierzy, że to, co zdawało się we mnie zamarłem—teraz ożyło, ale nie mów mi, że to jest tylko miraż szczęścia, bo ja wiem o tem i ty wiesz również.... tak.... miraż, bo nam tu nie wolno być szczęśliwymi, gdyż za dużo jest takich, którzy cierpią....

A ona słuchała go z rozszerzoną źrenicą, patrząc w twarz ukochaną, w te oczy, w których czytała nieziemskie uniesienie. Począł w nią wstępować duch nowy. Świeża fala myśli zrodziła się w mózgu, i gdy w kwadrans potem schodziła ze schodów, była pewną, że dopiero teraz zaczyna pojmować życie, to jest jego cel i założenie. Przypomniała sobie pustkę, która go otaczała, tę nędzę, na jaką się skazywał oddając innym.... Jakże nic nie znaczącem, jak ciasno egoistycznem było dotychczas jego życie ze wszystkiemi bólami i goryczą.

*

* *

W domu zastała gości. Matka Maryni z dwoma córkami czekała na jej powrót, chcąc zasięgnąć pewnych informacyi, wiedząc o zażyłości i bliższych z Jadzią stosunkach. Tadeusz

irytował się na żonę, że nie wraca, pochlebiała mu bowiem wizyta tych pań strojnych, modnych, mówiących w połowie po francusku. Pragnął też przyjąć je jaknajwykwintniej, a tu, jak na złość, Jaś płakał niedopilnowany, sługa gdzieś wyszła, słowem nieład....

— Jesteś nareszcie! licho cię nosi nie wiem gdzie o tej porze, i w taką słotę.... bęben drze się, a ty się włóczysz!

Mówił półgłosem, piorunując przytem wzrokiem, ona zaś, zdejmując mokry kapelusz, zapytywała siebie, czego właściwie chcą od niej i to akurat teraz....

— No idźże już! i popchnął ją do salonu, gdzie właśnie mama kończyła jakąś uwagę, skierowaną do młodej córki, Loli.

— Ach! pani kochana! cher madame excusez! że tak ją nachodzimy nieznane i obce... ale ta biedna Marie, tyle nam zgryzoty przysporzyła.... vous avez! prawda? i rozumie mię pani, jako matkę.... to okropne! Sądzę, że pani potrafi nas objaśnić, rzucić pewne światło.... Ach! pardon! pani moich córek nie zna.... Doprawdy tracę głowę.... ta biedna Marie! Moje młodsze córki, prezentowała dalej jednakowo ubrane panny, w modnych kapeluszach, słodko uśmiechnięte, jednakowo ufryzowane, o jednakim zresztą uśmiechu w bezbarwnych, ładnych twarzyczkach.

— Moje córki: Lunia i Lola—o tyle dobre i posłuszne dzieci, o ile Marie była krnąbrną.... Co ja się z tą dziewczyną miałam zawsze, niemal od kolebki, tak, du berceau, pani kochana niech mi wierzy. Luniu! potwierdź, jak bardzo martwiłyśmy się postępowaniem Marie.

Panienki jednocześnie kiwnęły głowami, a starsza monotonnym głosikiem wyszepleniła:

— A tak! ogromnie!

Jadzia stała jeszcze naprzeciw gości, nie powiedziała dotąd ani słowa, a pan Tadeusz, jakby na rozżarzonych węglach, przesyłał jej spojrzenia wymowne.

— Ja panny Maryni bardzo dawno nie widziałam. W ostatnich czasach nie spotykałyśmy się prawie. Podsunęła krzesło, mamie, wachlującej się wonną chusteczką, a pan Tadeusz skwapliwie podał także krzesełka panienkom.

— Tak? więc i pani poznała się na tym samowolnym, dzikim charakterze? to tylko mówi na jej korzyść... Idąc tu, dziwiłam się, mogę wszak mówić szczerze? Otóż dziwiłam się, że pani mogła być z tą przewróconą głową w przyjaźni.... ale teraz pojmuję.... póki jej pani nie poznała.

— Owszem, ja wysoko ceniłam i cenię pannę Maryę, a stosunek nasz nie z mojej winy się urwał.... ja nawet bardzo żałowałam. Panna Marya była bardzo zajęta, nie miała czasu, ja również....

— Sądziłam, że da mi pani jaką wskazówkę. Mój mąż jest w rozpaczy i co gorsza nie ma jej tego za złe, tylko boleje. Podobno jakiś tam nauczyciel, niejaki Wiński, był z nią w zażyłych relacyach; możeby on nas objaśnił.... jak myślicie, Luniu?

— Nie wiem maman, kto to jest ten pan?

— Mogę panie poinformować. Jest to jeden ze znanych nauczycieli prywatnych.... ale zdaje się, że go obecnie niema w Warszawie, tak mi mówiono w ochronce....

Dlaczego kłamała mówiąc te słowa, nie umiałaby odpowiedzieć. Zdawało jej się tylko, że jest niemożebne, aby te trzy lalki miały iść tam, skąd ona przed chwilą wróciła. Nie! sama myśl ta ją bolała.

— Szkoda! to także jakiś awanturnik, rozwodnik, żona go porzuciła, a on podobno na to się zgodził.... Coś niejasnego.... już to Marie umiała dobrać sobie towarzystwo.

Tadeusz opowiadał tymczasem panienkom o sukcesach jednej z gwiazd teatralnych i o tem, jak ślicznie wyglądała w dekolte...

— Bóg nas pokarał za pośrednictwem Marie,—mój mąż jednak winien stanowczo. Był za słaby, a teraz lękam się o jego stan zdrowia. Przytem mamy lekki kłopot i zmartwienie: dom, w którym mieszkamy, wystawiony jest na licytacyę. Bóg wie, kto go może nabyć, trzeba

się będzie przenosić, a to prawdziwe nieszczęście, kto ma tyle mebli, co my!

— Dom państwa? Jak tknięty iskrą elektryczną zerwał się pan Tadeusz, zapytując z przerażeniem powtórnie.

— Dom, wystawiony na licytacyę? ależ to być nie może!

— I myśmy przypuszczali, mieliśmy naszego gospodarza za solidnego — et cependant! dowiadujemy się właśnie, że oprócz długów, na domu nic niema! Pan zna naszą kamienicę?

— Tak nieco.... i dlatego się zdziwiłem.... Powiódł ręką po czole, lecz wyrazu przerażenia nie mógł ukryć, pomimo wysiłku. Jadzia nie zwracała na to uwagi, starała się od chwili powrotu nie patrzeć na męża, panie zaś przypisywały gorącemu współczuciu nad ich niedolą.

— Znajomy nasz, jeden z prawników, upewniał nas, że dom ten wystawiony będzie na licytacyę...

— Ale państwo mając kontrakt.... wtrąciła Jadzia.

— Niestety kończy się w tym czasie, a zapewne komorne podniosą — ho¡ que faire! na każdym kroku przykrości, na każdym! Ale nie będziemy państwu zabierali czasu wobec tego, że cher madame nie może nam żadnych udzielić objaśnień. Bardzo nam było przyjemnie poznać panią; może w wolnej chwili będą pań-

stwo na nas łaskawi—prosimy bardzo — Vous serez les bienvenus.

Wyciągnęła łaskawie rękę do Jadzi, panienki złożyły ukłon z powagą i namaszczeniem, a Tadeusz, uśmiechając się sztucznie, zapewniał o wdzięczności etc. ale jakby czemś oszołomiony, nieprzytomny.

— Co za nudna para! Mon Dieu! zawołała pani, znalazłszy się na ulicy. Ta gęś ani słowa do rzeczy nie powiedziała, a on, to parwenyusz, bez manier i taktu. Opowiadał wam o jakichś aktorkach! niesłychane! I w takiem towarzystwie Marie gustowała!

Córki w milczeniu przyjęły uwagę matki, a starsza zastanawiała się, czy też w dekolte mogłaby wyglądać równie ponętnie, jak owa gwiazda teatralna i czy mężczyźni odczuwają to samo patrząc na nią, jak na widok tamtej.

Jedynym celem jej życia było: umieć wzbudzić namiętność, próbowała sił od najmłodszych lat, począwszy od różnych kuzynków.

*

* *

Po wyjściu gości Tadeusz zamknął się w gabinecie, skąd słychać było jego kroki nierówne, przerywane od czasu do czasu głośniejszem stuknięciem krzesła lub szelestem papieru. Jadzia patrzała na Jasia, usiadłszy przy łóżeczku,

bawiła się machinalnie jego rączkami, a w duszy jej powstawał bunt na życie, bunt coraz silniejszy. Dlaczego musiała tak cierpieć? To znów ogarniał ją lęk na wspomnienie przyszłości. Więc życie całe będzie takiem szeregiem walk i zaparcia się siebie! Bo „tam“ już więcej pójść nie będzie mogła. On wyraźnie powiedział, że nie wolno im być szczęśliwymi—wreszcie nie należało przeceniać sił własnych i jego — byli ludźmi.... A gdyby potem musieli spuszczać oczy przed sobą? gdyby czoło ich pokrył rumieniec wstydu? Nie! to byłoby jeszcze gorszem od śmierci.... tak, zostanie wspomnienie wyidelizowane i czyste, w przeciwnym zaś razie plama, której zmyć przez całe życie nie mogłaby.... Myśl ta piekła ją nieomal; a jeśli „on“ choć na chwilę przypuścił, że po to przyszła do niego? Zerwała się i jak szalona przebiegała pokój, wreszcie oparła twarz o zimną szybę okna i, oddychając ciężko, rozpłakała się jak dziecko....

Na drugim końcu mieszkania Tadeusz cierpiał również: cierpiała w nim miłość jego własna, cierpiała próżność, dla której mógł wszystko poświęcić. Wyszedłszy z niczego, bo z biedniejszej klasy, wysiłkiem rodziców skończywszy nauki, a potem prawo, marzył o wysokiem stanowisku, dużych dochodach i używaniu życia. Posag Jadzi miał być pierwszym etapem. Tymczasem.... włosy stawały mu na głowie, suma

zahipotekowana na kamienicy spaść mogła, a z nią cały byt. A tak go zapewniano, że interesy są czyste i lokata pewna, on, prawnik, dał się podejść, co za wstyd i jaka zła marka, jako dla człowieka, który przecie powinien umieć takie sprawy załatwiać.

— Nie, plotka babska, nic więcej; pójdę jutro i dowiem się prawdy, to nie może być! poza towarzystwem nie było długów. Tak się pocieszał, powtarzając w duszy po raz setny, ale przeczucie zaprzeczało mu gwałtownie i lęk ogarniał go coraz większy.

Ciężką noc mieli oboje i jakże daleko od siebie byli myślami, pomimo, że słyszeli wzajemny swój oddech. Nie mówili ze sobą, ona rada, że jej nie pytał o nic, on zaś nie chcąc aby go zapytywała o przyczynę przygnębienia. Coby jej powiedział, tej niedołężnej istocie? Co pocznie, gdy trzeba będzie prawdę powiedzieć. Wrodzone lenistwo odzywało się przytem z mocą, a widmo przymusowej pracy stanęło w całej grozie spędzając sen z powiek.

Nazajutrz Jadzia przyrzekła sobie z rana, że nie pójdzie „tam,“ choćby tylko dowiedzieć się o zdrowie u stróża. Krzątała się tak około Jasia i gospodarstwa, zabijała myśli prozą życia i troską o obiad, aby nie wchodzić w siebie i nie bać się własnych uczuć. O! bo bała się ich! Były bardzo dziwnie ponętne, pomimo bólu, jaki z sobą niosły. Jeszcze

raz spojrzeć w te drogie rysy! jeszcze raz usłyszeć słowa, od jakich dusza obumiera. Stojąc u kolebki dziecka widziała tylko „jego“ oczy, w głosie syna nie rozróżniała dźwięków właściwych, a zdawało jej się, że jakieś echo niesie jej wczorajsze wyrazy, cicho, z szelestem zwiędłych liści, lub szmerem usypiających ptaszął gdzieś w dali.

Żyła, jak we śnie, poruszała się, jak automat, nie widziała dokoła siebie nic, nawet męża. Przestał niejako istnieć dla niej, sumienie umilkło, a natomiast złowrogi szał ogarniał ją całą pod swe panowanie. I gdy przyszła ta sama godzina, o której zeszłego dnia była u „niego“—wbrew wszelkim przyrzeczeniom i postanowieniom, biegła znowu tam, drżąc z niepokoju, jak go zastanie. Nie wejdzie na górę, nie, ale tylko się dowie o zdrowie u stróża. Przecie nie może nie dowiedzieć się. On nawet o tem nie usłyszy i myśleć będzie, że jest mężną i umie panować nad sobą. W bramie zastała tylko stróżkę.

— A! panienka! pan profesor w szpitalu— panienka nic nie wie? pani wraca, chora i pan profesor po nią pojechał. Biedaczek sam się zwlókł z pościeli, ale pojechał po nią.

Jadzia z otwartemi szeroko oczami słuchała tych słów i żadnego dźwięku wydobyć z gardła nie mogła, pomimo wysiłku, jaki czyniła. Oparła się o drzwi otwarte, a stróżka

ciągnęła dalej, dojadając kawałek chleba z kiełbasą.

— Stary mój pojechał z nim, zaraz pewnie przywiozą... Dziś rano przysłali do profesora ze szpitala... podobno ma tyfus. Biedne panisko! taki dobry jak anioł, a taką ma kobietę. Panience wiadomo, co to za jedna, nic dobrego, porzuciła go dla jakiegoś franta, co cukierki i błyskotki znosił, a teraz to pewnikiem on ją porzucił, kiedy leży w szpitalu... Biedne panisko musi cudze biedy łatać! potrzeba mu to! Panienka jego krewniaczką pewnie?

— Tak jest. Dziękuję wam.

Otarła pot z czoła i nie wiedziała o co pytać, co mówić. Zdawało jej się, że cały świat z nią wiruje,że brama tańczy, a stróżka w jakichś konwulsyjnych ruchach zbliża się do niej i chce ją udusić. Nogi jej wrosły w ziemię, a w uszach brzmiały dwa słowa: „żona powróciła". Przed bramą zatrzymała się kareta i dorożka, wyskoczył z niej stróż, a jednocześnie drzwiczki karety się otworzyły i zwolna wysiadł z nich Zygmunt—poczem obaj wynieśli na rękach chorą kobietę, kierując się ku drzwiom wchodowym. Stróżka zwróciła się do idących, a Jadzia wsunęła się w ciemny kąt bramy nie mając siły uciec, ani iść naprzód. Tylko oczy szeroko otwarte wpiły się w to, na co patrzyła. Zygmunt niósł chorą od strony głowy, otuloną w futro i chustki, sam blady, jak ściana, szedł

z wysiłkiem, chwiejąc się na nogach. Oczy opuścił na ciężar, jaki dźwigał, zdawał się nic nie widzieć przed sobą, ani za sobą, tylko, gdy mijali Jadzię, stojącą w cieniu, jakby siłą hypnotyczną pociągnięty, spojrzał w tę stronę i zadrżał. Oczy ich spotkały się na chwilę, stanął w miejscu, a ona podchodząc szepnęła nieśmiało:

— Przyszłam dowiedzieć się o zdrowie.

— Dziękuję. Pani wie?

Kiwnęła głową, znowu spojrzeli na siebie, bardzo cicho, ledwie dosłyszalnym głosem, a on dodał jeszcze:

— Niech pani modli się za nią jeśli może... niech pani modli się za nas troje.

Uśmiechnął się gorzko, a Jadzia rzuciła okiem na głowę chorej kobiety. Z pod ciepłej chustki wymykały się jasne bardzo włosy, ręce miała opuszczone wzdłuż ciała, jak małe, spowite dziecko i zdawała się być wątłą i drobną. Przyszło jej na myśl, że to był przecie „jego“ skarb kiedyś i, że jeszcze może nim być — a ona wtedy?... Roześmiała się prawie głośno, była już sama pośrodku bramy, stróżka podreptała za niosącymi, a ona stała i pytała siebie w duchu: gdzie jest i po co właściwie tu stoi...

Na dworze drobny deszcz siekł w twarz i zalewał oczy, ciemno było; rzadkie latarnie, jak błędne ogniki zapalały się silniej, to znów bladły, prawie gasły. W tej dzielnicy, w któ-

rej biedacy zamieszkują, w dnie słoty czuje się podwójnie ciężar życia wydziedziczonych, a zmysły, przywykłe do jaśniejszych barw, z bólem przyjmują wrażenia ujemne, niosąc je w głąb duszy na to, aby zbudzić ją z odrętwienia, jeśli przedtem nie żyła...

Jadzia rozumiała to teraz, rozumiała do szaleństwa: ta chora kobieta, to całe otoczenie, złożone z biedy i smutku... wreszcie samo życie... W wyobraźni jej zarysowało się jasno wspomnienie Oli i jej dola, tam także nędza, wprawdzie moralna, ale jaka nędza! jaki ból! Tu znowu, gdzież więc jest szczęście, czy może znają je te bezduszne lalki, podobne do tych, które wczoraj miała u siebie. Może Marynia? Tak, ona jedna. A może Tadeusz? Czy pomyślała też kiedy, co czuć może Tadeusz? Próżne słowa, gdyby czuł cośkolwiek onaby teraz nie szła sama, wykolejona, z rozdartem sercem i złamanem życiem. Bo czemże teraz jest? do kogo należy? Czy do tego, który według praw zwie się jej mężem? ale który obcy jest jej duszy, a fizycznie wstrętny? czy może do tego, który chory pojechał po swój skarb, niepamiętny goryczy lat paru, niepamiętny „wczoraj"? Nie! jest samą... a dziecko? W tej chwili uczuła jasno, że dziecko nie jest w stanie wypełnić jej życia, że w niem na zawsze pozostanie już próżnia, której nic i nikt nie zapełni, ch ba miłość bliźniego. Może, zbliżając

się do wydziedziczonych, potrafi ogłuszyć siebie i zabić ten głód, na jaki ją życie skazuje. Sama, zawsze sama? Pójść śladem Maryni... to jedno... ale i tego jej nie wolno, bo ma dziecko i obowiązki.

Uszła kilkanaście kroków, gdy posłyszała za sobą głos stróżki biegnącej i zadyszanej.

— Niech panienka poczeka... pan profesor prosił, aby panienka zaszła, jak będzie mogła, może panienka dopomoże przy chorej.

— Dobrze, proszę powiedzieć, że przyjdę.

On ją wzywał i pamiętał jeszcze o niej. Przyda mu się, więc może jeszcze być dla niego czemś...

Pójdzie ją pielęgnować, będzie na nią patrzyła, z nią mówiła, będzie widziała jego oczy, zwrócone ku tamtej, może z tym samym wyrazem, jaki dobrze zna... Ale to nic, pójdzie, bo on tego chce.

*

* *

Tadeusz nie pokazał się cały dzień w domu. Koniec miesiąca, fundusze się wyczerpały i gdy sługa przyszła po pieniądze na obiad, Jadzia spostrzegła, że dać ich nie może, bo niema ani grosza. Z rumieńcem wstydu odesłała sługę z tem, że nazajutrz da jej na sprawunki, a sama rozmyślała skąd dostać, w razie, jeśli

Tadeusz bardzo późno wróci i budzić go rano nie będzie mogła.

Postanowiła pójść do lombardu; miała przecież kilka cennych drobnostek z biżuteryi, doskonałe wyjście! że też odrazu nie pomyślała o tem! Siadła z książką przy łóżeczku Jasia i starała się próbować modlić, on przecie powiedział: „niech się pani modli!“ Ale zamiast modlitwy na usta jej wracały słowa skargi i jęku, a żal do Boga rósł coraz większy.

— Nie śpisz? psujesz oczy przy świetle, a w dzień latasz.

Nad nią stał Tadeusz i chmurnem wejrzeniem obejmował postać żony. Wydała mu się interesującą w półmroku, oczy jej błyszczały gorączkowo, a wypieki ożywiały bladą zwykle twarzyczkę. Wzrok też Tadeusza złagodniał nieco i głos stał się miększym, gdy dalej mówił siadając obok.

— Muszę ci złą nowinę powiedzieć. Nie będę taił, bo się to na nic nie zda, stało się, jestem winien!

Jadzia, zdumiona tą przemową, podniosła wzrok i spotkała się z oczami męża, które, jakby chcąc ją przeniknąć, patrzyły badawczo, niespokojnie.

— Co się stało? mów, proszę.

Złożyła robotę i ręce na kolanach i zwrócona profilem do męża przymknęła oczy z rezygnacyą. Przecie nic pomyślnego jej nie po-

wie. A on tymczasem przeszedłszy się parę razy po pokoju przystanął znów i kończąc mówił.

— Sumę twoją zahipotekowałem na domu Leziewicza, zdawało się, że nie można lepiej, tymczasem dom wystawiają na licytacyę i prawdopodobnie poniesiemy pewne straty...

Urwał, a ona milczała, nie wiedząc, jak mu powiedzieć, że ją to nie obchodzi wcale, że ona nie żąda nic od niego, prócz spokoju, tak już była zmęczoną.

— Nic nie mówisz? naturalnie uważasz za stosowne nadąsać się i zrobić mi scenę... o! wiem, że to tylko potrafisz. Czyż ty umiesz zrozumieć to, co ja czuję w tej chwili, wesprzeć mię, dodać otuchy... nie! ty wolisz się obrazić.

— Mylisz się, Tadeuszu—nie mam zamiaru dąsać się ani gniewać, zaufałam ci zupełnie i nadal ufać będę... Nie boli mię strata materyalna, wierz mi, to właśnie chciałam ci powiedzieć. Skoro będzie potrzeba, będziemy oboje pracowali, przecie na cośkolwiek przydać się potrafię... tyle kobiet pracuje. Więc i ty nie bierz tego do serca.

— Niema sensu w tem co pleciesz, o pracy twojej słyszeć nie chcę. Jest inny sposób i rada. Napisz do wujostwa, przedstaw im chwilowy nasz stan interesów, nie przestraszając ich jednak i nie zrażając do mnie, oni mogą nam pomódz, przecie ty jesteś ich sukcesorką; prawnie ci się Michałówka należeć będzie!

— Co ty mówisz Tadeuszu? jakto? miałabym ich prosić o jałmużnę? dlaczego? czyśmy chorzy, niedołężni? czyż pracować nie możemy?

Powstała i stali tak naprzeciw siebie, ona z wypiekami na twarzy i błyskiem energii w oczach, on, zaskoczony i podrażniony, patrzył na nią z gniewem.

— Wiedziałem, wiedziałem oddawna kim jesteś—wiedziałem, że mam wroga w domu. Gdy możesz przyjść mężowi z pomocą, wolisz pozować na bohaterkę romansu i stroić się w pozy uciśnionej, poświęcającej się ofiary. Ale strzeż się! Jeżeli nie zechcesz mi pomódz, możesz potem sama pożałować, ja z głodu nie zdechnę, ale o was myśleć nie będę. Chcę twego dobra, a ty mi prawisz o jałmużnie. Jakieś skrupuły niewczesne! jakąż jesteś matką, kiedy nie dbasz o los dziecka? no, bo że o mnie nie dbasz to mniejsza!

— Jaś tak mało potrzebuje tymczasem, a przecie ty wyrobić się możesz... wszak nie masz chyba zamiaru nic nie robić?

Rzucił się gniewnie, uderzył w stół pięścią tak, że dziecko zbudzone ze snu poczęło płakać i wołał już z pasyą.

— Nie ucz mię, co mam robić, nie na to się z tobą żeniłem, abyś mię uczyła rozumu... słyszysz? nie na to!

Nie odrzekła już nic, a uspokajając Jasia

starała się zapanować nad żalem, który jej piersi roztaczał.

— Więc napiszesz, czy nie? pytam ostatecznie.

— Co mam napisać?

— Mówiłem przecie—nieco łagodniej już prawił—niech przyjdą nam z pomocą, abym nie potrzebował zarzynać się pracą dla kawałka chleba, zdolności moje zmarnieją, praca groszowa zabija ducha, a ja wybić się muszę! niech tylko mam wolną głowę. Powierzono mi dziś sprawę, której szczęśliwy wynik może mię odrazu zrobić znanym, nie da mi kapitałów, ale da mi sławę. Lecz abym mógł się nią zająć, muszę mieć swobodny umysł. Rozumiesz mię teraz?

— Zrobię, co chcesz, ale nie wiem, czy wujostwo mają pieniądze—mąż Oli wziął resztę.

— Nie wierz temu, starzy mają więcej, niż się zdaje, niech wreszcie wezmą cię do siebie na czas jakiś z Jasiem, ja sobie tymczasem dam radę. No, a teraz, skoro zaczynasz być rozumną—nie gniewaj się i bądź dobrej myśli. Twój mąż jeszcze nie jest ostatnim osłem, zobaczysz, że potrafię uczynić tak, abyś była dumną z niego.

Wyprostował się podnosząc głowę i patrzył na żonę z miną dygnitarza przyszłego. A ona drętwiała na myśl, że ten dobry humor może się dla niej zakończyć tragicznie. Lepiej

śmierć, niż „to“, zwłaszcza dzisiaj, teraz, kiedy nerwy rozszalałe opierają się całą siłą przemocy, jaka je może czekać... Żeby módz tak zasnąć, przestać myśleć, czuć! Uklękła do pacierza, chcąc zyskać na czasie, rachowała na to, że sen weźmie górę, że gdy powstanie, on już spać będzie... Ukryła twarz w dłoniach i, nie mogąc się modlić, powtarzała tylko dwa słowa zagłuszając lęk i rozpacz: „Boże! ratuj!“

Ale Bóg był obojętny na jej prośby, Tadeusz zasnąć nie mógł i niecierpliwić się już zaczynał przeciągającą się modlitwą żony.

*
* *

Następnego dnia Jadzia napisała do ciotki szczerze, opisując rozmowę z mężem i prosząc o radę, co ma począć, czy rzeczywiście jechać do Michałówki, czy też, wbrew woli Tadeusza, wynaleźć sobie jakie zajęcie. Osobno zapytywała też pana Ignacego, co myśli, a sama, mając wolną godzinę, gdy Jaś po obiedzie spał, wymknęła się na Ciepłą, do mieszkania Zygmunta. Szła dziś śmiało, bez rumieńca na czole, wiedząc, że idzie nie do niego, ale do „nich“, że czeka ją tam gorycz, która jednak zmyje choć w części to, co było, a nie powinno się było stać. Dziś odpokutuje to przy łożu chorej.

W pokoju było szaro gdy weszła, Zygmunt powstał na jej przybycie i wskazując na chorą, śpiącą w tej chwili, szepnął ze wzruszeniem w głosie.

— Wiedziałem, że pani przyjdzie. Ona śpi.

Jadzia nie odrzekła nic, ale wzrokiem spoczęła na tej postaci, leżącej bez ruchu i długo patrzyła, a myśli odbiegały ją zupełnie. Zygmunt usunął się na bok i nie przerywał ani słowem, ani wzrokiem. Domyślał się, co się dzieje w Jadzi duszy, przed sobą nie widział również nic, prócz goryczy. Ileż ciężkich dni, ileż nocy bezsennych dzieliło go od chwili rozstania z tą kobietą, którą jednak teraz musiał na nowo widzieć pod swym dachem, pod swą opieką. O! pamięta dobrze te błyski w jej oczach, gdy rzucała mu w twarz wyznanie nienawiści, a rwała się tam, do nowego szczęścia... I cóż znalazła? Oto leży chora, niedołężna, opuszczona, na łasce wstrętnego jej niegdyś męża. Zaśmiał się gorzko. Już przewalczył, przebolał, zdało się, że spłacił dług naturze, żądnej ofiar i łez, ale gdzież tam—muszą być nowe! A jak kochał niegdyś tę piękną maskę, to ponętne ciało bachantki, te oczy ogniste i głębokie! Pił z ust jej słodycz wraz z trucizną, a teraz dreszcz go przebiega na wspomnienie tego szału. Pragnął duszy, a miał tylko rozkosz. Lecz, czy rzeczywiście chodziło mu wówczas o duszę? Czy starał się dojrzeć ją i wierzył, że trafny zrobił

wybór? Przypomniał sobie różne drobne rozczarowania w początkach wspólnego pożycia i spuścił głowę, przejęty wstydem. A teraz? miał tak blizko szczęście, istotę, którąby urobić mógł dla siebie i według siebie... Chora poruszyła się, Jadzia drgnęła opamiętywając się, po co tu przyszła, Wiński był już przy łóżku. Poduszka wyleżana zsunęła się na bok, trzeba ją było poprawić, ręce Zygmunta i Jadzi spotkały się znowu na chwilę, spojrzeli sobie w oczy i zrozumieli wzajemnie. Cichy pakt na przyszłość zawarli bez słów, odtąd przeszłość musiała być pogrzebana na zawsze, nie wolno im do niej wrócić nigdy. Oczy chorej spoczęły na twarzy Jadzi, były one błędne, a rysy, zniszczone chorobą, nie pozwalały domyślać się niedawnej piękności. W sercu młodej kobiety zbudziła się nagle wielka litość nad tą nieszczęśliwą, pochyliła się i dotknęła ręką rozpalonej głowy, chcąc przynieść jej ulgę, bodajby chwilową. I gdy potem podawała jej lekarstwo cierpliwie i łagodnie, gdy po macierzyńsku otulała kołdrą, Zygmunt patrzał na każdy jej ruch, na każde pochylenie głowy, myśląc, że w takiem sercu złożone są dziwne skarby, które same starczyłyby na to, aby z życiem pogodzić. Nie pojmował, jak mógł tak niedawno pragnąć jej pocałunków, dziś czuł, że dość mu patrzeć na nią, aby była „jego“ aby wreszcie mógł żyć i pracować dalej. Opuścił

go zmysłowy szał, nie pragnął już jej ciała, chciał tylko, aby była zawsze równie dobrą i cichą, jak teraz, gdy drżącą dłonią podawała łyżkę z lekarstwem.... Ona to snać odczuła, bo lekkie rumieńce pokryły policzki, a oczy gorzały ogniem, czyniąc nieregularne rysy twarzy prawie pięknymi.

Wracała do domu uspokojona, nie targała ją burza nerwów, nie skarżyła się na życie, ale szła czemprędzej, aby ujrzeć Jasia i choć paru słowami dodać otuchy Tadeuszowi. Chcąc wprowadzić w czyn miłość bliźniego, powinna była zacząć od wyrozumiałości i przebaczenia najbliższym. Wszak „on" przebaczył również, biorąc pod swój dach tę, która go kiedyś tak bardzo skrzywdziła.

*

* *

Dnie płynęły za dniami, codziennie odwiedzała Jadzia chorą Wińską, niekiedy nie zastawała Zygmunta, który musiał pracować na kawałek chleba i wtedy lżej jej nawet było krzątać się koło chorej. Chwile przytomności bywały rzadkie, wtedy, walcząca ze śmiercią, nie pytała Jadzi o nic, ale z uśmiechem zaufania zwracała się do niej, jak do jasnego promienia, dziękując wymownie wzrokiem. Może ją miała za krewną Zygmunta, może za dozor-

czynię chorych—a może odgadywała, że przywiodło ją tu coś więcej, niż litość nad jej chorobą.

Z Michałówki nadszedł list, namawiający ją, aby nie opuszczała męża, bo pomimo wszystko powinna z nim dzielić tak dolę jak niedolę. Wuj przysłał jej kilkaset rubli, jak nazywał, pożyczki—to też Tadeusz, uspokojony tą sumą na czas jakiś, był względniejszy, rzadziej z domu wychodził i nie irytował się nawet, gdy Jadzia objaśniła go, że znalazła bardzo korzystną lekcyę. Z początku nie chciał się na to zgodzić, ale gdy mu obiecała, że nikomu zwierzać się z tego nie będzie, a również i jemu nie wspomni o tem więcej, przystał, nie poruszając już nigdy ani słówkiem tej kwestyi. Opowiadał jej za to dużo o owej sprawie, nad którą pracował i ze zdziwieniem widziała rzeczywiście, że coś pisze, czyta, słowem zajmuje się z przejęciem. Błysk nadziei zrodził się w jej duszy na chwilę, tak bardzo chciała módz go szanować, gdyby rzeczywiście mogła wzbudzić w sobie zaufanie męża i szacunek. Mniejsza o resztę. Pan Ignacy w długim swym liście zachęcał ją do wyrozumiałości względem Tadeusza, do rezygnacyi i nadziei. Nadzieja! wyraz ten oddawna wykreśliła ze swych myśli, jakąż ona mogła mieć nadzieję?

„Gdy pożyjesz tyle, co ja, gdy poznasz tak dobrze ludzi, jak ja—mniej razić cię będą

ich wady, zrozumiesz, żeśmy poniekąd wszyscy podobni do siebie. Bywamy mili lub niemili, mądrzy lub ograniczeni, ale wszyscy jesteśmy słabi chwilami. Wejdź w siebie, a przyznasz, że i tu nie zawsze rada z siebie byłaś.—A nie myśl też, że wyłamując się z praw, zakreślonych nam tak zwaną moralnością—będziesz szczęśliwą. Nie! musiałabyś cofnąć się o setki lat wstecz, zrzucić z siebie to piętno, jakie wyryła na nas cywilizacya i dany ustrój społeczny, a dopiero wróciwszy do pierwotnych form myśli i pojęć mogłabyś korzystać z mniemanej swobody. Swoboda zależy wyłącznie od tego, czem jesteśmy. Ty zaś już nigdy zupełnie swobodną być nie możesz... Tak pisał pan Ignacy, a Jadzia w duszy przyznawała, że nieraz podobne myśli i w jej głowie powstawały i że wreszcie dotychczas była złą żoną zupełnie. Nie miała prawa nienawidzieć męża, ani go sądzić, była nawet gorszą od niego. Ale uczucie dla Wińskiego tak weszło głęboko w jej mózg i nerwy, że nie mogła wyrzec się tej pociechy, aby nie widzieć go od czasu do czasu, pokrzepić swych sił widokiem cierpliwości i słodyczy, z jaką pielęgnował swego ongi kata.

*

* *

Ubierała właśnie Jasia po śnie poobiednim, gdy wszedł Tadeusz rozpromieniony i uprzejmy.

— Niech się moja pani dziś ładnie ubierze i postara dobrze wyglądać. Pójdziemy do teatru. Klijent mój, dowiedziawszy się, że mam żonę, ofiarował nam lożę. Poznasz go i staraj się być uprzejmą. Bardzo mi na nim zależy. Prowadzę jego sprawę, a w razie, gdy pozyskam jego zaufanie i względy, mogę być stałym jego pełnomocnikiem. Co włożysz?

Jadzia postawiła Jasia w łóżeczku, a sama ze zdziwieniem patrzyła na męża, nie przywykła do takiego uprzejmego tonu i podobnej propozycyi.

— Co włożę? chyba czarną wyprawną suknię. Strojniejszej nie posiadam.

— Włóż czarną. Objął ją całą wzrokiem i snać egzamin wypadł niezgorzej, gdyż z zadowoleniem mówił dalej:

— Nie wiem, czy mi się zdaje, ale chyba wypełniałaś nieco.... nie miałem czasu zwrócić na to uwagi, ale widzę, że lepiej wyglądasz, niż dawniej.... zatem włóż co chcesz, tylko nie bądź posępną i staraj się w rozmowie pokazać, że przecie otrzymałaś wyższe wykształcenie i sroce z pod ogona nie wyleciałaś...

W rzeczy samej Jadzia zaczynała dobrze wyglądać, rysy jej zaokrągliły się, policzki zaróżowiły, szczupła figurka pozostała zgrabną, panieńską, ale nie była już tak niezdecydowaną i płaską, jak dawniej. Oczy nabrały wyrazu i umiały patrzeć, czego wpierw nie

można było powiedzieć. Pan Tadeusz snać to ocenił i ze zdziwieniem prawie zaczął przyglądać się jej, gdy wyjmowała suknię z szafy i ubranie dla niego. Pierwszy raz może podobała mu się naprawdę.

Gdy weszli do loży, przedstawienie już się zaczęło. Jadzia utonęła wzrokiem na scenie i żyła życiem bohaterów sztuki. W antrakcie odwiedził ich ów zapowiedziany jegomość. W sile wieku, przystojny, o śmiałem, nieco drapieżnem spojrzeniu, zwłaszcza, gdy patrzał na kobiety. Witając się z Jadzią rozbierał ją w myśli i oceniał również zalety, jak domniemane braki. Rezultat jednak ogólny był widocznie dobry, gdyż zwróciwszy się do Tadeusza powiedział głośno:

— Winszuję panu. Nie przypuszczałem, abyś był właścicielem równie sympatycznego daru Niebios.

— Pani z Warszawy? Nie. Odgadłem odrazu.

Poruszał w rozmowie różne kwestye i nie przestawał jednocześnie niepokoić Jadzi swym wzrokiem, który jej sprawiał ból. A gdy Tadeusz na chwilę wyszedł, aby papierosa zapalić, taki ją lęk ogarnął, że byłaby wolała, aby nie zostawiał jej samej.

— Pani jest odmienną, niż kobiety, które dotąd znałem, a znałem ich dużo i.... dobrze, mówił z zagadkowym uśmiechem. Nic kokie-

teryi.... Dlaczego? czyżby cnoty rodzinne tak bardzo wrosły w jej duszę, iż niema w niej już miejsca na weselsze zalety? Czyżby pani tak dalece kochała swego małżonka?

Mówiąc to obejmował ją palącem wejrzeniem, zatrzymał je na jej drżących wargach, na szyi, pokrytej rumieńcem, wreszcie na drobnym biuście, oddychającym teraz nierówno i szybko.

— Nie byłam nigdy próżną i nie mam pretensyi do podobania się—odparła chłodno— a pan zapewne niefortunnie trafiał w swych znajomościach, skoro uważa pan wszystkie kobiety za próżne lalki.

— Kto tu mówi o próżności.... jakże pani jesteś naiwną, mówisz jak dziewczynka, ucząca się siedmiu grzechów głównych. Poza zalotnością jest jeszcze namiętność—ogień, który nas ogarnia nagle, który nas czyni waszymi niewolnikami i panami zarazem ... ogień, pod wpływem którego serce kobiety żywiej bije, pierś faluje, tak, jak u ciebie pani w tej chwili, oczy ciskają błyskawice, a drobna rączka szuka uścisku mężczyzny. Uchwycił dłoń Jadzi i cisnąc ją mocno patrzał pożądliwym wzrokiem szepcząc namiętnie:

— Jesteś niewinną jak dziecię i tem wzbudzasz we mnie pragnienie....

Urwał nagle, gdyż właśnie podnoszono kurtynę, a Tadeusz stanął za nimi; Jadzia zbladła jak ściana, w głowie jej się kręciło, w uszach bzrmiały ostatnie słowa towarzysza, wzbudzając

w niej przerażenie, graniczące z utratą przytomności. A on przyglądał się jej dalej niezmieszany wejściem Tadeusza i zamiast śledzić bieg akcyi na scenie, obserwował Jadzię z uporem zmysłowca.

Pan Witold był starym kawalerem, jeśli tak zwać można mężczyznę, który dziesiątki kobiet posiadał i zawsze ich łaknął i gonił za nowemi zdobyczami. Nie posiadał jednej tytularnej żony, lecz za to uwodził cudze bez skrupułu i żalu, gdy należało gry zaprzestać. Obdarzony dużemi zaletami umysłu, wykształceniem europejskiem i powierzchownością sympatyczną, niewiele potrzebował trudu, aby zawrócić głowy słabe, a raczej zelektryzować głodne zmysły wypudrowanych lalek. Zmuszony kuracyą do dłuższej pauzy w swych peregrynacyach miłosnych—usunął się na czas jakiś z placu i w tym właśnie momencie interesy zbliżyły go do Tadeusza i jego żony.

Gdy po ostatnim akcie kurtyna zapadła p. Witold począł się żegnać i zatrzymując na chwilę zimną rękę Jadzi, w chwili, gdy Tadeusz zajęty był wyszukiwaniem okryć—szepnął pochylając się i obejmując po raz ostatni wzrokiem wylękłą postać:

— Do widzenia, bo pani wie dobrze, że to tylko początek....

Jadzia drgnęła i, jakby szukając ratunku u męża, podeszła do niego, a p. Witold, zupeł-

nie już correct, zapewniał Tadeusza o swem zaufaniu, jakie w nim umiał wzbudzić i zadowoleniu, że jemu właśnie powierzył swą sprawę. Tadeusz promieniał, rósł i gdy wychodził z teatru trzymał głowę wysoko, jakby objawiając światu, że na swych ramionach dźwiga losy co najmniej Europy. Był przytem zadowolony z żony, widocznie podobała się p. Witoldowi, a to przecie bywalec i znawca. Innem też okiem patrzył teraz na Jadzię. To, co dawniej uchodziło przed jego świadomością, teraz rzuciło mu się niemal samo do uczu. Jakże mógł nie zauważyć, że ma bardzo ładne oczy, zgrabną figurkę i dobre maniery! Fakt jednak, że je ma, skoro taki pan Witold.... i w ten sposób myśli układały się w mózgu Tadeusza, przemawiając wymownie za żoną. Przy kolacyi był też bardzo czułym i objawy te napełniały serce Jadzi przerażeniem. Więc nie dość wszystkiego, jeszcze te spotęgowane pragnienia, które bolały ją niemal fizycznie. Wolałaby pogardę, złe obejście, byle nie te namiętne szepty, uściski i gorący oddech, który czuła na swej twarzy. Nowa przepaść otworzyła się przed nią—bezgraniczna i straszna! Obejście p. Witolda z nią upokarzało ją i byłaby prosiła męża, aby na przyszłość uwolnił ją od tego człowieka, lecz właśnie Tadeusz zapowiadał, że pragnieniem jego jest zawiązanie bliższych stosunków z tym, który go może odrazu postawić na nogi.

— Gdy przyjdzie, musisz być dobrze ubraną i przyjąć czem można i jak można najlepiej. Staraj się mu zaimponować Michałówką i wspomnij od niechcenia, że będzie naszą. Napomknij też o stosunku z rodzicami Maryni— to ludzie znani w świecie i znajomość ta pochlebi nam w jego oczach.

Te i tym podobne uwagi recytował przy kolacyi, a Jadzia słuchała w milczeniu, patrząc przed siebie, jak ofiara, wiedziona na stos. Wszystko jej już było jedno wreszcie.... cóż bowiem gorszego jeszcze mogło ją czekać w przyszłości?

*

* *

Gdy nazajutrz w zwykłej godzinie odwiedziła Wińskich—zastała ją już siedzącą. Przed chwilą właśnie wyszedł doktór i wchodząc słyszała, jak mówił do Zygmunta ze współczuciem:

— Niech się pan na to przygotuje. Medycyna nie ma środków lub bardzo ograniczone przeciwko temu. Żyć może bardzo długo, ale tylko fizycznie—umysłowo nie wróci nigdy do stanu, w jakim mózg był przed chorobą. To częste konsenkwencye tej choroby.

Stojąc przy chorej powtarzała sobie w duszy te słowa i nie śmiała o nic pytać Zygmunta. Teraz rozumiała, dlaczego przychodząca do

zdrowia kobieta nie mówiła do niej jasno i nie pragnęła wiedzieć, co ją tu sprowadza. Wiedziała już skąd płynie ta obojętność i ten uśmiech jednaki, przylepiony do twarzy fizycznie odrodzonej. Była teraz piękną, wynędznienie znikło, a na jego miejsce powracała zdrowa cera i zaokrąglone policzki. Oczy błyszczały, ale napróżno było szukać w nich myśli. Mówiła zwykle mało, najwięcej zapytywała o pogodę, dziękowała za lekarstwo lub prosiła o jakieś łakocie. Z cukierkami na kolanach lub owocem w ręce, uśmiechała się do Zygmunta i Jadzi zupełnie szczęśliwa i zadowolona.

Od kilku tygodni Jadzia nie widziała Wińskiego, a teraz patrzyła nań z przestrachem, bo wydał jej się mizernym i zmienionym. Oczy zapadły głęboko, zmarszczka przecięła czoło, a gdy mówił usta mu drżały nerwowo. Wyprowadzając ją do przedpokoju, zatrzymał się na chwilę i przystanąwszy tam, patrzyli na siebie.

— Pani słyszała, co mówił doktór? tak już zostanie na zawsze.

Wyciągnęła szybko rękę i w niemym uścisku złączyli swe dłonie.

— A życie mogło być tak pięknem! wyszeptała wreszcie ze łzami—dlaczego jest inaczej? dlaczego?

On patrzał przed siebie, ona jeszcze raz powtórzyła:

— Dlaczego?

— Gdy mnie zabraknie, czy pani może być jej siostrą?

Drgnęła i jakby odpędzając straszne jakieś widmo, ruchem i słowami przeczyć zaczęła.

— Co też pan mówi? po co pan to mówi? czy my możemy decydować o tem, co nas czeka? pan będzie żył dłużej ode mnie—ja wiem...

Przy ostatniem słowie uśmiechnęła się prawie wesoło, patrząc mu w oczy błagalnie.

— Pani mi jednak na pytanie nie odpowiedziała.

— Pan dobrze wie, jak będzie i jak być musi.... przecie źle o mnie pan nie myśli.... ja chcę, żeby pan mi wierzył....

Zamilkli, stojąc bez ruchu. Przez wpółotwarte drzwi widać było siedzącą Wińską, jak łapczywie obierała pomarańczę i niosła jej cząstki do ust.

— Ja chciałem pani powiedzieć to, co od niedawnego czasu czuję i pojmuję. Ja panią bardzo skrzywdziłem stając na jej drodze, ja nie miałem prawa i sam siebie oszukałem sądząc, że mogę być dla pani oparciem i siłą.... Ja się bardzo myliłem—dowodem tego moja słabość dwukrotna. Zająłem miejsce w sercu pani, jak intruz, ja panią teraz przepraszam, ale wiem, że to, co się stało—nie odstanie, choćbym żyć przestał. Wiem, że pani nie zapomni o tem nigdy i dlatego wina moja jest wielka.

— Dlaczego pan tak mówi? Istotnie—zawiniliśmy oboje—ale tylko względem siebie, a jeśli wybaczyliśmy sobie wzajemnie, to o tej winie zapomnijmy. Niech pan mi nie tłomaczy, że ja, jako słabsza strona, byłam jego ofiarą—nie! Nie należy tak sądzić—to właśnie cały fałsz naszego wychowania. Wyobrażamy sobie same, słysząc od kolebki, że jesteśmy i musimy być zawsze bierne i jeśli źle postąpimy--to winą nasza słabość. Nie! błąd nasz jest jednakowy, ja z całą świadomością postępowałam i nie winię za to nikogo.

Twarz jej, gdy to mówiła, przeobraziła się tchnąc energią i wielkim bólem, oczy śmiało patrzyły na pochyloną głowę Zygmunta. Po raz pierwszy spostrzegła, że starszym był i młodość już za zobą zostawił. Nie widząc jego oczu widziała tylko jego białe włosy, a żal uczuła w sercu do tego życia, które go takim zrobiło. Pragnęła teraz wziąć jego ręce w swoje i mówić mu, że nic z dawnych, złych pragnień nie zostało, że teraz może mu powiedzieć, że go kocha, jak najwyższe swe dobro, ale nie potrzebuje się tego wstydzić przed sobą, że dotykając ustami jego dłoni, uczyni to jak ci, co cześć składają świętym. A on, jakby odgadując jej myśli, podniósł oczy i bardzo cicho zakończył.

— Wierzę pani i spokojniejszy odejdę.

*

* *

Oczekując listonosza wybiegła sama, aby drzwi otworzyć. Był to wieczór, szara godzina, gdy siedząc przy Jasiu rozpamiętywała swe krótkie życie i ostatnią rozmowę z Zygmuntem. Otwierając drzwi z zatrzasku, była pewną, że dostanie list z Michałówki. W progu jednak stanął pan Witold obejmując ciekawym wzrokiem Jadzię i skromny przedpokoik.

— Męża niema w domu, o tej porze zwykł przebywać w cukierni....

— O! to nic — poczekam tutaj na niego, jeśli naturalnie pani mię nie wypędzi.

Przywitał się swobodnie i z uśmiechem czekał na odpowiedź.

— A jeśli mąż późno wróci?

— Ha! zobaczymy! wówczas pożegnam panią i przeproszę za narzucenie jej swego towarzystwa.

— Proszę pana dalej.... lękam się jednak, że oczekiwanie to wyda się panu wiecznością.

Mówiąc to zapaliła już lampę, a on obserwował ją z boku, jej delikatne ruchy głowy i zgrabne ręce rasowej kobiety.

— Pani mówi o wieczności.... niekiedy nawet wieczność wydaćby się mogła krótką chwilą.

— Gdybyśmy mogli zrozumieć wieczność.

Usiedli, a blade światło przyćmionej lampy padało na znużone w tej chwili rysy Jadzi.

Po co ten człowiek przyszedł tutaj i co ona z nim zrobi? Myśl ta niepokoiła ją od chwili wejścia Witolda, a on tymczasem przeglądał leżące książki i zatrzymując jedną w ręku jął mówić:

— Pani czyta Gomulickiego? w naszej dobie, gdy tyle jest młodych, świetnych gwiazd? Ale niech pani nie przypuszcza, że potępiam pani wybór, bynajmniej, znam ten tomik poezyi i lubię. Ale, jeśli pani pozwoli, za następną moją bytnością zapoznam panią z Tetmajerem.

— Dziękuję panu. Czytałam go i...

— I?

— I wolę dawne poezye, w których jest więcej treści, choć forma nie tak błyskotliwa.

— Wiedziałem, że mi pani tak odpowie. Będąc po raz pierwszy u mało mi znanej kobiety, odgaduję jej charakter z jej gniazdka i... z tego, co czyta.

Rozejrzał się po saloniku, spoczął wzrokiem na kwiatach, pielęgnowanych troskliwie, wreszcie na samej Jadzi, siedzącej nieco w cieniu. Przerzucając kartki tomiku, trzymanego w ręku, zatrzymał się na jednej ze stronic i bardzo melodyjnym, głębokim głosem począł deklamować:

„Zbudź się i słuchaj, oto noc majowa,
Każdy kwiat kocha, każda gwiazda marzy,
Dym z niewidzialnych płynie trybularzy,
Z ust niewidzialnych płyną ciche słowa.

Każdy kwiat kocha, każda gwiazda marzy,
Między sitowiem szumi fala płowa,
Z ust niewidzialnych płyną ciche słowa,
Słyszy je młodość, nie wierzą im starzy!...“

Widziała przed sobą białe włosy Zygmunta, smutne oczy, a Witold czytał dalej, pieszcząc głosem, to rzewnym, jak echo smętnej piosenki ludowej, to namiętnym, jak miłość południowca.

„Cierpienie to burza, co ku ziemi
Nachyla czoła dumne,
Kędy skrzydłami powieje czarnemi,
Łez i krwi biorąc połów,
Tam jednych kładzie w trumnę,
Innych przemienia w aniołów...“

Znowu jest tam, w ogrodzie, w Michałówce, rosa pada na kwiaty, na drzewa, pieśń żeńców płynie w powietrzu lekka i smutna... Oni stoją przy sobie... „Trzeba Olę ratować“ mówi gorączkowo, gdy nagle milknie, jest sama, w głowie szumi. Czy to może ten wiatr tak liśćmi szeleści? Nie! to własne myśli w szalonym tańcu krwawią mózg, rwą nerwy!

Niosą trumnę z Olą, ona idzie za nią niby żywa, a w rzeczywistości obumarła. Grudka ziemi uderza o wieko trumny, widzi wuja płaczącego, słyszy krzyk ciotki i dziwi się, czego ci ludzie płaczą? Wszak to tylko spokój, z którego nikt nie zbudzi: ani płaczący Jaś, ani szorstki głos Tadeusza, ani... wspomnienie...

A Witold wciąż czyta, przysiądzby można, że czuć w głosie tłumione łzy...

A może to własne jej serce łka? I gdy wreszcie wzruszenie bierze górę nad siłą panowania, pozwala płynąć łzom zwolna, cicho, jako akompaniament do mistrzowskiej deklamacyi. I nie dziwi ją już nic, ani ten cień przysłoniętej lampy, który w tak zabawny sposób padał na twarz Witolda, ani jego obecność tu, u niej, po tem, co było w teatrze, nic ją nie dziwi, nawet nie spostrzega przerwy w czytaniu i nie zauważa, jak przybliżywszy się do niej, mówi on coś cicho, bardzo wolno, obejmując ją całą aksamitnym wzrokiem.

— Pani płacze? Jeżeli ja jestem temu winien, proszę o przebaczenie. Pragnąłem tylko przemówić do pani językiem, który najlepiej rozumiesz... zdaje mi się, że zrozumiałaś mię... a więc tymczasem odchodzę.

I dopiero, gdy przesuwa się koło niej, stąpając po dyskretnym dywanie, zaczyna pojmować, że stało się coś, co nie powinno było mieć miejsca. Takie łzy, na które ktoś patrzy, mówią za dużo—takie łzy wiążą niekiedy z sobą zupełnie obce sobie istoty. Gdy drzwi w przedpokoju zamknęły się za gościem, Jadzia uspokoiła się nieco. Dziwnie na nią działał ten człowiek, paraliżował myśli i uczucia, w jego obecności przestawała czuć siebie, zatracała świadomość przeszłości na chwilę, po to, aby

własne wspomnienia doprowadzały ją do zupełnej prostracyi. Bała go się, nienawidziła za ten jego drapieżny, niekiedy miękki wzrok, a upajał ją głosem, gdy czytał... Powstała i zbliżywszy się do stolika, przy którym siedział, wzięła w rękę tomik poezyi, otwartej przed chwilą, na ostatniej strofce.

„Tam jednych kładzie w trumnę,
Innych przemienia w aniołów"...

*

* *

— Więc nie byłbyś zazdrosnym, gdybym zanadto mu się podobała? pytała nazajutrz Tadeusza, gdy rozmawiali o Witoldzie.

— Zazdrosnym? przeciwnie, miałabyś dla mnie wówczas więcej uroku; nie wiesz jeszcze, że tylko taka kobieta działać może na nerwy, która potrafi wszystkim mężczyznom się podobać. Nie taję, że i ze mnąby tak było: posiadać istotę pożądaną przez wielu, módz nazwać ją swoją... to dopiero rozkosz! Mówił to z takiem głębokiem przekonaniem, z taką wiarą w to, co wypowiadał, że Jadzia patrzyła nań zapytując siebie: dokąd życie będzie dla niej miało tylko niespodzianki i zagadki, których rozwiązać nie umie? Gdzie znajdzie oparcie i obronę przed grożącem jej niebezpieczeństwem? A gdyby tak powiedzieć prawdę Tadeuszowi?

może usunąłby z jej drogi człowieka, który powoli chce owładnąć jej myślami i nerwami. Ale wtem przypomniała sobie, że gdy po raz pierwszy uczuła kim jest dla niej Zygmunt, nie doznała wtedy potrzeby powiedzenia prawdy mężowi.. więc nieuczciwość pcha ją teraz ku wyznaniu... uczciwą już dawno być przestała. To tylko dowód, że „tamto“ chroniła przed obojętnem okiem, jak świętość, wiedząc, że żadna siła nie potrafi jej obronić od własnego serca, a tu, przewidując niebezpieczeństwo, pragnęłaby się ratować.

— Cóż tak stoisz? dziwi cię, że nie umiem być zazdrosnym? Wiem doskonale, że nie wzbudzisz w nikim namiętności... brak ci do tego wielu niezbędnych przymiotów. Nie lękaj się o swą cnotę. Musiał porządnie znudzić się z tobą Łęski, skoro nie doczekał się mego powrotu. A czy wspomniałaś mu o Michałówce?

*

* *

Gdy po obiedzie wyszedł Tadeusz, nie pobiegła jak zwykle do Wińskich. Jakiś chaos zapanował w jej myślach i siedząc z robotą przy oknie patrzyła na płatki śniegu, ścielące się na framudze; rachowała w myśli ich nieskończoną ilość, a notując to wszystko w pamięci, nie przestawała zastanawiać się nad tem,

co usłyszała od męża. Miękki dywan stłumił kroki wchodzącego gościa, nie słyszała też ich, dopiero gdy stanął bardzo blizko, podniosła oczy i robota wysunęła jej się z rąk, a cała postać cofnęła w tył, jakby szukając ucieczki.

— Przestraszyłem panią, to już widać moje przeznaczenie względem pani, zacznę przypuszczać, że jestem przerażający i niebezpieczny... czy tak?

— Niespodzianie tak pan wszedł—byłam zajęta robotą...

— Sądzę, że myślami więcej. Mógłbym nawet nieco zabawić się w odgadywacza ich, czy pani pozwoli?

— O! to niemożliwe! i poco wreszcie? moje myśli takie nieciekawe, takie niewesołe, że znudziłby się pan tylko, cóż pan może mieć wspólnego z kłopotami takiej nieznaczącej istoty, z szarem życiem, pełnem drobnych trosk prozaicznych i małych? Uśmiechnęła się siląc się na swobodę, ale lekkie drżenie rąk świadczyło o przeciwnym stanie ducha.

— Lęka się mnie—to dobrze—pomyślał Witold—łatwiej mi przyjdzie owładnąć jej umysłem, który jest i tak słaby i chwiejny, a wrażliwy, jak najczulsza płytka fotograficzna—głośno zaś odpowiadał.

— Niekiedy drobne troski interesują nas więcej, aniżeli wielkie, największe dramaty, teraz nawet i poeci i autorzy starają się grać na

naszych nerwach za pomocą codziennych motywów, drobniutkich efekcików, mogących zaledwie nazwać się efekcikami, takie to zwykłe, codzienne, a przecie wzruszają nas. Bywając w teatrze musiała pani zaobserwować, że nie fakty, nie czyny stanowią główną treść tych utworów, lecz jedynie nastroje duszy. Otóż ja interesuję się bardzo nastrojem duszy pani.

— Poco on to mówi? — przemknęło jej przez głowę w tej chwili—czy rzeczywiście miałby jej współczuć i mógł przeczuć, że zasługuje na współczucie? a wreszcie naco jej ta litość człowieka obcego, tak bardzo obcego...

— Pani mi nie odpowiada, uważam więc, że zawcześnie jeszcze wtargnąć chciałem w zakres jej myśli, mówmy więc o rzeczach obojętnych. Męża pani widziałem wczoraj w cukierni, dziś zaś chcę mu zaproponować, aby został moim generalnym plenipotentem. Jestem z natury leniwy i lubię tylko to, co daje pewne estetyczne zadowolenie, interesy zaś nudzą mię śmiertelnie, a los postawił mię w takiem położeniu, że mam ich dość na głowie, otóż chcę włożyć to jarzmo na barki pani męża, czy pani gniewać się na mnie będzie?

— Przeciwnie, powinnam być mu wdzięczną za takie zaufanie i życzliwość. Tadeusz to lepiej wyrazi.

— Od pani miło mi to usłyszeć. Dotąd miała pani jedynie wzrok surowy lub wylękły

nie rachuję bowiem „nastroju“ w jakim widziałem ią, gdy nieudolnie powtarzałem myśli poety; to jego, nie moja zasługa.

— Pan bardzo ładnie deklamuje, to talent, zatem zasługa panów obu.

— Niech i tak będzie, otóż rad jestem, że plan mój podoba się pani. Żeby tylko pan Tadeusz się zgodził.

— Czy mąż musiałby wyjechać z Warszawy? — mówiąc to zaczerwieniła się, gdyż przyszło jej na myśl, że w takim razie nie widziałaby już Zygmunta i nie byłaby nawet w stanie dotrzymać słowa, gdyby coś z nim zaszło, wszak tego można się było zawsze spodziewać, jeśli nie śmierć, to zgubna fala może go unieść daleko.

A Witold widział ten rumieniec i tłomaczył go sobie inaczej, przypisując radości.

— Niekoniecznie, dla interesów nawet lepiej, gdyby tu pozostał, chyba, że wolałby prowincyę, ale wątpię.

— I ja.

Zamilkli, ona pochyliła się nad robotą, on zaś wyszedł na chwilę do przedpokoju i wrócił z książką w ręku.

— Przyniosłem Tetmajera, bo nie mogę zgodzić się z tem, aby był niedoceniony. Postaram się czytać jak najlepiej, a może uzna pani, że i tu jest treść. Z chwilą, gdy pani zrozumie tego poetę, zacznie się dla niej nowa era w ży-

ciu, nie wystarczą te dwa słowa: obowiązek i cierpienie, ale upomni się o swe prawa i wyraz: miłość! Niech mi pani nie mówi, że słowo to nie jest jej obcem, bo zaprzeczę. To, co pani pod tem mianem rozumie, to nie jest wcale podobnem do tego ognia, który ogarnia naszą całą istotę, pęta wolę, rozum, wszystko to, co nam rzekoma moralność i konwenans narzuciły. Spada z nas sztuczna maska, a odsłania się nasze prawdziwe „ja“ z silnemi pragnieniami z pełnią sił żywotnych i całą prawdziwą poezyą. Kochać to znaczy zdobywać, kto twierdzi, że powinno znaczyć: poświęcać się i wzdychać, ten jest tylko mazgajem. Niech pani od takich ucieka, to nie ludzie, to wampiry, które z pani wyssą jej młodość, jej mózg, aby zostawić tylko cień człowieka.

Stanął bardzo blizko niej i gorącym wzrokiem starał się wkraść niemal do mózgu. Czuła na sobie te drapieżne oczy, to spojrzenie, które ją przykuwało do miejsca bez woli i świadomości. W takich chwilach działo się z nią coś nieopisanego, zdawało jej się, że serce bić ustaje i gdyby wziął ją w swe ramiona, nie mogłaby mu stawić oporu, ale dałaby się unieść w jakimś szalonym zawrocie głowy, myśli i pragnień. Chciałaby wołać o pomoc, ale na jeden dźwięk zdobyć się nie mogła i blada jak płótno słuchała, jak, otwierając książkę, począł znów głębokim głosem, rozpływającym się sub-

telnie, deklamować Tetmajera. Nie patrzył na Jadzię, a jej się jeszcze wciąż zdawało, że jego oczy spoczywają na niej, że między nim, a nią przestrzeń zniknęła, że są z sobą złączeni jakąś niewidzialną a mocną nicią, której, pomimo bólu, rozerwać nie może.

Co oni tam robią? dlaczego nie poszła i dlaczego teraz słucha innego, przed kim tylko drży? Dokąd idzie po tej spadzistości, ona, którą wiedzie szalony zawrót głowy.

Wtem rozległ się dzwonek i wszedł Tadeusz, usprawiedliwiając się, że kazał na siebie czekać.

— Zatrzymali mię w banku... Jadziu, a obiad?

Jadzia wstała szybko, rada, że może wreszcie uciec choć na chwilę od tych dwóch twarzy... Obaj panowie powiedli za nią wzrokiem, mąż śledząc jej toaletę, a Witold mówiąc w duszy, że warto będzie zadać sobie nieco trudu dla zdobycia tej odrębnej istoty, słabej, a upartej.

* *
*

Upłynęło parę miesięcy, zima zbliżała się do końca, a sezon dobroczynnych i filantropijnych działań był w rozkwicie. Panie z towarzystwa zasiadały w sklepach do sprzedaży na

biednych i najniespodziewaniej w świecie Jadzia otrzymała zaproszenie dla uczestniczenia w tem wraz z matką Maryni i dwiema pannami. Witold bywał tam dość często i jako kawaler był mile widziany. Pani Albina roiła sobie niekiedy, że młodsza, Lunia, zostanie z czasem Łęską. To też, gdy Witold wspomniał, że ma dużo sympatyi dla swego plenipotenta i jego żony—panie te postanowiły zrobić mu przyjemność i zaprosić Jadzię do sprzedaży. Nie potrzebowały być o nią zazdrosne, takie „peu signifiante", nieładna, a w każdym razie będzie to grzecznością dla Łęskiego.

To też wybrały się z wizytą i Tadeusz nie posiadał się z uszczęśliwienia z tego zaszczytu, który próżność jego drażnił bardzo mile. Sprawił w tym celu nową suknię żonie i zacierając ręce powtarzał jej przy każdej sposobności.

— Widzisz, co jednak znaczę, kiedy taki Witold dba o mnie, i bardzo jasne, że on to wpłynął na te panie, aby cię zaprosiły. Powiadają, że ma zamiar starać się o młodszą. Nie zrób mi tylko wstydu i bądź pewniejszą siebie, śmiałą w rozmowie, nie taką pensyonarką, jak to jest twoim zwyczajem.

A ona myślała tymczasem, że już parę tygodni, jak była na Ciepłej, że nie wie nic, o zdrowiu Zygmunta. Zmiana, zaszła w ich życiu materyalnie tak korzystna, wpłynęła i na jej ży-

cie. Witold bywał prawie codziennie gościem i musiała myśleć o przyjęciu, a co gorsza, musiała go bawić w nieobecności Tadeusza. Człowiek ten, którego początkowo lękała się tylko, umiał powoli oswoić ją z sobą, owładnąć nawet jej myślami i sugestyonować potrochu przekonanie, że nie może zostać jej obcym na zawsze. Zwykłe poobiednie rozmowy z nim uważała teraz za konieczność, i gdy razu jednego nie przyszedł, napróżno chciała w siebie wmówić, że ją to nic nie obeszło. Niesforna myśl powracała do jednego, do tego poczucia, że brakowało jej czegoś i nie mogła nawet zająć się, jak zwykle, robotą lub dzieckiem.

Pobiegła wtedy na Ciepłą, ale dziwnie rozstrojoną się czuła, drażniła ją głupkowatość Wińskiej, raziła pustka w mieszkaniu, A gdy wychodząc już spotkała na schodach Zygmunta, zrobił na niej wrażenie człowieka schorzałego, prawie starego. I teraz czuła, że jest jej drogim i niezbędnym do życia, ale nie mogła pojąć, jak kiedyś krew żywiej w niej krążyła na wspomnienie choćby najdelikatniejszej pieszczoty. Teraz zmysły milczały całkowicie, a tylko wielkie współczucie krwawiło jej serce, gdy patrzyła na wychudłą twarz, prawie przezroczyste ręce i oczy zapadłe głęboko. On ją o nic nie pytał, nie mówił o jej życiu, ale wymownem spojrzeniem dziękował za dobroć, za pamięć, za ten jasny, chwilowy promień, który wnosiła

pod jego nędzny dach i te cztery ściany takie puste, takie żałobne... A ona wówczas nie wiedząc kiedy i jak się to stało, porównywała „tamtego“ kwitnącego pełnią sił i życia z tym, który umiał wyrzec się wszystkiego bez skargi, bez żalu, przedwcześnie osiwiały, złamany. Dlaczego taka różnica? powtarzała automatycznie schodząc ze schodów i odetchnęła wkraczając w bogatszą dzielnicę miasta. Zepsute powietrze, ciasnota, którą opuściła przed chwilą, dusiły ją wstrzymując obieg krwi, przepełniając duszę bólem. Jakże różnemi były wrażenia, odbierane w obecności „tamtego“, jakże słodkiem upojenie, gdy po mistrzowsku odczytywał poezye. Pogodziła się z Tetmajerem, łaknęła teraz słońca, jego ożywczych promieni i gdy słuchała tych słów:

„Złocisty to był dzień. Błękitne zadumanie“, czuła, że za taki jeden dzień możnaby oddać całe szare życie.

Na lato pojedzie do Michałówki, Witold wspominał, że pragnie poznać te okolice, i że wprasza się na dni kilka. Jakiś jaśniejszy blask padł w jej myśli na żałobne wspomnienie Michałówki; może znowu odnajdzie tam siebie, gdy chodząc po alejach ogrodu marzyła o wielkiem, bezgranicznem szczęściu. Lecz jasny promień ten gasł szybko, bo oto zarysowała się postać Oli, spotkanie wieczorne w ogrodzie i straszny rozdźwięk mo-

ralny. Nie! wyraz szczęście musi raz nazawsze wykreślić ze swego słownika. Wszak Zygmunt mówił, że nie wolno być szczęśliwym, za dużo jest bowiem innych, cierpiących... I czyż mogłaby być choć trochę szczęśliwą wiedząc, że tu został człowiek samotny, chory i tak bardzo drogi. Czepiała się tego wyrazu „drogi“ teraz więcej, aniżeli kiedyś miłości dla męża—wyrazem tym chciała się bronić przed sobą samą.

*

* *

Sprzedaż szła dobrze w sklepie kwiatowym.

Wśród zieleni i całych klombów kwitnących roślin, stał stolik, przy którym siedziały: pani Albina, Lola i Lunia w jednakowych „vieil or“ kostjumach z pluszu, i wreszcie Jadzia w równie ładnie zrobionej, choć nieco skromniejszej sukni. Bardzo dobrze dziś wyglądała; zręczna, prawie dziewczęca figurka, rysowała się dyskretnie w sukiennym staniku, gustowny kapelusz dopełniał całości przy zaróżowionych policzkach i błyszczących oczach. Czuła się dziwnie podnieconą światłem, odurzającym zapachem kwiatów i tą upajającą atmosferą, towarzyszącą zazwyczaj podobnie dobroczynnej ceremonii. Co chwila ktoś wchodził i widząc

ładne twarzyczki rzucał chętnie na tacę dar swój, unosząc jakiś drobiazg. Oczekiwano właśnie Witolda, zapowiedział swoje ukazanie się wieczorem i pani Albina pewną była, że złoży na jej ręce pokaźną kwotę. Panienki szeptały ze sobą rzucając niezbyt życzliwe spojrzenia na Jadzię, wydawała im się dziś za przystojną, co wreszcie i panią Albinę także uderzyło. Przytem musiała przyznać, że ma jakiś wdzięk, polegający na spojrzeniu i harmonijnych ruchach. Że też nie zauważyła tego wówczas, nie byłaby ją zaprosiła, wszak przy Loli i Luni zbyteczną była trzecia kobieta, mogąca sobie coś wyobrażać i rościć niemądre pretensye. A Jadzia nie domyślała się nawet, co sądziły o niej te panie, lecz wyobrażała sobie w duszy, coby powiedział Zygmunt widząc ją tutaj, w tem otoczeniu, może cel tego wszystkiego tłomaczyłby ją choć trochę, wszak chodziło o pomoc biedakom. Przy silnem podnieceniu czuła ból głowy. Oparła się o poręcz krzesła, przymknęła nieco oczy i usłyszała nagle melodyjny głos, tak dobrze jej znany.

— Witam panią.

Podniósłszy oczy spotkała się ze wzrokiem Witolda, którym wyraźnie mówił o niespodziance, jaką mu robi. Tak ponętną nie wydała mu się dotąd nigdy, nawet wówczas w teatrze. Pani Albina obserwowała tę scenę przez face

á main, a panienki ze złośliwym uśmieszkiem spojrzały na siebie.

— Spóźniłem się, panie już pewnie zmęczone całodziennym trudem, przed chwilą rozstałem się z panem Tadeuszem, musiał pójść na dworzec dla odprowadzenia pewnego jegomościa, mnie zaś polecił, abym zaopiekował się panią i odwiózł ją do domu.

— Bardzo panu dziękuję, ale to chyba zbyteczne, wszak mogę sama wrócić dorożką.

— O! pan Witold lęka się o panią, kto wie, czy nie ma racyi, taka młoda osóbka jak pani, tak mało doświadczona...—nie kończąc przeszyła Jadzię zabójczem spojrzeniem, a do Witolda starała się jak najsłodziej uśmiechać. On zdawał się tego nie widzieć, siadł przy Jadzi i bardzo swobodnie zaczął bawić panie różnemi ploteczkami i uwagami nad paniami sprzedającemi w innych sklepach.

— A to ładnie! to pan nas na sam koniec zostawił—zawołała z dziecięcym grymasikiem Lunia.

— Pour la bonne bouche, panno Ludwiko—pochylił głowę nizko, a korzystając z wejścia jakiejś bardzo okazałej i bardzo krzykliwej damy, szepnął Jadzi:

— Niech pani nie wierzy ani jednemu słowu, które tu będę mówił, przyszedłem jedynie dla pani, dlatego, abym ją widział w nowej roli i w nowych ramach, to też pragnę

aby mię pani obdarzyła jakim kwiatkiem, choćby najskromniejszym, a w zamian biedni skorzystają. To mówiąc wyjął pugilares i dobywszy sto rubli położył je na tacy przy Jadzi.

Pani Albina, choć zajęta ową głośną panią, kłócącą się jak za Żelazną Bramą, widziała to i pozieleniała ze złości. Wszak on powinien był „jej“ dać tę kwotę, a nie jakiejś tam gęsi, co ni z pierza, ni z mięsa.

Ktoby przypuszczał, że taka bezczelna kokietka! Nic innego, tylko się umówili, on umyślnie narzucił im ten projekt, aby ją zaprosiły, a teraz, bezwstydna, wywraca oczy i udaje świętą. Tak myślała szybko pani Albina wyekspedjowawszy co prędzej kupującą, a Lola i Lunia, nadąsane, wzięły książki do rąk i zajęły się lekturą. Niemiły chłód powiał nagle między siedzącymi. Witold też spostrzegłszy skutki swego postępku, wyjął powtórnie storublówkę i kładąc ją przy pani Albinie jaknajswobodniej powiedział:

— Pani była zajęta tą wesołą klientką, nie mogłem jej przerywać, ale teraz muszę się upomnieć, należy mi się z rączek panienek, choć gwoździk—przepadam za nimi—o! ten biały, panno Luniu, symbol cichej, wiernej miłości, takiej, na jaką zdobyć się mogą jedynie młode, czyste panienki... wszak go dostanę z rąk pani?

Powstał i z pokorą pokutnika, a zarazem

prośbą wyciągnął rękę po kwiatek. Oblicze mamy i Luni rozjaśniło się nagle, znikła Jadzia, znikła obawa, a natomiast jakiś hymn weselny cisnął się na usta pani Albiny, już widziała siebie w roli teściowej pana Witolda.

Jadzia myślała, że powinna być wdzięczną za krok, który ją ocalił i uwolnił od złośliwości tych pań, ale jednocześnie nie mogła pojąć, dlaczego patrząc na Lunię i Witolda, stojących obok siebie, czuła coś, niby ukłócie w serce, to pewnie żal za przeszłością, za tem co mogło być, gdyby w mężu znalazła była kochanka i przyjaciela. Dał jej sto rubli, bo chciał tem zapłacić mężowi, jest hojny i prawdziwy „grand seigneur“, ale skądże znów mógłby gustować w takiej gąsce! Pocieszała się pani Albina serdecznie wypytując Jadzię o Jasia.

Już było po dziewiątej, gdy panie opuszczały sklep. Witold uparł się, aby Jadzię odwieźć, tłomacząc się słowem, danem mężowi. Na pożegnanie jednak tak czule i wymownie ścisnął rękę Luni, a na dłoni pani Albiny złożył tak pokorny pocałunek, że panie te wybaczyły mu upór w towarzyszeniu Jadzi, kładąc go na karb tej nadmiernej grzeczności, z jaką się zwykle traktuje niższych, chcąc im poniekąd wynagrodzić różnicę pomiędzy sobą a nimi.

Noc była pogodna, księżyc z ukosa zaglądał do oczu Jadzi, siedzącej w rogu dorożki, a patrzącej w zamyśleniu przed siebie. Myślała

właśnie o Maryni, o tem, jak prędko rodzina pogodziła się z jej ubytkiem, mówiono, że tylko ojciec odchorował stratę córki i dotąd przyjść do siebie nie może.. Ale matka i siostry– jak dziwnie jednak gdy człowiek jest samotny na świecie, pomimo najbliższych związków, uczuć, jest zawsze sam...

Ola miała rodziców, męża, a odeszła zupełnie samotna--ona zaś, Jadzia, ma dziecko, także męża, a czuje się zupełnie sierotą. Nawet myśl o Zygmuncie nie jest w stanie rozwiać tego smutnego uczucia... sama, zawsze sama. Chłód wstrząsnął nią. Witold pochylił się, przysunął bardzo blizko i jął mówić powoli.

— Czy pani zastanowiła się kiedy nad tem, jak bardzo jesteśmy sami zawsze, nawet w chwilach, gdy siedzi koło nas istota bardzo nam droga. Jestem przekonany, że nawet pani nie zrozumiałaby mnie, gdybym mówił jej, co czuję i myślę... byłbym sam... czy pani tego nie czuła nigdy?

Uśmiechnęła się, a jednocześnie lęk ją ogarnął, skąd ten człowiek miał tak podobne myśli do jej własnych, czyżby posiadał dar jasnowidzenia? albo czyżby tak podobni do siebie byli? Patrzyła w jego oczy, któremi niemal ją pieścił i po raz pierwszy nie spuściła swoich. Wydał jej się innym, urósł, potężniał i zapyty-

wała siebie, czy to ten sam, który w teatrze napełniał ją przerażeniem i wstrętem?

— Pani milczy? dlaczego pani milczy?

— Bo dziwię się, że nasze myśli tak bardzo były podobne do siebie... ja także...

— Pani także czuje się niekiedy samą? doprawdy?

Umilkł nagle i objął ją wzrokiem, wymowniejszym nad słowa. Właśnie dojeżdżali do domu Tadeuszostwa i księżyc skrył się za wysokie mury trzypiętrowej kamienicy. I gdy w chwilę potem Jadzia znalazła się sama w swym pokoiku, rozpłakała się nagle nie wiedząc dla czego i długo siedziała w oknie patrząc za odjeżdżającą dorożką, która uwoziła Witolda

*

* *

W wigilję wyjazdu do Michałówki, poszła pożegnać się z Wińskimi. Był to zaledwie początek kwietnia, ale mały Jaś źle wyglądał i lekarz zalecił wyjazd na wieś, na świeże powietrze.

Musiała więc jechać, choć zdawało jej się, że wyjeżdżając zostawi tu siebie, a zabierze jedynie ciężkie wspomnienie śmierci Oli. Przeżywała teraz nanowo wrażenie, jakie ta śmierć na niej zrobiła. Dziwny strach napadał

ją na myśl, że i ona kiedyś umrze, tak samo ją pogrzebią i zostawią samą w grobie.

Zawsze sama! a tak straszną jest ta samotność umarłych. Rodziców nie pamiętała wcale i śmierć ich była raczej jakimś mytem, a nie rzeczywistością. Lękała się teraz zostawać w domu tylko z Jasiem, od pewnego czasu szukała towarzystwa bodaj własnej sługi. Po południu zazwyczaj przychodził Witold, wtedy robiło się jasno i wesoło w saloniku, wchodziło z nim życie, a znikała z nim pustka. Tadeusz zajęty był rzeczywiście, musiał często wyjeżdżać, nie na długo, ale niemniej wyjeżdżał, a wtedy znów była samotną. Raz jeden Witold został na herbacie, ale tylko raz jeden. I ujrzała nagle siebie, siedzącą w rogu kanapki z robotą. Jaś właśnie usnął przed chwilą, przeszli więc do saloniku i Witold począł czytać głośno, ona słuchała przymknąwszy oczy i złożywszy robotę. Utonęła w melodyjnych akcentach, rozpływających się w powietrzu i było jej wtedy dziwnie dobrze. A potem on zamknął książkę i delikatnie wziął jej obie ręce w swe dłonie i prosił, aby była dobrą, aby uporem swym nie łamała dwóch egzystencyi dla fikcyi, dla chimery. Co mu odpowiedziała? nie pamięta, nie pamiętała nawet wtedy, a tylko on puścił jej ręce, umilkł i bardzo smutny odszedł. Potem dwa dni się nie pokazał i już nigdy na herbacie nie zostawał, chyba przy Tadeuszu. Ale jaka dzi-

wna błogość spowiła wowczas jej nerwy, mózg. Byłaby słuchała go wieczność całą nie pragnąc zbudzić się z tego słodkiego letargu.

I teraz wchodząc na ciemne schody, którymi kiedyś kroczyła z bijącem sercem, niemal nieprzytomna, nie mogła siebie odnaleźć taką, jaką wtedy była. A gdy potem w małym pokoiku ujrzała Wińską o wiecznie bezbarwnym uśmiechu, nie mogła opanować rozdźwięku, jaki płynął z głębi jej duszy. Co ona tu robi przy tej zidyociałej istocie?

Po co ona tu przyszła i co wspólnego może ją łączyć z nędzą, wiejącą z tych gołych ścian? Potem znów ból ostry i piekący, jak rozpalone żelazo, ścisnął serce na wspomnienie, czem był dla niej ten, którego własnością jest ta zidyociała kobieta i ta nędza.... Stanął jej w oczach Zygmunt taki, jakim go poznała, rozumny, wyższy, taki odrębny. Za tę odrębność pokochała go przecie,—człowiek, co umiał kochać do zaparcia się siebie. Co z tą miłością zrobiła? Czy zawsze jednakowo jest dla niej wielkim i drogim? Oparła się o framugę okna i bez ruchu patrzyła machinalnie na ciasny dziedziniec. Dzieci bruku bawiły się tu wesoło, nie troszcząc się o swe uczucia, ani o jutro, ani też łamiąc sobie głowę, dlaczego jest tak, a nie inaczej i po co właściwie wszystko to jest? Pytanie to kręciło się w mózgu Jadzi, niby jakieś automatyczne kółko, niemogące się wstrzy-

mać... i, nie wiadomo skąd, przypomniała sobie słowa p. Ignacego, które wygłosił kiedyś na temat niewierności małżeńskiej: „Niewiara, jest to luksus, na który mogą sobie pozwolić jedynie ci, co mają więcej pieniędzy i czasu, niżeli uczuć i myśli. Niewierną żoną może być rozprożniaczona dama, wstająca o południu i kładąca się spać po północy z głową, przepełnioną francuskimi romansami lub zbyt bujną wyobraźnią niemającą innego ujścia; dajcie jej pracę, zmuście do zastanowienia się nad tem, co ją otacza—a będzie wierną swym obowiązkom, jeśli nie miłości.“ Wtenczas wydało jej się, że ta cała kwestya niema racyi istnienia, że niemożliwem jest, aby, mając męża, mogła się jeszcze za kim innym oglądać, że życia nie starczy, aby dowieść mu miłości i przywiązania, że zło istnieje tylko w wyobraźni starych, zgorzkniałych ludzi, a dość chcieć, aby być szczęśliwą i dobrą. A teraz? Przed rokiem bolała nad świadomością, że inny mężczyzna, obcy prawie, jest jednak bliższy od męża—a teraz. Pochyliła głowę i zdało jej się, że nie dwa lata, ale dwa wieki przeszły od chwili ślubu, że jest już starą, złamaną i pragnącą jedynie spokoju i zapomnienia. Bodajby módz uśmiechać się tak bezmyślnie i nie czuć i nie cierpieć, jak ta nieszczęśliwa, do której przyszła! Dlaczego nie nauczono jej iść tą drogą, jaką szła Marynia byłaby przecie szczęśliwą—a czy Marynię uczo-

no? Nie!—poszła, bo musiała, czując, że tylko ta droga może być dla niej dobrą.... a ona, Jadzia, poszła za mąż, ma dziecko, ma dwadzieścia dwa lata i kto wie, ile jeszcze lat przed sobą!

Wińska tymczasem śmiała się głośno, patrząc także przez okno: bójka ulicznych chłopców przyprawiała ją o spazmy, wyciągała rękę, jak dziecko do zabawki i powtarzała głośno: „Dobrze, dobrze! jeszcze!“ Jadzia oprzytomniała. Nie, taką być—lepiej umrzeć! I objęła chorą, starała się ją posadzić, gdyż z dziedzińca spostrzeżono jej obecność w oknie i jeden z chłopaków pokazał język. Opierając się Jadzi odpłaciła mu podobnem i byłoby przyszło jeszcze do poufalszych zaczepek, gdyby nie Zygmunt, który wszedłszy zrozumiał odrazu o co chodzi.

— To tak zawsze, gdy zostanie samą.... dziękuję pani....

Był bardzo mizerny i zmęczony, poza pracą dla idei, zabiła go praca zarobkowa, a nie chcąc opuszczać na długo chorej, przynosił do domu robotę i nieraz dobrze po północy siadywał przy biurku. Odprowadził żonę w głąb, a ona szła za nim potulna, patrząc w oczy, jak zastrofowane dziecko.

— Ja wyjeżdżam wkrótce, przyszłam pożegnać....

— Pani wyjeżdża? dokąd? Zbladł i patrzał na nią swym dawnym, głębokim wzrokiem.

— Jaś mizerny, więc doktór wieś zalecił— jadę zatem do Michałówki.... urwała, poczerwieniała, bo on nie spuszczał z niej oczu i zdało jej się, że jest znowu z nim, tam w ogrodzie i dawne wrażenia, jak widma zmartwychwstały.

— Do Michałówki.... pani musi się cieszyć. Tam teraz ładnie—wiosna! uśmiechnął się gorzko. A tu zima i zawsze już zima.

— Dlaczego pan tak mówi? przecie nadzieję mieć można i trzeba.

Przerwał jej ręką—i znów gorzko się uśmiechnął.

— Pani wie dobrze, że jest inaczej, czy można tu myśleć o... wiośnie? Ale nie chciałbym jeszcze umrzeć, tyle mam do zrobienia, tyle jeszcze niezaczętego nawet.... a przytem.... to.... spojrzał w stronę żony, która wsparłszy głowę o poręcz krzeszła, z ustami otwartemi, spała głęboko. Jadzia pobiegła wzrokiem za ręką Zygmunta i starała się zrozumieć, co on musi czuć patrząc na ruinę dawniejszego swego szczęścia, miłości i ukochania.

— Jeżeli jednak umrę, wiem, że na panią rachować mogę, nie opuści pani jej w ten lub inny sposób.... zajmie się nią—prawda? Chciałbym, żeby i moje dzieło mogła pani dalej prowadzić, ale nie mówiliśmy o tem nigdy, bo pani nie należy już do siebie, a „to“ trzeba uko-

chać całą siłą i wyprześ się wszystkiego—pani nie może—więc niech tylko pani stara się w synu swym zbudzić człowieka....

Siedział, zwrócony profilem ku oknu a światło, padając ukośnie na jego głowę otaczało go jakby nimbem i odbijało swój blask w głębokich oczach. Jadzia przylgnęła wzrokiem: wydał się jej znów wielkim, zniknęły zmarszczki, chude, zapadłe policzki, a tylko dusza promieniowała przykuwając oczy i myśli. Byłaby uklękła, patrzyła jak w obraz czując się sama taką małą, jak robak, pełzający po ziemi. Przymknęła oczy i naraz uprzytomniła sobie Witolda z jego drapieżnem spojrzeniem, jego melodyjny głos, gdy deklamował, jego miękkie ruchy i zmysłowe usta, któremi patrząc na nią zdawał się pieścić i całować. Wstrząsnęła się i jakby szukając ratunku, zawołała:

— Niech Pan jeszcze mówi, jeszcze!

Coś dziwnego było w jej głosie, bo podniósł oczy i pytająco spojrzał, a ona opuściła już głowę, jak winowajczyni.

— Gdy się spojrzy na siebie, widzi się cały szereg omyłek, jakie się popełniało, nieskończona linja, od której zbaczało się nieraz. Przytem jest coś w człowieku, co go zawsze i wszędzie czyni nieszczęśliwym, tęsknącym— niech się pani nie da ujarzmić temu uczuciu, trzeba być „nad“ niem. Należy przypuszczać, że ta tęsknota odróżnia nas właśnie od reszty

stworzeń, a im bardziej odchodzimy od natury—tem dla nas gorzej. Pani sądzi, że idee dają szczęście? że kto ukochał jakąkolwiek, gwarantowany jest na ból i gorycz? Nie—wszystko jedno—cierpieć musimy.

— Więc pan myśli, że i Marynia.

— Panna Marya więcej, niż inni, zresztą niema wybrańców.

Umilkli, a Jadzi zdało się, że on odpowiada na pytanie, które często, nawet przed chwilą, rozstrzygała się w duszy. Jakaś ciemna zasłona przykryła jej myśli, przygniatający smutek osiadł i toczył piersi. Ile razy stąd wychodziła, zawsze wynosiła podobne uczucie; co za kontrast z tem, jakiem ubarwiał jej życie Witold. On jednak musiał czuć się szczęśliwym, kiedy miał wesołość innym do rozdania. Tu bolała z drugimi—tam usypiano jej duszę słodkim narkotykiem.

— Gdy pani wróci, może już mnie nie będzie, wówczas niech pani pomyśli, że gdyby nas los wpierw, wcześniej z sobą zbliżył—bylibyśmy może wybrańcami, a teraz drogi się nasze wciąż krzyżują.

Powstał, podszedł do okna, a Jadzia myślała, że powinna już iść, że nie wolno jej nic rzec temu człowiekowi, bo to, coby powiedziała—nie byłoby prawdą. Oddawna już nie wiedziała kim jest i dokąd idzie, wplątana w jakieś zaklęte koło niewyraźnych, chaotycznych

uczuć—łódź bez steru.—A on czekał, sądził, że zbliży się do niego ta cicha i jasna postać kobieca,położy dłoń na jego rękę i powie:

— Myśl o mnie, bo bądź co bądź jesteśmy wszystkiem dla siebie. I byłby wówczas wziął jej głowę, spojrzał w oczy i zbierał z nich drżącemi ustami łzy. Raz ostatni, bo wszystko jedno—nie zobaczyliby się już nigdy. W głowie mu się kręciło i drżał na samą myśl, że mogłoby się to stać, choć na chwilę, ale ona powstała i, poprawiwszy śpiącą Wińską, zbliżyła się nieśmiało, wyciągając rękę.

— Muszę już iść—do widzenia!

W milczeniu objął całą jej postać smutnemi oczyma, wargi zlekka zadrżały, ale żadne słowo nie wybiegło na usta. I gdy potem szła do drzwi z pochyloną głową, patrzył na nią, patrzył jeszcze, gdy drzwi zamknęły się zwolna i został sam.... z.... żoną.

*

* *

— Nie śpisz? Stanął przy łóżku Jadzi i niecierpliwie jeszcze raz powtórzył: nie śpisz?

Ona przetarła oczy, siadła w koszuli, poprawiając fałdy kołdry i starała się otrząsnąć z głębokiego snu, z którego zbudził ją brutalnie.

A on począł gorączkowo mówić podrażnionym głosem:

— Dobrze, że się zbudziłaś, muszę z tobą jeszcze dziś pomówić, jutro nie wiem, czy miałbym czas, a wieczorem jedziesz. Już to prawda, że ten wyjazd wcale mi nie na rękę.

— Jeżeli chcesz, mogę nie jechać.... i zawisła wzrokiem na jego ustach, pragnąc w tej chwili, aby nie pozwolił jechać, aby ją zatrzymał—zapominając, że chodzi przecie o zdrowie dziecka.

— Ależ jedź, jedź, później byłyby pretensye, że mały przezemnie choruje. Tylko muszę ci powiedzieć, że interesy moje chwilowo są bardzo złe, potrzebuję żeby Witold dał mi z góry większą sumę i właśnie o tem chcę mówić.

— Jakto? czy nie wypłacił ci miesięcznej należności? wszak podobno taka była umowa?

— No więc cóż z tego, pieniądze się rozeszły—sama wiesz ile życie kosztuje, a suknie, a doktór, a teatr; byliśmy przecie w tym miesiącu dwa razy, a ta twoja dobroczynna kwesta, czy jak tam—koszta ciągłe—słowem co tu mówić, chwilowo potrzebuję bardzo i ty musisz to zręcznie przy nim poruszyć, jest na tyle dobrze wychowany, że zrozumie i da....

— Nigdy! nigdy! jabym go prosić miała? nigdy! żądasz ode mnie niemożebności....

— Tak? tak? więc od czegóż ty jesteś, czy od tego abyś mi była kulą u nogi? Więc na mnie ma spadać cały ciężar, a ty, monarchini, wolisz tylko lamentować i wyjechać, kiedy mąż

zapracowywa się, zagryza, orze... No, tak, tak, ty nic nie możesz!

Wybuchnął przekleństwem i przyskoczywszy bliżej do przelękłej już Jadzi, krzyczał:

— Musisz, słyszysz, musisz! inaczej nie ręczę za siebie—dokończył z wściekłością zaciskając usta.

Milczenie zapadło, w czasie którego słychać było chrapliwy oddech Tadeusza i przyśpieszone bicie serca przerażonej Jadzi.

— Głupia jesteś! niedołęga! umiesz tylko mazgaić się i piszczeć, każdemu byś życie zmierziła ty, ty.... ulęgałko!

Nie słyszała już pojedyńczych wyrazów, ale wiedziała jedno, że jeżeli przemówi do Witolda—będzie na zawsze zgubioną w swoich i jego oczach.

— Jeżeli chcesz—napiszę do wujostwa, wreszcie jadę, to osobiście poproszę, oni ci pożyczą znowu, tylko nie każ mi prosić obcego człowieka, którego przytem zrazić to może. Tak mało jeszcze cię zna i pomyśli, że chcesz go eksploatować—zrozum że to Tadeuszu.

A w nim uspokajały się już złe burze i słuchał słów Jadzi z uwagą, a gdy skończyła i patrzyła nań prawie błagalnie, odparł spokojniej.

— Jeżeli dadzą, a jeśli nie? wszystkiemu winni ci, którzy mię wciągnęli z tą sumą na niepewnej hipotece. Trafia mi się taki pyszny

interes, gdybym miał większe pieniądze z pewnością zrobiłbym kapitały.

— Nie lękałbyś się znów ryzykować, a jeśli i to niepewny interes?

— Co ty tam wiesz? nie znasz się na niczem i nie wścibiaj nosa. Wiesz już, co masz robić, a o resztę się nie troszcz. Nie byłaś jeszcze nigdy głodną, więc zostaw to, co do mnie należy, a nie dawaj mi głupich, babskich rad, których nie potrzebuję.

Jadzia westchnęła, popatrzyła badawczo na męża i wydał jej się w tym cieniu sypialnego pokoju, dziwnie brzydkim, małym. Zapytywała też siebie w duszy, jak mogła wybrać takiego człowieka na towarzysza i przewodnika? Gdzie wówczas była jej myśl, niemogąca odgadnąć, kim będzie w pożyciu i co znajdzie przy jego boku? Wsparła głowę na ręku i uczuła się tak okropnie zmęczoną, tak wyczerpaną, że złożyłaby, zda się, głowę na kamieniu, aby jej tylko pozwolono usnąć i nie kazano myśleć.

— Pamiętaj, że starzy dać muszą, inaczej nie darowałbym ci nigdy zawodu, jakibyś mi zrobiła. Począł się rozbierać rachując głośno, cyfry wpadały do uszu Jadzi, niby jakieś zgrzyty, siedziała bez ruchu, zziębnięta i obolała mo ralnie.

„A gdyby tak nie wrócić tu więcej? osiąść na wsi wśród ciszy, ciszy niezamąconej niczem. Nie widzieć tych złych oczu, nie słyszeć

brutalnego krzyku, a widzieć dobre, poczciwe twarze koło siebie, patrzeć na drzewa, kołyszące się zwolna, na zboża falujące i moc bławatków, które tak lubi.... Iść z Jasiem przez wązką polną ścieżkę, a nad głowami czuć tylko niebo, przeczuwać tam, gdzieś w nieskończonej zieleni spokój, spokoj"... Zwolna myśli się splątały, zdało się Jadzi, że płynie w obłokach tuląc do piersi Jasia, a nad nią, jak dwie gwiazdy, płoną smutnie wymowne oczy Zygmunta. Głowa opadła na poduszki i gdy właśnie Tadeusz zgasił świecę, wydało się jej we śnie, że te dwie gwiazdy zgasły nagle, wtrącając ją w ciemną otchłań, niezmierzoną przestrzeń, pełną lęku i cieni....

*

* *

Rzeczy były upakowane i wszystko gotowe do podróży, gdy przyszedł Witold przed wieczorem. Szara godzina przysłaniała dyskretnie jej zmęczone oczy, uwydatniając jednak jakiś smutek, który wiał od całej postaci. Usiedli w saloniku, Tadeusza nie było, miał dopiero spotkać ją na dworcu o 9-ej. Rozmowa się nie kleiła. Witold jakby z rozmysłem milczał, patrząc natarczywie i szukając jej wzroku, a ona myślała o tem, że wyjeżdża, nie wiedząc kiedy wróci. Zostawiała ze sobą wszystko, uwożąc chaos.

gmatwaninę uczuć i myśli. Coś się w niej rwało na wspomnienie Wińskiego, a jednocześnie płynęły ku niej pragnienia Witolda, czyniąc ją powolną wobec niego. Nie miała siły opierać się jego wzrokowi, a na samą myśl, że mógłby zbliżyć się do niej, ująć za rękę — drżała jak liść, przerażona tajemnem swem żądaniem, aby się tak stało. A on patrzał na nią, i zda się rozumiał, co pod tem, napozór gładkiem czołem, się skrywa. Wciskał się absolutnie i wszechwładnie do jej mózgu, tryumfując wygraną. Przebierała nerwowo palcami po poręczy kanapki i, zaciskając usta, powtarzała w duszy machinalnie, z przyzwyczajenia, prośbę do Boga o ratunek. Czyżbym oszalała? co się ze mną dzieje?“ Mieniła się na twarzy i starała uprzytomnić oczy Zygmunta, jako dźwignię, jako przeciwstawienie. Ale obraz ten zacierał się pod spojrzeniem Witolda i jak tonący, szukając ratunku, poczęła naraz opowiadać o banalnych wypadkach, zaszłych w ciągu dnia, a on nie przerywał jej słowem, biorąc ją jednak wzrokiem, tak, że czuła to, bezwładniejąc w tej niemej walce.

— Dlaczego pani tak dużo mówi? czemu mam przypisać jej wymowę?—bardzo wolno i akcentując przerwał chwilowe milczenie, czyżby się pani lękała tego najwyższego daru, jakiem jest milczenie?

— O! nie! ale przecie nie mogę pozwolić, aby się pan nudził.

Zaśmiał się krótko i przysunął bliżej.

— Dlaczego pani siebie oszukuje, chcąc zarazem zabawić mnie bajeczką?—dość tego.... pani zarówno, jak ja....

— Nie kończ pan, nie kończ.... Powstała i kierowała się już do drzwi, gdy on stanął w nich i rozkrzyżowując ramiona mówił dalej:

— Lękasz się mnie! czy chcesz wiedzieć dlaczego? Oto dlatego, bo serce twoje bije przyśpieszonem tętnem i pragnie uciszenia—rozumiesz mię? Ręce twe bezwiednie szukają uścisku, a usta—pocałunku.

Zakryła twarz rękami, bo zdało jej się, że on czyta w jej mózgu i to, co przed sobą taiła, wtłaczała w najciaśniejszą jego komórkę, wywleka po to, aby urągać i naigrawać. Czuła się tak, jakby ją nagle obnażono publicznie, i oto bezradna, bez ratunku, stoi ku uciesze ciekawych.

— Zaprzecz! powiedz, że nie chcesz, abym cię pieścił mym wzrokiem i mówił to, co oddawna dla ciebie czuję. Czekałem długo, ale teraz wiem, że czas nagrody już blizki. Będziesz moją, tak, jak już oddawna byłaś w moich i swoich myślach, bo byłaś moją—powiedz!

Ujął obie jej ręce i wiążąc w swych miękkich, zmysłowych dłoniach, pochylając się coraz

bliżej, szeptem już kończył, dotykając prawie ustami jej ust.

Nie wyrywała mu rąk, tylko powieki opadały zwolna na rozszerzone źrenice i biała jak płótno, stała przed nim, oddając się, jak płynący z falą oddaje się na łaskę i niełaskę żywiołu. Ostatnią, jasną myśl, jaką sformułowała w swym mózgu, było wspomnienie przeżytej już raz podobnej chwili, wtedy, gdy w ogrodzie Michałówki rosa padała na krzewy i trawę i monotonna pieśń żeńców płynęła nad drzewami.... Jak to dawno? więc „to“ to samo, co „tamto.“ Spojrzała raz jeszcze w twarz Witolda i wydał jej się Zygmuntem, tylko młodszym, a ona nie była Jadzią, ale jakąś inną istotą, nie skazaną na życie pełne fałszu, lecz wolną, stęsknioną za pieszczotą i mającą do niej prawo. I gdy w chwilę potem ocknęła się w rogu kanapki, z głową na jego ramieniu, nie myślała już o niczem, tylko o tem, aby tak trwać, trwać i nigdy nie obudzić się już do życia.

Czy to trwało godzinę, czy wieki, czy może sekundę, nie wiedziała, ale on myślał za nią i za siebie, więc gładząc jej zburzone włosy mówił spokojnie i rozsądnie.

— Czas już myśleć o wyjeździe—spóźniłabyś się, a nie trzeba, aby on się domyślił— nie trzeba! Jesteś ogromnie egzaltowną, niepraktyczną i o głupstwo łatwo w takich warunkach. Będę za ciebie myślał, a ty mię słuchaj.

Dotychczas jestem pewien, że mu nawet na myśl nic nie przychodzi—ale staraj się go utrzymać w tem—rozumiesz mię? To potrzebne dla twego i mego spokoju. Pożegnasz go serdecznie i bądź taką jak zwykle.

A ona słuchała tych słów i w miarę rozwijającej się w nim elokwencyi, budziła się w niej świadomość, że stało się coś strasznego, coś gorszego od śmierci.

— Jak zwykle? zaśmiała się sucho, wybuchając jednocześnie płaczem.

Witold zmarszczył czoło i niecierpliwym ruchem ręki posadził ją znów obok siebie, gdyż powstała nagle i chciała odejść.

— Tylko nie rób scen żadnych, na miłość Boską, panuj nad sobą i nie bądź dzieckiem. Takie rzeczy dzieją się codzień i nikt nie warjuje, ani się wiesza. Odrzuć raz stare przesądy i fałszywą wiarę w fałszywą moralność. Sama w nią zresztą nie wierzysz, ale wmawiasz w siebie jedynie.... Posłuchaj mię: każdy ma prawo do szczęścia i rozkoszy i głupiec tylko wyrzeka się ich dla bańki mydlanej, zwanej zasadami. Jedyną w życiu zasadą powinno być przekonanie, że czyniąc coś, czynimy, bo musimy tak czynić, a więc jest to dobrem. I to, co nazywasz w duchu teraz występkiem, jest tylko koniecznością, która się stać musiała. Oddałaś mi się sama, bo przyszedł czas, kiedy twe ner-

wy potrzebowały uciszenia.... słyszysz, potrzebowały!

Jadzia słuchała słów tych z rozszerzonemi oczyma, a dźwięki wpadały do jej uszu, jak oddalone brzęczenie owadów. W jej mózgu powstawała tylko jedna myśl, że musi teraz opuścić Tadeusza, dom, bo już się wszystko skończyło. Powie mu dziś jeszcze odjeżdżając, że odjeżdża i nie wróci, bo nie należy do nikogo, bo należeć do dwóch nie może. A Witold odgadł co postanawia i zniecierpliwionym głosem, prawie ostro, przekonywał dalej:

— Wiem, że w tej chwili powzięłaś zamiar wyspowiadania się mężowi i opuszczenia go. Takie słabe istoty uciekają się w takich razach do podobnej operacyi, ale tylko w myślach, ty także tego nie uczynisz, gdy zastanowisz się, że jeśli nawet rozumować będziemy z twego punktu widzenia, to popełniłabyś błąd. Przypuśćmy, że skrzywdziłaś męża—więc czy powinnaś krzywdzić go jeszcze bardziej, odbierając mu rodzinę, rzucając jego rzekomy honor na pastwę plotek i wstydu. Czy przysięgając mu przy ślubie nie obiecywałaś nie opuszczać go aż do śmierci? Nie dotrzymałaś jednego t. j. nie dochowałaś mu wierności, ale powinnaś przynajmniej zostać przy nim i być mu „posłuszną.“ Tak każe wasza moralność, mój zaś pogląd powiada mi, że nic nie zyskasz opuszczając dom i dziecko; szał, który nas chwilowo

połączył, wygaśnie i zostanie próżnia, która zapełni twe życie, dziecko. Powiedz, czy nie mówię prawdy? Czy nie skrzywdziłabyś jeszcze bardziej męża, wyjawiając mu chwilowe zapomnienie? sprawisz to, że straci posadę, bo przecie pracować dla mnie będzie mógł, zrobisz go żebrakiem, bo znasz go i wiesz, że pracować naprawdę nie umie i zapewne domyślałaś się od dawna, że jest moim plenipotentem jedynie przez ciebie.

Więc on myślał, że ona wie i że dlatego przyjmuje go i dlatego może teraz... Boże!

A Witold, spokojniej już, bo był prawie pewnym, że ją przekona, tłomaczył, uśmiechając się nawet:

— Oburzasz się, bo sądzisz, że cię podejrzywam o interesowność i współdziałanie w tej materyalnej kwestyi. Uspokój się, ani na chwilę nie myślałem o tem, jesteś słabą kobietą, zawiedzioną w swych marzeniach istotą, którą ani życie ani ludzie nie urobili jeszcze, i dlatego z łatwością cię zdobyłem, ale o interes nie podejrzywałem cię nigdy. Jeśli wspomniałem o tem, że znasz pobudki mego wyboru, to dlatego, że wy, wszystkie kobiety, lubicie, gdy macie wpływ na coś lub na kogoś, to wam pochlebia i to dowodem waszej słabości, a ty jesteś par excellence kobietą. Więc nie gub męża i słuchaj mej rady: jedź teraz, uspokoisz się na wsi, a jeśli po miesiącu jeszcze powiesz mi,

a raczej napiszesz, że chcesz się wyspowiadać mężowi, wtedy pozwolę ci to uczynić, ale daj mi słowo, że przez miesiąc próby nie zrobisz tego, daj słowo, o które cię proszę i którego wymagam. Zobaczysz, że mi podziękujesz kiedyś za to i twój syn również. Powiedz, czy gdyby między nami prócz pragnień i myśli nic nie było, czy wyjawiłabyś te grzeszne marzenia mężowi? Prawda, że nie? a więc zapomnij o tem co zaszło i niech ci się zdaje, że pozostajemy dotąd w sferze pragnień.

Prawda, przecie Zygmunta kochała i odbierała nawet jego pocałunki, a jednak milczała! Więc czemże jest, czem się rządzi? Kto ma racyę: ona, czy człowiek, który zbudził w niej zło. Powinna go odepchnąć, pokazać drzwi i rzucić w twarz słowo pogardy, a nie czyni tego, lecz słucha głosu, którym ją zawsze hypnotyzował, którym wziął ją sobie na własność bardziej, aniżeli „tamten“. Nie, nie bardziej, gdyby „tamten“ był podobnie śmiałym, tak samo byłaby słabą. Kimże więc jest? To tak wyglądają kobiety upadłe? takie, których widok napędza falę krwi do czoła uczciwej kobiecie! Tak, a zatem ona jest ich siostrą, kobietą zgubioną, postrachem uczciwych kobiet! Pochyliła głowę i krwawy rumieniec pokrywał twarz, sięgając, zda się, aż do serca, do mózgu.,.

A on już tryumfował, wiedział, że może spokojnym być, że życia swego nie zakłóci dra-

matem. Jeszcze jedną słabą duszę uwięził w swej sieci i służyć mu ona będzie dotąd, dopóki zechce. Jej się zaś zdawało, że jeszcze nie wszystko jej powiedział, że nie dosłyszała najważniejszego, że jeszcze musi powiedzieć, aby teraz została jego żoną, i że inaczej być nie może, weźmie rozwód i wyjdzie za drugiego za mąż, tak samo będzie mu ślubowała miłość, posłuszeństwo i wiarę! Spazm śmiechu, złączonego z łkaniem, przerwał naraz milczenie, które ich na chwilę zdradziecko ukoiło...

Witold się wzdrygnął. Jakie to wszystko nieestetyczne i męczące! I pomyśleć, że każda musi tę samą komedyę odegrać, z różnicą jeno w wyrazie, t. j. temperamentu. Podał jej wody, po którą poszedł do jadalnego pokoju, a Jadzia przychodziła zwolna do siebie, wiedząc już, że zmysły jej nie zwodzą, że podniecenie opada i tylko świadomość wielkiego zmęczenia bierze górę nad wszystkiem.

— Uspokój się i daj mi słowo, którego wymagam.

— Nie mogę, nie mogę tak żyć! Wieczny fałsz!

— Dzieckiem jesteś, jeśli lękasz się fałszu; czyś widziała prawdę między ludźmi? Wszystko oparte na obłudzie, prawdy niema nigdzie. Znamy martwy wyraz, ale treści jego nie znamy.

— Nie, nie! uczciwość jest prawdą!

Roześmiał się i gładząc rękę Jadzi, uwię-

zioną w swej pulchnej dłoni, swobodnie jął tłomaczyć.

— Uczciwość? więc ty nazywasz uczciwem oddawanie się człowiekowi, którego nie kochasz, nie pożądasz, ale który ci wzamian daje byt, dach...

— To nie jest uczciwem, to czynią też kobiety złe.

— Zmienisz zaraz zdanie: to czynią kobiety porządne, nazywające się dobremi żonami, za nazwisko i tytuł ten oddają codzień swe ciało, podobnie jak prostytutki. I ty byłaś taką jeszcze wczoraj i będziesz taką—a więc gdzie jest uczciwość i co nią nazwiesz? może kobietę, która rzuca dziecko, odbiera mu ojca albo siebie i idzie za kochankiem na to, aby ten mąż lub dziecko, albo jedno i drugie zmarnieli? To może jest lepszem? a to znów ty chcesz zrobić. A ja ci powiem, że jest tylko głupota i rozsądek na świecie, głupota kazałaby ci wyznać mężowi to, czego on nie powinien wiedzieć dla swego spokoju, a rozsądek nakazuje ci iść dalej przy jego boku, wychowywać dziecko i nie utrudniać życia człowiekowi, z którym cię los złączył—od tego oboje nie będziecie szczęśliwsi. A więc daj słowo!

— To okropne! więc niema środka, aby być uczciwą i szczęśliwą! niema! albo jedno albo drugie!

— I jedno i drugie tylko za pomocą roz-

sądku. Będziesz spełniała swe obowiązki, a szczęście ja ci dam, słuchaj mię i wierz!—Przyciągnął ją do siebie i delikatnymi pocałunkami starał się poprzeć swą sprawę, hypnotyzując wzrokiem, każdym ruchem ręki, gdy dyskretnie, a jednak namiętnie tulił ją i pieścił. Ją znów odbiegała myśl, a tylko ból moralny w połączeniu z dziwną fizyczną słodyczą spowijał wolę, tak, jak obezwładniał ciało.

Gdy wreszcie zegar uderzył ósmą, Witold powstał pierwszy, dopomógł do ubrania się, pamiętał o każdym szczególe, nawet o niezbędnych zapasach dla dziecka i, posadziwszy ją nakoniec wraz z Jasiem w dorożce, sam zajął miejsce na przedniej ławeczce i kończył jeszcze swe rady doświadczonego i życzliwego przyjaciela.

Przejeżdżali właśnie około ochronki, w której pracowała Marynia. Jadzia uniosła głowę i dopiero teraz poczuła wyraźnie ogrom bólu, jaki jej piersi przytłaczał i niemal dotykalnie zobaczyła przed sobą Zygmunta, jak jej w Michałówce mówił o tem, że tylko cierpienie jest pewnikiem, i że właśnie dlatego powinniśmy każdą kroplę krwi naszej nieść w ofierze nieszczęśliwym. A ona, co dotąd zrobiła dla innych? I nie słyszała już słów Witolda, tylko zapadała w coraz cichsze, coraz nieświadomsze omdlenie myśli, woli i pragnień. Jak manekin żegnała się z Tadeuszem oczekującym

ją na dworcu, a rozpromienionym na widok pryncypała, pracodawcy, który raczył interesować się jego osobistemi sprawami i rodziną. Jak manekin patrzyła na obu. Witold, żegnając ją, gdy na chwilę zostali sami, powtórzył z naciskiem:

— Pamiętaj o słowie i w ciągu miesiąca staraj się zmądrzeć, a ja o tobie nie zapomnę i przyjadę.

Jadzia drewnianym ruchem podała mu rękę i błędnym wzrokiem patrzyła na mówiącego, bo ujrzała nagłe wizyę: twarz „tamtego“ na twarzy Witolda, białe włosy tworzyły nimb, a oczy grzały płomieniem, obejmując krwawą łuną i dworzec i ludzi, śpieszących się jak w gorączce i wagon, w którym stała i ją wreszcie, zatapiając w tem morzu ognistej krwi do utraty pamięci.

*

* *

Miesiąc upłynął szybko, znacząc swe przejścia w myślach Jadzi niezatartem piętnem bólu i goryczy. Gdy spojrzała poza siebie, widziała tylko groby, a w nich złożone wszystko, co było w niej lepszego, wyższego. Nie poznawała siebie, nadaremnie starała się odnaleźć dawną Jadzię, ufną, cichą i pogodną. Zło krzewiło się coraz szerzej i głębiej—jakiś ostry żal

do wszystkich, a nadewszystko do życia, kazał jej nawet obojętnieć dla dziecka i jedynie z musu myśleć o niem. Najczęściej zaś zastanawiała się nad filozofią Witolda i tem, co słyszała od niego w ów pamiętny wieczór, i coraz silniej utwierdzała się w tem, że wyznać Tadeuszowi nie powinna, bo i poco? jakie prawo może mieć on do niej? Czyż nie jest człowiekiem, panią swego „ja“ i swej osoby? Czyż niewolnicą ma się uznać? a on, ten mąż, czy wyznaje jej wszystko i czy zwrócił się do niej kiedykolwiek z jaką własną myślą? czy dał jej coś z siebie, oprócz pieszczot, o które nie prosiła, a które były dla niej jeno męką? Czy może być pewną, że on nie ma powodu do podobnego zwierzenia, jak ona? Bo przecie uczciwą od dawna nie była, a właściwie nie była nią wcale. Wszak już w pierwszych miesiącach pożycia stawała mu się obcą i wciąż oddalała się coraz bardziej, aż odeszła zupełnie, wrócić zaś nie może. Nie kochała nikogo, widocznie kochać nie może; to, co nazywała uczuciem dla Zygmunta, było marzeniem, a jeśli pozostało czystem, to nie jej zasługa. Gdyby szła zawsze za nim, byłaby inną, lepszą, a przedewszystkiem użyteczniejszą. Przymykała oczy, aby ujrzeć go w wyobraźni, odtworzyć te ascetyczne rysy i głębokie spojrzenia, ale nadaremnie. Natomiast inne oczy patrzyły na nią drapieżnie i drażniąco, inny głos przemawiał do nerwów,

pieszcząc je, upajając, jak niezdrowy trunek. I gdy w nocy, zmęczona, siliła się odegnać to widziadło, zdawało jej się, że przez niedomknięte okiennice, zagląda twarz Oli, patrzy na nią tak, jak przed śmiercią, lecz z wielkiem współczuciem, którego przedtem nie było. Pochyla się bliżej i bliżej ta twarz chora i żałobna i bierze ją z sobą, jako niepotrzebną na ziemi. Te dwa uczucia, jedno wspomnienie roskoszy, którą dał jej Witold i pamięć zmarłej i śmierci,. na którą patrzyła, splątały się w jeden kłębek, prześladując ją codzień, zawsze! I tak już musiało zostać, a ona miała trwać, żyć i męczyć się bez promyka nadziei. A gdyby wyznała mężowi, opuściłaby dom, zabranoby jej dziecko i mogłaby odejść do Oli, to byłoby najlepsze—tylko czy nie zbraknie siły i woli do czegokolwiek? A gdyby poradzić się kogoś, nie wujostwa, nie, oni na to za czyści, ale pana Ignacego—ten żył więcej i możeby zrozumiał? Ale wstyd palił ją wtedy, tamując bieg myśli i pragnień, brała Jasia na ręce i, skrywając twarz swą na jego maleńkiej piersi, czuła się mniejszą, słabszą od tej drobnej, bezradnej istoty.

Poco chowano ją w jakichś zasadach, które, jak strachy na wróble, złożone są jeno ze strzępów i różnej bezwartościowej zbieraniny, poco? co dają one? Każą walczyć, cierpieć, a podtrzymywać nie mogą! I złorzeczyła tym,

co uczyli ją moralności, złorzeczyła otoczeniu, w którem wzrastała, a w końcu złorzeczyła owemu Bogu, który tylko wymagać umie, skazując na mękę. Nie miała nigdy tej ślepej, niezłomnej wiary, ale teraz nienawidziła prawie wszystko, co z nią miało związek. Jasiowi nie pozwoli się modlić, bo to fałsz! Kata swego kochać nie można! Niech kto co chce mówi, ale nędzarz wznieść ducha w hymnie dziękczynnym nie potrafi, a prosić nie będzie, bo nie wierzy, aby go wysłuchano! A czyż ona jedna cierpi? tysiące, miliony i Bóg, siedząc na swym niedoścignym tronie, patrzy na to ze spokojem zadowolonego władcy i nie drży na widok nędzy, której jest Panem! On, Wielki, On Wszechmocny! nie żałował i nie żałuje nikogo, obiecując Niebo, którego nikt nie widział, ale natomiast każdy czuje ból, wije się w męce i w to jedno wierzyć musi i może. Reszta—to owe gwiazdy, które błyszczą, ale nie grzeją i do których dostęp możliwy jeno w wyobraźni. Mróz zamyka oczy, każe bezdomnym kłaść głowę na posłaniu ze śniegu, pod opieką wichrów i zawiei, a gwiazdy błyszczą jednako, zawsze dalekie, obce, niedoścignione! W takich chwilach kochała Zygmunta, odradzała się na krótko, pragnąc tych wszystkich co cierpią przycisnąć, przygarnąć, być ich siostrą i zapomnieć o sobie. Gdyby on był przy niej! Co oni tam robią? Ona pewnie siedzi i uśmiecha

się, zawsze ładna i zadowolona, a on, stojąc u okna, myśli o tem, że tak mało jeszcze zrobił i lęka się, że nie doczeka owoców swojej pracy. Gdyby mogła znaleźć się przy nim, powiedziałaby mu „Weź mnie, zatrzymaj przy sobie, bo jestem słaba, bez woli, deptana, jak liść oderwany, chcę być z tobą i iść za tobą, weź mię!“ a może pozwoliłby jej zostać i szliby razem, a tamto wszystko zostałoby daleko, pogrzebane, z pamięci wydarte. Ale tu pamięć przeczyła. Nie! wołała, nie wydrzesz nic, rana krwawić się będzie i nie uciekniesz przed nią nigdzie! Do mnie należysz, do przeszłości, jam była pierwsza—to co przyjdzie, co mogłoby być—to jeno mary, a jam jedna, ja przeszłość jestem prawdą! I chyliła głowę nizko, wiedząc, że inną być już nie ma prawa i możności. „To“ pójdzie za nią wszędzie! Będzie żyła z mężem, jak prostytutka, oddając mu ciało, a wzamian dostanie prawa do dziecka i stanowisko „uczciwej“ kobiety, kobiety nie człowieka! Będzie szczęśliwą, bo gdy „tamten“ zechce ją wziąć w swe ramiona—zadrży z rozkoszy i pójdzie za nim bierna, nieświadoma ani bólu, ani walki, ani poczucia swego „ja“. I to będzie jej szczęście i takiem powinna się zadowolić, inne nie dla niej!

*

* *

— O czem Jadziunia tak medytuje? stoję od kilku minut i czytam w jej oczach.

— O! dlaczego to pan robi? to niedobrze! Zerwała się z ławki, a pan Ignacy wziął ją za obie ręce, posadził z powrotem i mówił:

— Jadziunia źle robi, że starym przyjaciołom nie ufa—a gdyby tak przyjść do mnie i powiedzieć szczerze: mam ciężar na sercu, a w myślach chaos—zrób porządek, panie Ignacy! Co? hę! Jak myślisz, czy nie byłoby to dobrze? Nie odpowiadasz, ha, to ja za ciebie mówić będę; ja wiem dawno, że Jadziunia drogi do szczęścia szuka, drogi takiej nie znajdziesz nigdzie tylko w sobie, w sobie. Nie w „nim“, nie z „nim“, ale ona w tobie, Jadziuniu.

Ona poczerwieniała i chcąc ukryć zmieszanie poczęła szybko mówić:

— Co też pan mówi! Boże drogi, czyż koniecznie mam krzyczeć wszystkim, że mi nic nie brak. Jeżeli się martwię, to interesami, pan wie przecie: wujostwo znowu posłali Tadeuszowi pieniądze, tamtych nie oddał i tak ciągle i co dalej? Czy my powinniśmy żyć z jałmużny? Czy pan myśli, że ja nie czuję upokorzenia, jakie stąd płynie. Stawała się wymowną, pełną lęku, aby on nie wrócił do indagacyi Teraz też dopiero zrozumiała, że wyznać prawdy nie mogłaby nikomu, musi już milczeć i zaciąć usta, choćby mózg i pierś miały pęknąć. Wówczas, w pierwszej chwili

może krzyknęłaby słowa wyznania, w chwilowem podnieceniu, utracie świadomości, ale teraz? nie! nie! Nie z obawy, nie ze strachu przed tem, że wygnałby ją Tadeusz, ale brakło jej siły, brakło jej woli! Z braku chęci do dalszej walki.

— Jak chcesz, Jadziuniu, rozumiem i to co mówisz, ale to nie wszystko. Milczeć jednak będę, tylko wiedz, że gdyby ci kiedy zanadto ciężko było lub gdybyś nie wiedziała, co powinnaś zrobić, zwróć się do mnie, pamiętaj, nie czyń nic gwałtownego beze mnie. Stary zrzęda przydać się może, bo żyje długo i niejednemu się przypatrzył. Wam się zdaje, że to, co odczuwacie jest nowem, tymczasem „wszystko już było“, a tak! Ludzie byli i będą tacy sami zawsze. Czy, czy Jadziunia widywała w Warszawie tego pana Wińskiego? Odwrócił głowę i nie patrzył na zaczerwienioną Jadzię, która nagle zajęła się pilnie badaniem ustroju rośliny, zerwanej przed chwilą, nie podnosząc też oczu, odpowiedziała niby swobodnie:

— Bardzo rzadko, od czasu, gdy Maryni nie stało, prawie nie. Chorował i... żona do niego wróciła. Podobno przebyła ciężki tyfus i straciła władze umysłowe, tak mówiono, to bardzo biedny człowiek Ostatnie słowa wybiegły na drżące usta i, jak spłoszone ptaki, pierzchły, przerażone swą śmiałością. A pan Ignacy powtórzył:

— Biedny!

— I bardzo dobry i zupełnie inny, niż wszyscy.

Teraz pan Ignacy spojrzał już na pochyloną głowę Jadzi i w oczach jego mignął szczery smutek i współczucie, ona zaś, jakby czując nagle potrzebę mówienia o tym „innym“, ciągnęła, obrywając listki rośliny.

— Ukochać tak coś, jak on ukochał, iść za tą miłością nie bacząc na zawody i trudności—oto może być szczęście, ale nie każdemu ono dane, dlaczego nie wszyscy umieją kochać, panie Ignacy? dlaczego?

Powstała i patrzała w dal, tam, gdzie na skraju pola widać było ciemną smugę lasu.

— Nic na to nie poradzisz, jedni kochają siebie, drudzy siebie w kimś, a tylko mniejszość kogoś lub coś.

— A pan kogo kochał?

— Ja? e! niema o czem mówić! Może tam się i kochało kogoś, ale to nie było zasługą, tak Pan Bóg dał, niema się czem chełpić.

— Prawda, że Marynia najlepszą częstkę wybrała?

— Bardzo dobrą, ale nie najlepszą, wszystko jedno, co kochamy, byle dobrze i byle nie siebie. Szkoda jednak dziewczyny! Po chwili zaś, machnąwszy ręką, dodał jeszcze:

— A może i nie szkoda!

— Ma pan racyę, ja często o niej myślę i o Oli i zdaje mi się, że to dwa przeciwieństwa: w jednej przeważała miłość osobista, w drugiej dla ogółu, tamtę zawiodła ona do grobu, a tę również. I tak wszędzie smutek tylko, wszędzie śmierć i łzy. Żeby pan wiedział, panie Ignacy, jak ja się nieraz starą czuję, taką starą, jak ten oto świerk, a może jeszcze starszą, burze przechodziły koło mnie, a ja stoję, burze miotały mną, jak owemi gałązkami drzewa i ja stoję i ono stoi. I poco?

Zapomniała prawie o obecności towarzysza, myśląc głośno, on też nie przerywał jej, wiedząc, że to przynosi jej ulgę, rad, że zmusił ją do głośnego myślenia, o co mu właśnie chodziło. Wsparł obie ręce na lasce, pochylił głowę, a ona umilkła. Nagle drgnęła wyprostowując się i, jak pijana, zatoczyła się wreszcie ku ławce. O parę kroków przed nimi stał p. Michał, a obok Witold, patrzący swym zdobywczym wzrokiem na młodą kobietę.

*

* *

Teraz już wiedziała Jadzia na pewno, że nie powie nic Tadeuszowi, że nie będzie drugiemu ślubowała miłości i wierności do grobu, bo ten drugi o to nie prosił, ale natomiast dopóty wykładał o możliwem szczęściu „we troje“,

aż Jadzia uwierzyła i już nie plakała w objęciach Witolda, brała słodycz z jego ust, rozkosz w jego pieszczotach i, przymykając oczy, starała się wyobrazić sobie, że umiera i że przestaje cierpieć. A gdy w nocy, zrywając się ze snu, widziała przed sobą twarz żałobną Oli, nie odpychała wizyi, ale otwierała jak najszerzej oczy, chcąc ją w siebie wchłonąć, jako zapowiedź uwolnienia. Teraz czekała tylko wyzwolenia przez nią, przez śmierć.

A Witold rad był z kochanki, bo była mu powolną, mdlała w jego ramionach i nazywał ją wtedy „harfą eolską“, na której on, mistrz, grał subtelnie, upajając się swą grą. Miał w życiu tyle kobiet, znał różne temperamenty, ale ta blada twarz, o przymkniętych oczach, działała nań wyjątkowo: zblazowany odmłodniał i nie zdziwiłby się, gdyby mu ktoś powiedział, że ją prawie kocha.

Tu, na wsi, wydawała mu się jeszcze ponętniejszą. Gdy wieczorem, o zmierzchu, wracali ze spaceru, wiódł ją w cienistą aleję ogrodu, sadzał obok i, przesuwając dłonią po jej głowie, usypiał jej wyrzuty sumienia, jej ból, melodyjnym głosem i subtelną pieszczotą zmysłową. Była mu miłem zwierzątkiem, zabawką, trunkiem.

Państwo Michałostwo przyjmowali go bardzo gościnnie, wiedząc, że los Jadzi jest poniekąd w jego ręku i nie mieli jej za złe, gdy tłomacząc się chęcią

poznania okolicy, prosił ją, aby mu była przewodnikiem. Pan Ignacy nie mógł towarzyszyć, ale, że zachowanie się Witolda było zawsze w towarzystwie wysoce correcte, nie podejrzywał go też o żadne złe zamiary i rad był nawet, że rozrusza nieco Jadziunię.

Jednego wieczoru posprzeczali się na dobre—on chciał odpocząć na ławce, na której kiedyś zastała Zygmunta, a ona oparła się temu gwałtownie, zapominając nawet o takcie.

— Ależ dlaczego, dlaczego? ta ławka podoba mi się bardzo, a właśnie ten kącik efektowny, widok na łąkę, las, miły zapach kwiatów, słowem—właśnie dla nas. Proszę cię spocznij!

Ujął jej kibić i silnie, choć elegancko, starał się ją zmusić do zajęcia miejsca, przyciszonym głosem, obiecując chwilę upojenia.

Oparła się wtedy i rozeszli się zagniewani. On nie lubił oporu nawet w drobnych rzeczach, a zwłaszcza, gdy nerwy miał podniecone.

Nocy tej Jadzia nie spała, a że Jaś trochę kaszlał i miał gorączkę, przesiedziała u jego łóżeczka, odpędzając wizyę „tamtego“. Stał przed nią w aureoli siwych włosów, z wyrzutem w oczach i bolesnem skrzywieniem ust, taki, jakim go widziała odchodząc przed wyjazdem.

— Co on tam robi?— powtarzała w myśli, i, nie znajdując odpowiedzi w zmęczonym mózgu, zapadała w pół sen na to, aby nagle budzić

się i widzieć znowu toż samo. Nazajutrz Witold wyraźnie się dąsał, unikał towarzystwa Jadzi i nawet sam poszedł na dalszą wycieczkę. Rozumiała jego pobudki, ale nie starała się ani słowem przeprosić. Natomiast poszła sama o zmierzchu do ogrodu i usiadła na tej ławce patrząc w dal, cała we wspomnieniu. Ze zdwojoną siłą brała ją powracająca fala w swe objęcia i niosła w przeszłość, do skromnego mieszkanka o pustych kątach, skąd tylko bieda wyglądała. „Jemu“ wyznałaby wszystko, powiedziałaby, jak bardzo słabą się czuje, bez steru, niechby ją odtąd prowadził za rękę, a może przebaczyłby jej... może... on taki dobry, taki inny! Łzy biegły strumieniem po policzkach Jadzi i nie widziała stojącego opodal Witolda, zapomniała, gdzie jest i byłaby wyciągnęła ręce w błagalnej prośbie, bo zdało jej się, że widzi ciemne oczy i białe włosy i słyszy słowa: „przebaczonem ci będzie!“

— A więc to był kaprys? zatem dziś sama zdecydowałaś się wybrać to ustronie?

Drgnęła oszołomiona, zaskoczona, a on tymczasem, zajmując obok niej miejsce, przyglądać się jął ciekawie jej wzburzonym rysom.

— Co ci jest? co się stało? może on przyjechał?

— Jaki on? kto on?—pytała szydząc z siebie w duszy.

— No, pan i władca, czyżby istniał jaki inny on?

Zaśmiała się i powstała, kierując się śpiesznie do domu. Witold zaś szedł za nią w pewnem oddaleniu, nie śpiesząc i głośno ciągnął:

— Nerwy, jak widzę! Zapomniałem powiedzieć, że pan Tadeusz może lada dzień nadjechać... powinniśmy się zobaczyć.

— Nie! tego pan nie zrobi! nie! jeżeli choć trochę znajdziesz litości w swem sercu— nie skazuj mię na przebywanie między wami, niech was razem nie widzę, to niemożebne! — Zbliżyła się i prawie namiętnie brzmiał jej głos, gdy to mówiła.

— Dzieciństwo! musisz się pogodzić jednak z położeniem, które się nie da zmienić. Sądziłem, żeś już rozsądniejsza. Zastanów się, nie tu, to w Warszawie będziesz nas razem widywała, chyba, że popełnisz głupstwo i zły uczynek wyznając mężowi... ale nie przypuszczam, abyś złą była, a to byłoby złem, wierz mi, pozbawiać go środków do życia przez egoizm; bo to tylko egoizm, myślisz tu więcej o sobie, aniżeli o nim, chodzi ci o jakieś katechizmowe wyrzuty sumienia, a nie zwracasz uwagi, że skrzywdziłabyś go stokroć gorzej. No, czy nerwy uspokoiły się nieco? Dałem ci odpocząć przez dzisiaj, ale nawzajem należy mi się pewne ustępstwo. Chodź!—pociągnął ją ku sobie i nie dał czasu na odpowiedź, ale coraz ci-

szej mówił i tłomaczył, a ona po raz ostatni zdobyła się na lekki protest w geście i w słowach.

— Cobym dała za to, aby mię pan przekonał, że jestem w błędzie, a pan ma rację — cobym dała! bo tak cierpieć, to straszne.

Zamknął usta pocałunkiem i w gorącym szepcie sączył zwolna narkotyk, spowijający je umysł i wolę.

*

* *

Tadeusz nie przyjechał do Michałówki, zawiadamiając Witolda telegramem, że interesy wstrzymują go w mieście i wymagają powrotu Łęskiego. Tak też się stało: w wigilię wyjazdu Witold długo rozmawiał z Jadzią i nie rad był z siebie, bo czuł zanadto wyraźnie, że go coś wiąże do tej bladej i wątłej postaci kobiecej, że choć odjedzie, myśl jego pójdzie za nią i zostanie tu, w Michałówce. Nie poznawał siebie, on, który dłużej nad miesiąc nie umiał się interesować jedną kobietą—on, na starość, stawał się niemal lirycznym kochankiem, żegnającym wybraną z tęsknotą. Postanowił otrząsnąć się z tego śmiesznego uczucia i poniekąd rad był, że musi jechać i przerwać ten nastrój sielankowy. A ona? Ona odetchnęła, wiedząc, że nie będą tu „obaj“ razem, że nie będzie potrzebo-

wała walczyć z lękiem, rozpaczą, wszystkiem, czem żyła w ciągu tych kilku tygodni. Odpocznie, a może później Witold zapomni o niej i zostawi ją w spokoju, byle go tylko nie widzieć, otrząsnęłaby się z wpływu, jaki na niej wywierał, tylko w jego obecności była słabą, natomiast, zostawiona—biegła myślą do przeszłości i jasnych wspomnień o „tamtym“ i wtedy czuła się lepszą. Ale nerwy i tu odmawiały posłuszeństwa, niewyraźne uczucie tęsknoty szarpnęło nimi, gdy przyszła chwila pożegnania. Żegnali się bez świadków; w ogrodzie zaś, przy ludziach, mieli podać sobie ręce etykietalnie, aby wyjść z honorem.

— Nie tęsknij za mną i przyjeżdżaj. Wiem, że pomimo żalu do mnie i tego dysonansu, w jakim twa dusza trwa teraz, będziesz za mną tęskniła. Bezkarnie należeć do kogoś nie można, nie zapomnisz nigdy, że byłaś moją i myśl twa, jak słonecznik do słońca, zwróci się ku mnie. Powiem ci na pociechę, że jesteś pierwszą kobietą, o której ja, post factum, myśleć mogę z przyjemnością, a nie z rozczarowaniem: jest w tobie coś nieokreślonego, może właśnie ten brak równowagi między twym temperamentem, a myślami, który pociąga; jesteś dwoistą. Jestem zaś sam dziecięciem naszego stulecia i potrzebuję obcować z choremi duszami. Wiąże nas z sobą nić, na pozór słaba, w rzeczywistości mocniejsza od przysiąg. Nie

żądam też od ciebie ani wierności, ani obietnic, przeciwnie, chcę, abyś była rozsądną i patrzyła trzeźwo na konieczne warunki życia. Co mi powiesz na to?

Chciała powiedzieć, że postara się właśnie nie myśleć o nim, wyrwać z pamięci, wszystko, co ma z nim związek, że tęsknić nie będzie, ale nerwy opanowały, i była pewna, że stanie się inaczej, to też spojrzała na zachodzące słońce, które, jak krwawa kula, toczyło się na widnokrąg, i szepnęła:

— Gdyby módz zapomnieć!

— A widzisz, wątpisz w mążliwość tego... ach ty, dekadentko, symbolu kobiecości i dwudziestego wieku! mieszanino przedziwna aksamitu z najzwyklejszą przędzą... ale podobasz mi się i czekać cię będę w Warszawie.

Słowa te rozpamiętywała potem długo, po odjeździe Witolda i minęło parę tygodni, zanim przestała o nim myśleć. I było jej wtedy dziwnie dobrze: powoli bolesne wspomnienia zacierały się, a na nich kładły się złote smugi wyidealizowanych uczuć i ukojenie sączyło się się zwolna do znękanej duszy, rozpływając się w niej, wsiąkając. A pan Ignacy patrzył na to, radował się, że pobyt na wsi dobrze wpływa, że rumieńce wracają na policzki i życie normalniej płynąć zaczyna. Pp. Michałostwo, zawsze jeszcze przygnębieni, nie zdawali sobie sprawy z wrażeń, jakie Jadzia na nich wywie-

ra—żałowali ją z powodu strat materyalnych, pomagali, ale zanadto zasklepieni byli w swej żałobie, aby zastanawiać się nad usposobieniem siostrzenicy, wreszcie znali ją mało, wiedzieli, że jest cichą, łagodną, zgadzającą się z losem, a więc zagwarantowana na dolę i niedolę. O przyszłość byli spokojni, bo przecież Jaś Michałówkę dostanie. Czy myśleli dawniej, że pracują dla cudzego dziecka, że własne ich, pokrzywdzone, odejdzie tak wcześnie?

*

* *

Przy pożegnaniu pan Ignacy powiedział Jadzi:

— Niech się Jadziunia zajmie czemś więcej, jak gospodarstwem i malcem, umysł twój potrzebuje zdrowej strawy, głodzić go nie można, a w braku zdrowego, łatwo może poszukać szkodliwego pokarmu. Tyle jest do zrobienia na świecie dla innych.

Miał racyę: umysł jej potrzebował strawy, natura uczuciowa żyła wrażeniami, szukając ich wszędzie, biorąc, co się dało; materyał na bohaterkę lub ofiarę— stosownie do okoliczności. Z tem przeświadczeniem przyjechała do Warszawy i pierwszą jej myślą było pójść na Ciepłą, prosić o wskazówki i działać. Byle raz tylko przeżyć to spotkanie z mężem, mieć siłę

do zwalczenia wpływu Witolda i rozpocząć życie nowe. Długie dumania w samotności wiejskiej przekonały ją, że należy zamknąć jedną kartę z książki życia, a otworzyć drugą, bez względu na to, co było. A więc byle przeżyć pierwsze chwile.

Tadeusz przyjął żonę serdecznie, rad był, że skończą się niewygody kawalerskiego życia, że będzie znowu miał obiad na czas, całą bieliznę i powolną kobietę pod ręką. Patrzał na nią i wydała mu się powabną, nabrała tuszy, a choć smutek powlekał drobne rysy, tak przywykł do tego wyrazu, że nie raził go wcale, zdziwiłby się, gdyby było inaczej. Jaś chodził nawet już doskonale, biegał po wszystkich kątach i rozglądał się ciekawie, robiąc przytem uwagi w swym żargonie dziecięcym. Ożywiło się też mieszkanie, tylko w duszy Jadzi coraz większy osiadał mrok i lęk. Odżyły wspomnienia ostatniego wieczoru, spędzonego tu z Witoldem i szereg innych w Michałówce. Przerażenie ogarniało ją na myśl, że urok mógłby się powtórzyć, to też z radością przyjęła wiadomość o wyjeździe Witolda na parę tygodni, ale gdy potem znalazła się zupełnie sam na sam z mężem, fala wstrętu i goryczy napłynęła do mózgu, zdwajając jego pracę do bólu.

„Żona, oddająca się bez miłości mężowi, nie różni się od tej, która się sprzedaje“, słowa te powtarzała sobie bezustannie i z

przestrachem zrozumiała, że są prawdziwe. Tak, ona również sprzedaje się za tytuł i stanowisko żony. Topiła paznogcie we własnem ciele, krwawiąc je z niejaką rozkoszą, w porównaniu z tem, co czuła moralnie. I takie piekło miała odtąd przeżywać codziennie. Oddając się Witoldowi wiedziała przynajmniej, że łączy ją z tym człowiekiem choć chwilowe upojenie, bezinteresowne i szczere, a tu co? Tak przecież było od początku, więc od początku była tą, która się sprzedaje! Usnęła, a we śnie jeszcze czuła siebie w roli towaru, bez duszy i praw żadnych.

Nazajutrz wybrała się do Wińskich. Szła wolno, tą samą. dobrze znaną jej drogą, taż sama bieda królowała tu wszechwładnie, jak przed kilku miesiącami, i to samo słońce, co. w Michałówce, chowało się zwolna za domy i mury. Szła po nowe życie, wiedząc, że tylko tu znajdzie kierunek i impuls do niego, będzie inną, zapomni o przeszłości, będzie użyteczną. I szła coraz wolniej, bo chciała uspokoić nerwy rozigrane myślą o blizkiem widzeniu się z Zygmuntem.

Wieczór był cichy i ciepły. Wrzesień zabarwił liście rzadkich drzew bogatemi barwami jesieni i dziwnie raziło to bogactwo natury przy szarej nędzy i trudnem do oddychania powietrzu. Stanęła przy bramie, nowy stróż nie znał jej—i zażenowana, poczęła go pytać

o Wińskich. On patrzył na nią, jak się patrzy na kogoś, który naturalnej, zwykłej rzeczy nie wie i, poprawiając czapkę, krótko rzucił:

— A dyć ich niema! od miesiąca niema!

— Nie może być, czyżby się wynieśli? Kiedy? dokąd? może wiecie jego adres, proszę powiedzieć, dam na piwo. I szukała w portmonetce drobnych, a stróż, śmiejąc się rubasznie, dokończył:

— Co tam długo gadać, wynieśli się ta na Brudno.

— Gdzie? gdzież to?

— Panna nie wie, co to Brudno? chi, chi, co tu długo gadać, zmarło się i koniec.

Teraz zaczynała rozumieć, ale była pewną, że mówił o Wińskiej, więc gorączkowo pytała.

— Umarła? a on, pan Wiński, gdzie teraz?

— Kiedy mówię, że zmarło mu się; kobietę zabrała jakaś pani z ochrony—ot, co tu długo gadać, tak Bóg chciał, a Panu Bogu sprzeciwiać się nie można.

Nie dokończył filozoficznego poglądu, bo Jadzia nagle osunęła się na ławkę, tak, że ledwie podtrzymać ją zdołał. Posadził i pobiegł po wodę, a ona, ze zwieszoną głową, wpół leżała cicho—nieświadoma.

Gromada ciekawych zebrała się natychmiast, jedni doradzali zlać wodą, drudzy wezwać Pogotowie i może skończyłoby się na

tem gdyby wreszcie nie otworzyła oczu i nie odzyskała przytomności. Czy to była przytomność, nie umiałaby odpowiedzieć, bo nie mogła sobie potem przypomnieć, kiedy i jak znalazła się w mieszkaniu, przy łóżeczku Jasia i dlaczego ani jedna łza nie popłynęła z jej oczu... Przeciwnie, jakaś suchość w gardle, oczach, paliła ją, wciskając się aż pod czaszkę, gdzie myśli kłębiły się jedna za drugą, splątane, chaotyczne, ale wszystkie na jednej podstawie przerażenia i smutku. Teraz już nie widziała nic przed sobą, znowu śmierć stanęła blizko, biorąc i ją, jeszcze żywą. Wszystko inne, to tylko złudzenie, a ona jedna na równi z przeszłością jest prawdą! Pochowali go, leży sam, zimny. Serce, które kochać umiało, nie bije, mózg rozłożył się, a dusza? Gdyby była, czy nie przyszłaby do niej powiedzieć, co ma czynić, co myślał umierając i czy o niej pomyślał?

— Wiem, że pani jej nie opuści—tak mówił wtedy, a więc trzeba ją odnaleźć i zająć się nią, bo przecie to było jego kochanie...

„Więc i ja, i Jaś, i Tadeusz, i Witold, pomrzemy również—myślała, patrząc na dziecko, nic po nas nie zostanie prócz pamięci, i poco męczymy się, poco rodzimy się? Zbrodnią jest mieć dzieci! Czy ty mi przebaczysz, dziecko?— I całowała rączki Jasia, przepraszając go za życie i czuła, że nawet największem poświęceniem nie zatrze tej krzywdy, jaką mu uczyniła, wy-

dając go na świat. Teraz przynajmniej wiedziała, że potrafi być silną wobec Witolda, wobec majestatu śmierci, jaki w duszy odczuwała. Wszystko bladło, znikało. Może przyjechać—nie boi się go. Tadeusz może od niej żądać wszystkiego, czemże to wszystko jest wobec śmierci? Wszakże on umarł, on, który nie powinien był umrzeć. Maryni niema, jego nie stało, a tacy jak ja, jak Witold, żyją! To prawie zabawne! Pójdę po Wińską, wezmę ją, bo on tak chciał...

* * *

Stały pośrodku dużego pokoju o szeregu niezajętych ławek, Jadzia patrzyła przez okno na ogródek, mieniący się tysiącem barw i odcieni, a panna Matylda żywo kończyła opowiadać:

— Rozumiem, jak musiała się pani zmartwić; on tak liczył na pani przyjaźń, od czasu zwłaszcza, gdy panny Maryni nie stało. Ciągle powtarzał: „To nic, bo ona nie opuści żony,“ to znaczy pani, bo panią miał na myśli... biedaczysko!

— Niech mi pani jeszcze powtórzy, jak to było.

— A tak: zasłabł rano i przysłał zaraz po mnie; wezwałam doktora, ale ten pokręcił tylko głową i, wychodząc, szepnął mi, że niema co

robić, że musi być koniec. Paraliż serca z powodu wady jego, tak, zdaje się, tłomaczył, zresztą nie znam się dobrze. Siedziałem do 5-tej, a o tej godzinie przestał żyć. Bardzo się męczył. Panna Matylda umilkła, zamyśliła się i dopiero po chwili dodała:

— Dobrze, że pani przyszła, chciałam ją umieścić w jakiem schronieniu, ale to kosztuje, a pani wie, jakie są nasze środki, trudno było, a teraz już przynajmniej będzie jej lepiej. Chce pani zobaczyć?

— Nie, nie! nie dziś! prosząco odparła Jadzia—muszę zebrać myśli i wpierw coś postanowić. To takie straszne! tak mi żal...

Nie dokończyła myśli, bo musiałaby dodać, że żałuje nietylko Zygmunta, ale i siebie, bo została teraz zupełnie sama, bez steru, bez jutra, że żałuje tego czasu, jaki zdala od niego spędziła, że wreszcie żałuje przeszłości niegdyś jasnej i czystej, a teraz przez nią samą splamionej bezpowrotnie. Żałowała wszystkiego co dobre, bo wraz z nim ono odeszło.

— Jeśli pani chce, możemy ją jeszcze potrzymać, albo jeżeliby pani nie mogła jej do siebie zabrać, dałoby się to inaczej przy pomocy pani ułożyć.

— Prawda! gdyby to było możliwem, chętnie poniosę koszta jej utrzymania, wreszcie codziennie zaglądać będę i w miarę możności dojrzę, na wiosnę zaś wyszlę do wujostwa, na

wieś, oni ją przyjmą chętnie, a kto wie, czy już na stałe nie zostanie potem w Michałówce, u nas zaś, doprawdy, że to byłoby bardzo trudnem.

I wyobraziła sobie, coby Tadeusz powiedział na nową współlokatorkę i nie mogła przypuścić, aby chciał się zgodzić na coś podobnego. Weźmie znowu tę lekcyę przeszłoroczną, obiecano jej pierwszeństwo, a pieniądze te wystarczą na utrzymanie. Tadeusz nawet wiedzieć nie będzie.

— A ona pyta czasem o męża? czy odczuła jego stratę?

— Jakto pani powiedzieć? tak i nie. Przez pierwsze dni ciągle go szukała i czekała, ale uspokoiła się zupełnie, gdy ją tu przewiozłam; nieboszczyka nie widziała, nie puściłam jej, bojąc się jakiejś komplikacyi. Teraz siedzi cicha, szyje cośkolwiek lub też je. Ale ja pani nie daję przeczytać tego listu, odejdę, a pani droga niech sobie siądzie i czyta, biedaczysko pisał przed samą śmiercią, może na dwie godziny, i łzy zabłysły w oczach panny Matyldy, ocierając je też ukradkiem, przeszła do drugiego pokoju, a Jadzia jeszcze zdecydować się nie mogła na otworzenie koperty. Jakiś powiew żałobny, prawie z tamtego świata, szedł ku niej z tego arkusza papieru, gdzie słowa pamięci kreśliła konająca ręka. Co on czuł pisząc je,

a ona, co wtedy robiła? Może właśnie wówczas myślała o „tamtym“ i jego pocałunkach?

„Gdy pani pismo to czytać będzie, ja żyć przestanę. Jeśli jednak możliwem jest, aby dusza ludzka istniała bez ciała, to w takim razie przyjdę do pani, aby ją wesprzeć, aby czuwać nad jej duszą, bo pragnę, aby się kiedyś spotkały i nie rozstały już więcej. Tak zrobię, jeśli dusze istnieją i to chciałem pani napisać, a wzamian proszę o pamięć i opiekę nad nią. Nie skończyłem zaczętej pracy, ale proszę, aby syn twój prowadził ją dalej. Zygmunt“.

Tylko tyle, słowa zostały, a jego niema! więc czyżby istnienie duszy było tylko bajką? Spojrzała dokoła siebie i jakiś lęk ogarnął ją nagle, niepokój i przerażenie kazały jej szukać towarzystwa panny Matyldy i szła przez puste pokoje, coraz bardziej wylękła, nie śmiejąc spojrzeć za siebie, bo zdało jej się, że ją ktoś goni, dopędza i chce uchwycić, zatrzymać. Czyżby to był „on“, ale „on“ odmienny, nieznany, w innej postaci, a zamiast ukojenia, czyż miałby wzbudzać jeno strach i przerażenie? A panna Matylda, widząc ją taką wzburzoną, uspokajała łagodnie, pocieszając, że to przecie tylko przyjaciel, że bywają straty bliższe, cięższe, że coby to było, gdyby n. p. nie stało męża lub dziecka... Z całą naiwnością przekładała i perswadowała, a Jadzię palił papier, trzymany w ręku i myśl pracowała usilnie w jednym kierunku:

dokąd pójdzie, on za nią iść będzie—tak obiecał—w dzień i w nocy odczuwać będzie to „coś“ około siebie, nieuchwytne, a straszne! Poco jej dano ten list, co teraz pocznie? Nawet i to lepsze uczucie musiało stać się jej udręczeniem, nawet ono dane jej było poto, aby goryczą i strachem zatruwać każdą chwilę jej życia.

I tak wszystko, gdyby po kwiatach stąpała, zamieniałyby się w widma i upiory!

*

* *

Idź do doktora, wyglądasz okropnie i nie mogę pozwolić na to, abyś po nocach, zamiast spać, wysiadywała na łóżku. To nienaturalne. Cóż u licha dzieckiem jesteś, czy co? boisz się strachów?

— Ależ cóż znowu?

— Nie cóż znowu, ale tak, nie myśl, że jestem głuchy i ślepy. Nawet we śnie awanturujesz się i krzyczysz; dziś budziłaś mię ze trzy razy wołaniem, że coś koło ciebie stoi i, że się boisz. Nie pojmuję, jak można tak dać nerwom się rozigrać, a to wszystko dlatego, że niemasz rzeczywistych trosk i przykrości. Gdybyś tak pokręciła głową, jak ja nieraz, zanim wiem, co wam dam na obiad i skąd wezmę, pewniebyś lepiej sypiała.

Ubierając się przekładał tak żonie i sam

wierzył w to, co mówi. Wierzył, że jest bohaterem i uosobieniem czynu, a ona tylko niedołężną istotą. A z Jadzią było coraz gorzej, już nie rozumowała, nie zastanawiała się nad tem, co czuje, ale zapadała godzinami w apatyę, budząc się z niej jeno poto, aby stać się pastwą niezdrowego lęku. Wszędzie widziała Zygmunta, we dnie było to jeszcze znośnem, ale gdy wieczór nadchodził, daremnie siliła się odegnać wizye, powracały one, mącąc umysł i uczucie. Pewnego wieczoru została samą, Tadeusz wyszedł, nie obiecując nawet wcześnie powrócić. Dawniej lubiła samotność, teraz gotowa była go błagać, aby nie opuszczał jej na tak długo. Stała, patrząc za nim, gdy schodził ze schodów, poczem, wróciwszy, zapaliła wszystkie lampy, aby jak najjaśniej było w pokojach i myślała: czemu ten mąż nie jest jej jedynym celem i ukochaniem. Życie wówczas byłoby takie proste, a ciężar jego lekki do dźwigania. Bawiła się z Jasiem głośno i hałaśliwie niemal, aby zagłuszyć w sobie dreszcze lęku, jakie powracały z upartym paroksyzmem choroby.

— Witam panią! — zabrzmiał nagle głos Witolda, tuż koło niej—witam. Uniósł ją z ziemi, gdzie siedziała obok Jasia i przez chwilę patrzyli sobie w oczy, ona błędnym wzrokiem, a on, zdziwiony nim, nie przygotowany snać na podobne powitanie.

— Co się z panią zrobiło? skąd ten tra-

gizm w twarzy?—puścił jej ręce, uwięzione dotąd, a rozglądając się, czy są sami, powtórzył zapytanie:

— Co się z panią zrobiło?

A jej się zdało, że „tamten“ przyszedł i pyta, co zrobiła z sobą, z jego wiarą w nią i z uczuciem, jakie miała kiedyś dla niego tam, w Michałówce, gdy rosa padała na krzewy i drzewa, gdy pieśń żeńców płynęła w górze nad nimi, zaśmiała się i mówiła gorączkowo:

— Co zrobiłam—niech pan na mnie nie patrzy; tak... trudno, byłam bez steru, bez woli. Nie wyrabiano jej we mnie, zabijano raczej, przerzucając mną, jak piłką. Ot, co ze mnie zrobiono! Niech pan tak na mnie nie patrzy! Boję się jego oczu, boję! choć kiedyś szukałam w nich szczęścia i brakującej mi siły! Boję się teraz, tak, jak bałam się oczu tamtego, bo pan przecie wie, że ja jestem nędzna, zdradziłam jego wiarę i nie powinien pan nawet przychodzić do mnie stamtąd, stamtąd... poco pan przyszedł?

Mówiła tak, jak ktoś, który po długiem milczeniu i namyśle przetrawił wszystko w sobie i musi dać ujście na zewnątrz w słowach, a on patrzył i zdumienie coraz większe ogarniało go, przechodząc w niepokój.

— Co pani mówi, pani Jadwigo! niech się pani uspokoi—i próbował ująć ją za ręce, przyciągnąć ku sobie, ale daremnie, usuwała się

z przerażeniem w oczach w głąb pokoju, broniąc od dotknięcia, i mówiła dalej, nie patrząc w tę stronę, gdzie stał Witold:

— A mogło było stać się inaczej, gdyby pan mię był wziął, jak tamten zatrzymał przy sobie i nie pozwolił odejść, pamięta pan wtenczas, gdy było tak ciemno... pusto... a pan leżał chory; wtedy pan mówił, że musimy cierpieć, że wszyscy musimy, a ja, widzi pan, nie umiałam nawet cierpieć, nie umiałam. Ach, jak to boli! Dotknęła ręką głowy i, odwracając się od Witolda, załkała głośno, opierając się o framugę okna. Pobiegł po wodę, podał jej w szklance, zmuszając do picia i poczynał żałować, że przyszedł, że wogóle zbliżał się do tej nienormalnej istoty.

— Pomieszało jej się w głowie, z pewnością pomieszało, bredzi. Co jednak mogło się tu stać, może mąż się dowiedział? A... a... rozumiem, dowiedział się, niestety, a rezultatem tego jest rozdrażnienie histeryczne. Nie wiem, co z nią zrobić, nie mogę tu zostać, bo licho wie, co może się zdarzyć, gdy zjawi się pan mąż... a jeśli mu po swojemu wyznała, pięknie mnie przyjmie; od takiego indywiduum można się wszystkiego spodziewać. Licho wie, czy byłby miękki, najlepiej stąd wyjść. Trzebaż mi było bawić się w sentymentalnego pasterza!...

Rozmyślając tak, spojrzał raz jeszcze na

Jadzię, schwycił za kapelusz, który zostawił w przedpokoju, i wyszedł cicho, tak, jak wszedł.

*

* *

Pan Ignacy kończył właśnie ranną kawę, siedząc u siebie w oficynie, gdy przyniesiono telegram. Ranek był mroźny, a więc jasny, pomimo wczesnej godziny, to też pan Ignacy zbliżył się do okna i ze zdziwieniem odczytał swój adres na depeszy. Od wielu lat nie znajdował się w podobnem posiadaniu; drżącą nieco ręką rozerwał go i, przetarłszy okulary, począł czytać:

„Jadwiga w domu zdrowia — przyjedźcie po dziecko — wyjeżdżam. Tadeusz".

Przeczytał raz i drugi i nie mógł pojąć, co znaczą te zagadkowe słowa, czuł tylko, że nowe nieszczęście zawisło nad nimi i odczytywał wciąż dalej telegram, jakby łudząc się, że znajdzie w nim coś jaśniejszego, lepszego.

W dniu, kiedy Tadeusz odwoził Jadzię do domu zdrowia, odebrał jednocześnie zawiadomienie od Łęskiego, że pomimo szczerego żalu, nie może go nadal mianować swym plenipotentem z powodu zmian, zaszłych w projektach i postanowieniach. Załączył sumę, jako wynagrodzenie za niedotrzymanie umowy i raz jeszcze usprawiedliwiał się gorąco.

25/1487/10/56
400.-

Tadeusz, zapytywany o Jadzię, odpowiadał z żółcią, opryskliwie:

— A cóż, zawsze jej coś brakowało: natura egzaltowana, przewrócone miała w głowie, i skończyło się tak, jak się często kończy. Czy to jedna histeryczka chodzi po świecie? tyle tylko, że niektóre zachowują choć nieco równowagi umysłowej, a inne znów tracą ją bezpowrotnie. Zdegenerowane istoty i koniec.

Temi słowy zamykał kwestyę i przechodził do innej.

W zdaniach, słyszanych od Jadzi widział jedynie rozhukaną wyobraźnię, ani na chwilę nie dopuszczając rzeczywistego dramatu. Taka nic nieznacząca istota!

A tam, w duszy jej, w zachwianym umyśle przesuwały się obrazy z przeszłości, zmartwychwstawał duch Zygmunta i czynił wyrzuty za rozwianą, zdradzoną wiarę. Wyrzuty te paliły ją stokroć bardziej nad te, które kiedyś robiła sobie sama za złamaną przysięgę i sponiewieraną cześć kobiety... W jaśniejszych zaś chwilach, marzyła o cichym cmentarzu w Michałówce, o białych brzozach, które tam rosły ocieniając samotną mogiłę Oli, a wiatr obrywał drżące liście i niósł je daleko, daleko...

KONIEC.

Wydawnictwa Jana Fiszera

w Warszawie, Nowy-Świat 9.

Altenberg Piotr. ***Jak ja to widzę.*** Tłómaczyła Aurelia R., z przypiskiem *W. St. Reymonta.*	1	50
Dąbrowski Ignacy. ***Chwila była przedwieczorna.*** Wrażenia. (Chwila była przedwieczorna. Czekam Cię. Okręt zadżumiony. Wezuwiusz. Na Capri.)	1	20
— Pisma, tom I: ***Śmierć***, studyum. Wydanie drugie.	1	20
— Tom II: ***Felka***, Nowella, wydanie drugie.	1	—
— Tom III: ***Nowelle*** (Kolega szkolny. Sonata cierpienia. Legenda o promyku sobotnim. Idylla. Jedna łza).	1	—
— Trzy tomy razem	3	—
Dygasiński Adolf. ***Margiela i Margielka***, powieść	1	35
— ***Wielkie łowy***, przygody myśliwskie z 14 rysunkami S. Sawiczewskiego, karton.	2	—
— ***Zając***, powieść	1	—
Gamaston. ***Pierścionek Maryli.*** Nowelle. (Pierścionek Maryli. Który? Tuberoza. Legenda ceylońska. Bajka. Bajka grecka. Czy winien? Siwe lamparty.	1	—
Garlikowska-Orlicz H. ***Opinia***, powieść, wydanie II	2	—
Gawalewicz Marjan. ***Dla ziemi.*** Powieść w 2 tomach, z portretem autora.	2	40
— ***Jad***, powieść współczesna	2	—
— ***Na skrawku ziemi.*** Jööl. Laureatka.	1	35
— ***Warszawa***, powieść społeczno-obyczajowa, 3 tomy, wydanie 2-gie.	2	—
— ***Znak zapytania.*** Kartka z dziejów młodego serca.	1	50

Biblioteka WSP Kielce
0055126

Gruszecki Artur. ***Cygarniczka*** sunków krakowskich.	–	–
– ***Na swobodzie***, powieść współczesna	1	50
– ***Nad Wartą***, powieść współczesna.	1	40
– ***Tam gdzie się Wisła kończy***, powieść w 2 tomach.	1	80
– ***Szachraje***, powieść współczesna, 2 tomy.	2	40
Krzemieniecka Hanna. ***Fatum***, studyum psychologiczne, z rysunkami.	2	–
Łozińska K. ***W rozterce***, powieść.	1	–
– ***Życie***, powieść.	1	–
Łubieński Maciej hr. ***Ironia pozorów***, powieść.	1	80
Przybyszewska Dagny. ***Kiedy słońce zachodzi...*** przełożył z norweskiego Stan. Przybyszewski, z portretem autorki.	1	50
Przybyszewski St. ***Synagoga szatana***, przyczynek do psychologii czarownicy.	–	75
Sewer. ***Ponad siły***, 2 tomy.	2	–
– ***Wybór pism.*** 4 tomy (Tom I: Słowa a czyny. Głodowa pożyczka. Pozytywizm w praktyce. Nice. Tom II: Zalotnica. Łusia Burlak. Jedna noc w Londynie. Pan Piotr. Dla świętej ziemi. Tom III: Mama sobie życzy. Zielona latarka. Dzielna kobieta. Tom IV: Wśród walki. W podziemiach. Magdusia. Pierwszy utwór).	3	60
Smaczniński Aleks. ***Nowelle***.	1	–
– ***Samodzielna,*** powieść współczesna.	1	20
– ***Ze wspomnień***, 2 tomy.	2	40
Umiński Wład. ***Na szczytach,*** powieść współczesna Z odmętów morskich. Szczęście.	1	–
Vera. ***Jedna za wszystkie***, spowiedź narzeczonej.	–	50
Weresajew W. ***Spowiedź leka***		

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
192314